

KURIER GALICYJSKI skończył 4 lata!

Dziękujemy naszym Czytelnikom i gratulujemy wytrwałości!

KURIER galicyjski

NIEZALEŻNE PISMO POLAKÓW NA UKRAINIE



12 – 25 sierpnia
2011
nr 15 (139)

DWUTYGODNIK

MEMENTO MORI

Nie miejsce tu i czas na porównania i podliczenia. Wręcz nie przystoi. A jednak nasuwają się same. Nie wiele ponad miesiąc temu, we Lwowie odbyło się odsłonięcie pomnika zamordowanych przez hitlerowców polskich profesorów we Lwowie. Kilka dni temu podobna uroczystość miała miejsce w Czarnym Lesie pod Stanisławowem, noszącym dziś miano Iwano-Frankiwka, gdzie 70 lat temu wymordowano kwiat polskiej inteligencji tego miasta. Przedtem ofiarami mordu padli stanisławowscy Żydzi. Tu też rozpoczęto rozprawę od ludzi najbardziej świątliwych.

To był kolejny, zbrodniczy przystanek łańcucha zdarzeń precyzyjnie zaplanowanych przez totalitarny reżim nazistowski. Jeden z wielu. I nie tylko przez nazistów. Nie darmo terytorium: od Polski, przez Ukrainę, Białoruś, kraje bałtyckie aż po zachodnią Rosję, nazwano skrwawionymi ziemiemi. Ofiarą totalitaryzmów: hitlerowskiego i sowieckiego, a także innych „braci po

wierze”, padło tu 14 milionów cywiliów i jeńców. Połowa z nich umarła z głodu, przy czym śmierć ich nie była przypadkowa, a zaplanowana. Jeśliby dodać poległych w obu wojnach światowych, ofiary Wielkiego Głodu, Wielkiego Terroru w Związku Sowieckim oraz czystki etniczne, to bilans tych trzydziestu zaledwie lat, od roku 1914 do 1945 (choć można by tę drugą granicę przesunąć i dalej) jest przerażający.

O tym trzeba mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Tylko wtedy mamy szansę, że to, co się wtedy wydarzyło, nigdy więcej się nie powtórzy. Powtarzam – to tylko szansa, nie pewność. Dlatego nie ma miejsca na półtony czy skrywanie prawdy w imię doraźnych interesów politycznych czy źle pojętych interesów narodowych. Tylko prawda ma walor oczyszczenia. A zbrodnia jest zawsze zbrodnią. Człowiek nie ma prawa odbierać życia drugiemu człowiekowi. Nie ma idei czy ideologii, w imię której byłby do tego uprawniony. A takie próby przecież są.

Także dzisiaj. Jedynym antidotum jest prawda, podparta wiedzą i mocnym kręgosłupem moralnym. Dlatego człowiek wykształcony i myślący zawsze będzie zagrożeniem dla wszelkiego typu totalitarnych „-izmów” (nazizmu, komunizmu, etc., etc.).

niemiecką ludność okolicznych miast do obozów koncentracyjnych, aby na własne oczy zobaczyli, co się tam wydarzyło. W niektórych przypadkach nakazał im nawet grzebanie zmarłych. Swoje postępowanie wyjaśnił następująco:



W ostatniej fazie II wojny światowej, po zajęciu przez wojska sprzymierzone niemieckich obozów koncentracyjnych, Naczelny Wódz Sił Alianckich, generał Dwight D. Eisenhower, rozkazał wykonać jak najwięcej zdjęć oraz przymusowo zabrać

„Trzeba zebrać jak najwięcej dowodów, filmów, zeznań świadków, ponieważ nadejdzie dzień, kiedy jakiś skurwysyn powie, że to się nigdy nie wydarzyło”.

MARCIN ROMER

Czarny Las pod Stanisławowem. 70. rocznica zagłady inteligencji polskiej

- s. 4-6



Dzieci jednego Boga

- s. 8-9



Opiekunka lwowskiej Starówki

rozmowa z LILIA ONYSZCZENKO-SZWEC

- s. 10



Perła Huculszczyny KOSÓW

- s. 12-13

Mego dziadka piłą rżnęli...

rozmowa z dr. STANISŁAWEM STĘPNIEM

- s. 17



ISSN 1996-2304



KORCZOWA DOLINA
CENTRUM DYSTRYBUCJI

od 18.08 start godz. 15.00
CZEKAMY NA WAS
W NOWYM CENTRUM
HANDLU

NISKIE CENY BEZ GRANIC
WE WSZYSTKICH SKLEPACH

ODZIEŻ, OBUWIE, ART. SPOŻYWCZE
RTV AGD, WYPOSAŻENIE WNĘTRZ

2,5 KM OD KORCZOWEJ
WWW.KORCZOWADOLINA.PL



Nasi partnerzy
medialni

Galway Reporter

HTK

GŁOS

iuve.pl

pl.pogranicze.eu

RADIO
OPOLE
twoje sprawy, twoja muzyka

WOW
RADIO

BEKA
www.vezha.org

RADIO
wnet
.pl

DZIENNIK POLSKI

Kupując nasze pismo, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie

WRÓŻENIE Z FUSÓW...

Co będzie za lat dwadzieścia?

Gdy rozpadł się Związek Radziecki, początkowo zarówno politykom, jak i dziennikarzom trudno było prorokować, co wydarzy się w perspektywie kilku miesięcy, a co dopiero lat. Nikt chyba nie przypuszczał, że republiki nadbałtyckie tak szybko wejdą do struktur NATO czy Unii Europejskiej, że Białoruś, która sygnowała dokumenty kończące żywot ZSRR, stanie się europejską dyktaturą bez większego politycznego znaczenia i że Ukraina zaprzepaści swój potencjał gospodarczy. Gdybyśmy dziś zadali sobie pytanie co stanie się z ukraińską niepodległością za kolejnych 20 lat, byłoby to wróżenie z fusów, podobnie jak dwie dekady temu. Nie mniej, mając pewne przesłanki, możemy taką próbę podjąć. Wszakże nie biorąc odpowiedzialności za to, czy przewidywania te się sprawdzą.



AGNIESZKA SAWICZ

Mądrości ludowe, mówiące, iż rzeczy pewnych i na zawsze danych po prostu nie ma, są prawdziwe i w przypadku geopolityki. Rosja w ciągu 20 lat nie zapomniała, że jest spadkobiercą Związku Radzieckiego i konsekwentnie o tym przypomina, przede wszystkim za pomocą całego arsenału argumentów ekonomicznych, choć nie waha się sięgnąć i po te siłowe. O

nasze wizje ich własnych losów, lecz nie pozwalamy się zbyt do nas samych zbliżyć, oczekując, że kraje te pozostaną peryferiami Europy, ukształtowanymi wedle zachodnich pomysłów.

Mamy dziś na wschód od granic Polski do czynienia z sytuacją, w obliczu której Zachód nie potrafi podjąć zdecydowanych działań. Nie znalazła klucza do Wschodu także i Warszawa, wciąż nie realizując racjonalnej polityki w tym kierunku. Można odnieść wrażenie, że kiedy mówi się o obszarze poradzieckim, wciąż uparcie poruszamy się w kręgu pewnych tez, które niewiele mają wspólnego z rzeczywistością, i ciągle stawiamy złe pytania. Polska w początkach lat 90. przyjęła rolę swoistego pomostu, łączącego dwie rzeczywistości, Wschód i Zachód. I choć szybko okazało się, że tę misyjną działalność prowadzić może



mającego bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo granic Unii Europejskiej sprawa, że europejska polityka sąsiedztwa w wymiarze wschodnim traci na znaczeniu. Zarazem wciąż utrzymuje się, że istnieje możliwość potencjalnego wejścia do Unii państw takich jak Ukraina. W co chyba mało kto już wierzy.

Kijów jest dziś pozostawiony sam sobie, przede wszystkim w niełatwych rozgrywkach z Moskwą. Ukraińscy politycy, jak się wydaje, dość umiejętnie lawirują w tych relacjach, stosując specyficzną odmianę zabawy w kij i marchewkę, gdzie marchewką jest dziś Naftohaz, a fikcyjnym kijem zbliżenie z Zachodem. Póki Moskwa zgadza się na reguły gry i udaje, że wierzy w taki straszak, Ukraińcy mogą na tym korzystać w stosunkach z „kolegami” z Rosji. Nie mniej szanse, by zabawa ta trwała najbliższych 20 lat, są znikome. Kijów będzie musiał się określić w jaką stronę pójść, gdyż mit trzeciej drogi nie jest niczym więcej, jak tylko właśnie mitem. Z dróg pozostałych, ta do Unii Europejskiej, która przypomina dziś coraz bardziej kolosa na glinianych nogach, także jest wątpliwa. Choćby dlatego, że trudno prognozować, czy za 20 lat Bruksela będzie pełnił taką rolę na kontynencie, jaką pełni dziś. Czyżby więc Ukraińcom pozostało przygotować sobie jak najlepszą pozycję w rosyjskiej strefie wpływów tak, aby nie byli tam podrzędnymi graczami, a liczącym się podmiotem? Pytanie pozostaje otwartym, lecz wobec obojętności Zachodu chyba wartym rozważenia.



możliwości utraty, fikcyjnej w gruncie rzeczy, niezależności przez Białoruś mówi się głośno, a kroki w stronę zwiększenia kontroli nad Ukrainą świat obserwuje od dłuższego czasu, nie dając zarazem Ukraińcom alternatywy dla rosyjskiej drogi. Możliwe, że wynika to z przekonania, iż ZSRR nie da się reanimować, a istnienie stref wpływów wydaje się naturalne. Nie mniej, pozostawienie samym sobie państw – dawnych republik radzieckich przypomina nieco współczesny kolonializm. Chcemy z nich czerpać, chcemy by realizowały

właściwie tylko wobec Ukrainy, to do dziś nie realizując jej skutecznie, nadal widzi siebie jako przewodnika Kijowa w drodze do Unii Europejskiej. Nie dostrzega, że projekt, jakim jest Partnerstwo Wschodnie niewiele jej w tym pomoże, gdyż inne kraje unijne nie przywiązują do niego po prostu większej wagi.

Sytuacja, z którą mamy obecnie do czynienia na świecie, skutecznie odwraca uwagę od Ukrainy. Przesunięcie uwagi i rezerw finansowych Brukseli na południe kontynentu i konieczność stabilizacji regionu,



ANDRIJ PORTNOW

Historycy słyną z tego, że nie potrafią przewidzieć przyszłości. Zresztą, nie jest to częścią ich zawodu. Nie mam pojęcia, co będzie z Ukrainą za 20 lat. Ale wydaje mi się, że los tego kraju jest w tej chwili i będzie nadal bardzo silnie uzależniony od czynników geopolitycznych. Wierzę w to, że jedyna strategia na przyszłość Unii Europejskiej polega na przyłączeniu Ukrainy i Turcji (nie mówiąc o Białorusi i Moldawii). Ale czy UE będzie w stanie na to się odważyć? Na razie prawie nic na to wskazuje.

Grecja buduje mury przed imigrantami z Turcji. Kolejne kraje wznawiają kontrole graniczne. Są obawy przed przyjęciem Rumunii i Bułgarii do strefy Schengen. Już nie wspominając o niesławnym referendum o minaretach w Szwajcarii czy propagandzie antypolskiej w prasie holenderskiej.



DARIUSZ MATERNIAK

Przewidywanie przyszłości do niedawna było domeną osób (ponoć) obdarzonych zdolnościami magicznymi. Niedawno ich miejsce, przynajmniej w sferze stosunków międzynarodowych, zajęli analitycy i dziennikarze, którym z mniejszym lub większym szczęściem czasami udaje się prawidłowo zinterpretować minione i aktualne wydarzenia, by na tej podstawie przedstawić swoją wizję przyszłości.

Stwierdzenie tego, co czeka Ukrainę oraz cały region Europy Środkowo-Wschodniej w ciągu najbliższych 20 lat jest zadaniem karkołomnym. Wydaje się jednak, że pewne procesy na dobre zakorzeniły się na kontynencie europejskim i ich zahamowanie wydaje się być mało prawdopodobne. Mam tu na myśli postępującą sukcesywnie od lat 50. XX wieku integrację europejską. Proces ten, zapoczątkowany przez sześć państw, obecnie objął swym zasięgiem niemal cały kontynent europejski oraz obszary przyległe. Co więcej – jego dynamika okazała się trwalsza niż podziały, w tym tak (pozornie) niewzruszone jak „żelazna kurtyna”, której upadek na przełomie lat 80. i 90. umożliwił dołączenie do Zjednoczonej Europy państw, które jeszcze kilkanaście lat wcześniej były członkami Związku Radzieckiego.

Aktualnie, po rozszerzeniu Unii Europejskiej o 12 państw (w 2004

Unii brak odwagi i brak wizji. Czy możemy to samo powiedzieć o Rosji? Oficjalnie Moskwa udaje, że jest silna i że poradzi sobie i z Ukrainą, i z Białorusią. Wiele wpływowych osób na Zachodzie w to wierzy. Ale z perspektywy Ukrainy widać, że Moskwie brak jakiegokolwiek realistycznej propozycji dla Kijowa czy Mińska. Modele integracyjne pod szyldem Kremla otwarcie traktują partnerów nie jako równych, lecz jako młodszych i niewdzięcznych braci. I to doskonale rozumieją politycy ukraińscy czy białoruscy, którzy wygrywają wybory pod prorosyjskimi hasłami.

Oczywiście, dużo zależy też od Ukrainy, od tego, w jakim kierunku będzie się rozwijała, od tego, jak poradzi sobie z coraz bardziej dotkliwymi asymetriami w rozwoju w porównaniu ze wschodnimi krajami Unii, etc. Ale nie zgadzam się z takimi opiniami, że „wszystko” zależy od samej Ukrainy. Kraj, który ma takie położenie geograficzne, a jednocześnie znajduje się w szarej strefie bezpieczeństwa, jest wyjątkowo wrażliwy na układy geopolityczne. Możemy się spodziewać, że te układy mogą być bardziej przyjazne dla Ukrainy. Ale wcale nie muszą.



i 2007 roku) wydaje się, iż proces integracji wyhamował. Ta sytuacja nie będzie jednak trwała wiecznie. Należy spodziewać się, iż z czasem, po przezwycięzeniu trudności związanych z kryzysem gospodarczym, kolejne kraje europejskie będą dołączać do UE. Tą drogę wybrała także Ukraina – wydaje się, że nie ma innego wyjścia jak tylko trzymanie się tego raz obranego kursu. Zbyt wiele łączy Ukrainę i Ukraińców z Europą (zarówno w sferze interesów politycznych, gospodarczych, jak i w sferze mentalnej), aby można było wyobrazić sobie nagłe zahamowanie tego procesu. Należy pamiętać, że członkostwo w UE leży nie tylko w interesie Ukrainy, ale także samej Unii – tak duży i dynamiczny kraj, posiadający olbrzymi potencjał, nie może pozostawać poza nawiasem procesów integracyjnych, obejmujących cały kontynent. Ukraina jest zbyt ważnym elementem „europejskiej układanki” by można było pozwolić sobie na jej pominięcie.

Dlatego właśnie, za 20 lat, Ukraina powinna być już członkiem Unii Europejskiej i to z kilkuletnim stażem. Rolą Polski było, jest i będzie popieranie dążeń Ukrainy do integracji z UE. Warszawa posiada szereg instrumentów, które pozwalają jej działać aktywnie w tej sferze – od rutynowych działań na forum UE, po bardziej wyspecjalizowane narzędzia, takie jak program Partnerstwa Wschodniego.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
wybrał i opracował

gazeta Swietlana Cybul-ska zdziwiła się, że po złożeniu w Kijowie wniosku o tygodniową wizę turystyczną do Grecji konsul poprosił ją, by po powrocie zgłosiła się do niego po pieczętkę, że wróciła w terminie. Zagroził, że jeśli tego nie zrobi, może mieć kłopoty z otrzymaniem wizy do państw strefy Schengen. Cybulska pracuje w poważnej ukraińskiej firmie, wielokrotnie jeździła do Unii, nie łamała prawa, ale podejrzania greckiego konsula wzbudził jej nowy paszport. Konsul nie był w stanie sprawdzić, czy jeździła już wcześniej do Unii i wracała w terminie, bo nie ma wspólnej bazy danych wiz schengenkich, wydawanych przez kraje Unii nad Dnieprem.

– Podobne praktyki wzywania wyjeżdżających do konsulatów po powrocie stosują na Ukrainie oprócz Grecji także Francja, Hiszpania, Austria i Finlandia – mówi Iryna Suszko, szefowa organizacji pozarządowej Ukraina bez Barrier, która jest częścią Koalicji na rzecz Ruchu Bezwizowego powołanej pod auspicjami polskiej Fundacji Batorego. – Meldowanie się do konsulatu po pieczętkę po powrocie z Unii jest upokarzające, wywołuje najgorsze wspomnienia związane z totalitaryzmem i jest uciążliwe – mówi „Gazecie” Joanna Fomina, szefowa programu wizowego Fundacji Batorego.

Ukraińscy dziennikarze zapytali w Brukseli o pieczętkę po powrocie z krajów Unii szefa polskiej dyplomacji Radosława Sikorskiego. – To nie narusza praw człowieka. Kraje unijne stosują suwerenną politykę wizową – odpowiedział Sikorski. Na Ukrainie podniósł się szum, że Polska popiera te praktyki i także wkrótce wprowadzi pieczętkę po powrocie z podróży do naszego kraju. – W żadnym wypadku – zapewnia „Gazetę” rzecznik MSZ Marcin Bosacki. – Polska wydaje więcej wiz dla Ukraińców ze wszystkich państw UE. Nie prowadzimy ani nie zamierzamy wprowadzić obowiązku wizyt w konsulacie po powrocie z Polski. Jesteśmy za liberalizacją ruchu wizowego w ramach Unii, także dla Ukrainy. Nieoficjalnie polscy dyplomaci mówią, że Sikorski nie mógł skrytykować pomysłu pieczętek, bo nie ma zwyczaju komentowania polityki wizowej innych państw UE.

Niektórzy Ukraińcy ubiegający się o wizy schengenkie twierdzą, że w części konsulatów państw UE są proszeni, by do czasu powrotu z zagranicy zostawili w zastaw swój dowód osobisty lub akt notarialny własności mieszkania. Ukraiński MSZ twierdzi, że podobne praktyki są niezgodne z ukraińskim prawem. Zamierza wysłać noty do państw unijnych z pytaniem, czy rzeczywiście stosują podobne praktyki.

Chcesz do Unii? Daj w zastaw dowód.
Marcin Wojciechowski.
27-07-2011

Zwierzchnik Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej szuka sposobów, by zjednoczyć Rosję, Białoruś i Ukrainę. 1023-lecie chrztu Rusi Kijowskiej było dobrym pretekstem do złożenia przez patriar-

PRASA POLSKA O UKRAINIE

chę Moskwy i Wszechrusi piątą wizytę na Ukrainie. Zdaniem ekspertów Cyryl niestrudzenie walczy o odbudowanie wpływów w tym kraju, będącym areną religijnego sporu pomiędzy Cerkwią podporządkowaną patriarchatowi moskiewskiemu (8 tys. księży, 9 tys. parafii), a Cerkwią podporządkowaną patriarchatowi kijowskiemu (2,7 tys. księży, 3,5 tys. parafii). Cyryl, który chce zjednoczyć duchowo „bratnie narody” – Rosjan, Ukraińców i Białorusinów – przypomniał o tym także podczas przemówienia po mszy pod pomnikiem św. Włodzimierza Wielkiego w Kijowie.

– Święta Ruś żyje w naszych sercach i umysłach. To nie jest tęsknota za przeszłością. To duchowy kod genetyczny, system wartości, który jednoczy spadkobierców Świętej Rusi – mówił.

Poważnym problemem patriarchy Moskwy i Wszechrusi staje się dążenie ukraińskiej Cerkwi patriarchatu moskiewskiego do niezależności. Gdyby tak się stało, patriarchat moskiewski nie miałby pozycji lidera w świecie prawosławnym pod względem liczby wiernych. Wiadomość o dążeniu ukraińskich prawosławnych do autokefalii wyszła na jaw w czasie soboru Cerkwi w Kijowie w połowie lipca. – Podczas soboru autokefalia formalnie nie została ogłoszona, ale sprawa nabiera tempa. Między duchownymi nie było rozbieżności. To sygnały wysyłane w kierunku Moskwy. – mówi „Rz” ukraiński publicysta, specjalizujący się w tematyce religijnej Ołeksij Brasławec.

W rocznicę chrztu zwierzchnik ukraińskiej cerkwi patriarchatu kijowskiego Filaret zaapelował o utworzenie jedynej ukraińskiej cerkwi prawosławnej, ale niezależnej od Moskwy. – W sprawach ukraińskich patriarchat moskiewski nie działa na korzyść prawosławia. Działa z punktu widzenia interesów politycznych, by utrzymać władzę „ruskiego świata” – mówił Filaret.

Zdaniem lwowskiego publicysty Antina Borkowskiego Cerkiew patriarchatu moskiewskiego na Ukrainie będzie tylko „deklaracyjnie” popierać linię Cyryla, który chce odbudować ideę „ruskiego miru” według strategii Władimira Putina.

Z sewastopolskiego lotniska w asyście milicji pomknął do rezydencji Muchałatka pod Foresem, gdzie wypoczywał prezydent Wiktor Janukowycz. Obaj rozmawiali w cztery oczy przez dwie godziny. O czym? Nie ujawniano. – Tym razem to nie Janukowycz, który zaprosił Cyryla na inaugurację prezydentury, zabiegał o to spotkanie. Oznacza to, że stosunki władz Ukrainy z władzami na Kremlu stają się chłodniejsze – zaznacza Borkowski.

Zdaniem ekspertów powodem jest m.in. krytyka Kremla pod adresem władz w Kijowie, które nie wywiązują się z obietnic, choćby w kwestii nadania rosyjskiemu językowi statusu oficjalnego języka. Z Sewastopola Cyryl poleciał do Kijowa, gdzie odprawił mszę na Górze św. Włodzimierza. Powitali go ukraińscy nacjonaliści.

Cyryl marzy o jedności.
Tatiana Serwetnyk.
29-07-2011



Do 24 wzrosła liczba ofiar dwóch piątkowych wypadków w kopalniach węgla w Donbasie, na wschodzie Ukrainy – poinformowało ukraińskie Ministerstwo ds. Sytuacji Nadzwyczajnych.

Według najnowszych danych oficjalnych, w wypadku w Makiejewce, w obwodzie donieckim, zginęło 6 osób, a 4 zostały ranne. Na górników spadła tam wieża szybu, którym porusza się winda górnicza. W wybuchu metanu w kopalni w Suchodilsku, w obwodzie ługańskim, poniosło natomiast śmierć 18 osób. Nadal poszukuje się tam 8 pracowników.

Do eksplozji w Suchodilsku doszło ok. godz. 1 czasu polskiego w piątek, gdy w kopalni pracowały 252 osoby, w tym 28 bezpośrednio w rejonie wybuchu na głębokości 915 metrów.

Ze względu na wysoką koncentrację metanu ukraińskie kopalnie należą do najbardziej niebezpiecznych na świecie. Co roku ginie w nich ok. 300 górników.

Ukraina: liczba ofiar wypadków w kopalniach rośnie.
jsat 30-07-2011



Władze Ukrainy wypowiadają wojnę właścicielom restauracji, którzy trzymają w lokalach niedźwiedzie, pozwalając gościom pić je wódką. Minister ochrony środowiska Mykoła Złoczewski zapowiedział, że zwierzęta te będą odbierane i umieszczane w rezerwacie.

– Jak długo można tolerować znęcanie się nad zwierzętami w restauracjach, w których pijane towarzystwo zmusza niedźwiedzie do picia wódki, doskonale się przy tym bawiąc? – pytał minister na konferencji prasowej w Kijowie.

Według Złoczewskiego, na Ukrainie jest obecnie około 80 niedźwiedzi, trzymany w klatkach ku uciesze gości restauracji, hoteli i barów przydrożnych.

Minister oświadczył, że do grudnia wszystkie takie zwierzęta trafią do rezerwatu, który powstaje obecnie w Karpatach.

Niedźwiedzom wódki nie podajemy. Zyt. 03-08-2011



Sąd Peczerski w Kijowie odmówił wczoraj zwolnienia byłej premier Ukrainy Julii Tymoszenko, która od piątku przebywa w areszcie śledczym. Sąd odrzucił poręczenie, które złożyli w jej sprawie m.in. przedstawiciele ukraińskich Kościołów. O uwolnienie Tymoszenko zaapelował m.in. zwierzchnik Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Kijowskiego, Filaret, oraz przedstawiciele Kościoła rzymskokatolickiego i Kościoła baptyistów. Z taką samą prośbą zwróciła się do sądu ukraińska rzecznik praw człowieka, Nina Karpaczowa. Sąd ten wnioski odrzucił.

Wcześniej sąd nie przychylił się także do prośby obrońców opozycyjnej polityk, którzy chcieli złagodzenia środka zapobiegawczego, czyli wypuszczenia Tymoszenko z aresztu i zastosowania zakazu opuszczania miejsca

zamieszkania. Prowadzący rozprawę sędzia Rodion Kiriejew oświadczył, że nie ma podstaw do zwolnienia Tymoszenko. – Wcześniej systematycznie naruszała ona kodeks karny, nie pojawiała się w sądzie o wyznaczonym czasie, przeszkadzała w ustaleniu prawdy i dlatego zastosowano wobec niej areszt – powiedział. Obecni w sądzie deputowani parlamentarnego Bloku Julii Tymoszenko (BJuT) w odpowiedzi na słowa sędziego zaczęli wykrzykiwać: „Hańba!”.

Najbliższy współpracownik Tymoszenko, były wicepremier Ołeksandr Turczynow, zaapelował, by Ukraińcy sprzeciwili się próbom wprowadzenia w ich kraju dyktatury i przyłączyli się do protestu przeciw aresztowaniu byłej premier. – Wydarzenia ostatnich dni to test, który urządził społeczeństwu prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz. Czy ludzie pozwolą mu na dalsze ograniczanie demokracji (...)? Ukraina znajduje się na granicy, za którą działania Janukowycza ku ustanowieniu dyktatury mogą stać się nieodwracalne, a jego kryminalny i okupacyjny reżim będzie mógł pozostać przy władzy na dziesiątki lat – ostrzegł Turczynow.

Byłej pani premier nie pomogło nawet poręczenie Kościołów. Jarosław Junko. 09.08.2011



Decret prezydecki o przyznaniu tytułu Bohatera Ukrainy dowódcy UPA Romanowi Szuchewycowi był niezgodny z prawem – uznał we wtorek naczelny sąd administracyjny Ukrainy.

Tytuł ten nadał Szuchewycowi w 2007 r. ówczesny prezydent Wiktor Juszczenko. Jego następcą Wiktor Janukowycz oświadczył, że zarówno decyzja, jak i dekret z 2010 r. o przyznaniu tytułu Bohatera Ukrainy przywódce ukraińskich nacjonalistów Stepanowi Banderze zostaną anulowane. Jak argumentował Anatolij Solowjow, profesor Donieckiego Uniwersytetu Medycznego, według prawa, tytuł Bohatera Ukrainy może otrzymać tylko osoba będąca obywatelem Ukrainy. A Szuchewycz zginął w 1950 r., kiedy państwo ukraińskie nie istniało.

W 2010 r. doniecki sąd odebrał mu tytuł. Apelacja, którą złożył Juszczenko wraz z żyjącym synem Szuchewycza Jurijem, została we wtorek odrzucona. Generał Roman Szuchewycz, pseudonim „Taras Czuprynka”, był w latach 1934-37 więziony przez polskie władze za działalność terrorystyczną. W czasie drugiej wojny światowej współorganizował oddziały ukraińskie w służbie niemieckiej. W 1943 r. stanął na czele Ukraińskiej Powstańczej Armii, którą dowodził aż do śmierci. Szacuje się, że ok. 100 tys. Polaków było ofiarami UPA.

Dowódca UPA nie jest bohaterem. Rps. 02-08-2011



Kilkudniowe ulewne deszcze poważnie uszkodziły twierdzę w Kamieńcu Podolskim na Ukrainie. Zawaliła się tam część Nowej Zachodniej Wieży Starego Zamku – podały lokalne władze.

Zbudowana w XVI wieku wieża jest największą basztą zewnętrzną kamienieckiej twierdzy. Podmyty przez silne opady ogromny fragment okrągłego muru zawalił się w poniedziałek po południu. Zniszczeniu uległa jedna trzecia wieży. – Baszta nie wytrzymała kilkudniowych deszczy. Cała twierdza wygląda zresztą na bardzo moką – napisała w swoim blogu Iryna Pustynnikiowa, mieszkanka Kamieńca Podolskiego i autorka strony internetowej castles.com.ua. Obecnie baszta jest zamknięta dla turystów. Władze Kamieńca zwróciły się do rządu Ukrainy o pomoc finansową na rzecz odbudowy tego obiektu.

Deszcze uszkodziły twierdzę w Kamieńcu Podolskim.
ika. 02-08-2011



Wyrok ośmiu lat więzienia otrzymał obywatel Polski, który zorganizował sieć sprzedaży amfetaminy w Tarnopolu na zachodniej Ukrainie.

40-letni mieszkaniec Wrocławia zajmował się dostawą narkotyków, które przywożone były z Polski, po czym przekazywał je dwóm ukraińskim dealerom, rozprowadzającym amfetaminę w barach i klubach nocnych Tarnopola. Ukraińska milicja rozpracowała szajkę w lipcu ubiegłego roku. Wspólnicy Polaka zostali skazani na kary pięciu i czterech lat więzienia.

Polak sprzedawał narkotyki na Ukrainie. Usłyszał wyrok.
Guu. 04-08-2011



Deputowani rządzącej Partii Regionów chcą, by pędzenie bimbru w ich kraju stało się legalne. Wieloletnia walka z tym procederem nie dała efektów. Niech ludzie pędzą samogon dla siebie, nie na sprzedaż. I niech państwo zacznie ich traktować jako mądrych obywateli, którzy są w stanie sami decydować, co dla nich jest dobre, a co złe – uzasadniał Oleh Nadosza, który skierował do parlamentu projekt ustawy w tej sprawie. Jeśli przepisy wejdą w życie, przyłapani na gorącym uczynku bimbrownicy nie zapłacą grzywny w wysokości od trzech do dziesięciu plac minimalnych przewidzianych w obecnym kodeksie administracyjnym. Wysokie kary groziłyby jednak tym, którzy pędzą bimber na sprzedaż.

Bimbrownicy zacierają ręce. Chwiałą pomysł i twierdzą, że dobry samogon jeszcze nikomu nie zaszkodził. Na alarm biją urzędnicy Ministerstwa Zdrowia. Ich zdaniem legalizacja produkcji bimbru pozwoli rodakom prześcignąć w niechlubnych statystykach Rosję, gdzie obywatel wypija rocznie 18-20 litrów alkoholu. Ukrainiec wypija w tym czasie 12 litrów wysokoprocentowego trunku.

Pomysły Partii Regionów świadczą o zbliżających się wyborach parlamentarnych w 2012 r. – uważają eksperci.

Bimber wróci do łask?
Tatiana Serwetnyk
09-08-2011

PAMIĘTAMY O WAS, NASI DRODZY I KOCHANI!

6 sierpnia 2011 roku w okolicach dawnej wsi Pawełcze (dziś Pawliwka), opodal Stanisławowa – dzisiejszego Iwano-Frankowska, odbyła się uroczystość uczczenia pamięci przedstawicieli polskiej inteligencji, zamordowanych w 1941 roku przez gestapo. Odślonięto nowy pomnik w kształcie kamiennego krzyża, pod którym zamontowano tablice z nazwiskami ofiar mordu.

SABINA RÓŻYCKA tekst
zdjęcia **SABINA RÓŻYCKA,**
MARCIN ROMER

Od tamtych strasznych chwil minęło 70 lat. O tym miejscu wiedzieli tylko niektórzy. Były też straszne wspomnienia. Od rana na miejsce ostatniego spoczynku Polaków, do Czarnego Lasu, ciągną dziesiątki aut. Jadą młodzi ludzie. Polacy, Ukraińcy, Rosjanie, jest grupa polskich Ormian, którzy przyjechali do Kut. Jadą ludzie z małymi dziećmi, by te zobaczyły i zapamiętały. I by w przyszłości nie powtórzyło

ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Jacek Polański, przedstawiciel Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Michał Dworczyk, mieszkańcy Opola, Koszalina, Warszawy, Krakowa, przedstawiciele władz rejonu tyśmienickiego, duchowieństwo ze Lwowa i województwa, Czerniowiec, Iwano-Frankowska. Zaciśnięte usta, w rękach wianki, kwiaty, znicze. Zamyślane spojrzenia. Swoje pisma z tej okazji przekazali Ambasador RP na Ukrainie Henryk Litwin i prezes Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” Olga Iwaniak.

Gości spotykają członkowie Polskiego Towarzystwa Kultury „Przyjaźń” z Iwano-Frankowska (d. Stanisławowa). Każdego dobrym słowem wita



W intencji ofiar mordu została odprawiona Msza św.

się coś takiego. Jadą goście z Polski, jest grupa Polaków z Wielkiej Brytanii. Jadą siwi synowie i córki tych, dla kogo ta ziemia stała się miejscem ostatniego spoczynku. Na wieki.

Ktoś nawet nie może iść. Opiera się o łaskę, ale idzie. Strasznie jest iść po ziemi, zroszonej krwią ojców, matek, braci, siostr, ukochanych. Ziemia milczy, ziemia wytrzyma wszystko. Ona jest wieczną, cichą i milczącą dla martwych. Świętą i okrutną dla żyjących. „Witajcie, kochani! Jak wam się tu spoczywa? O czym szumią wam drzewa? Czy szepczą, czy może, stoją w milczeniu? Poczekaście, kochani. Jeszcze krok, dwa i przyniosą wam żyjący ciepły dotyk Ojczyzny. Pomodlą się. Ustawią biało-czerwony proporzec i zaśpiewają: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

W poważnej ciszy maszerują harcerze. Może tu spoczywa pradziadek? Czyjaś rodzina zginęła od niemieckiej kuli. Dotrzymuje kroku pełniący obowiązki konsula generalnego Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Drozd, przewodniczący Rady Wojewódzkiej Mychajło Wyszywaniuk, mer miasta Iwano-Frankowska Wiktor Anuszkiewicz, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci, Walk i Męczeństwa RP Andrzej Kunert, wicemarszałek województwa opolskiego Andrzej Konopka, przedstawiciel Rządu RP z Urzędu do

prezes Towarzystwa Lucyna Kubicka. Jeszcze przed kilkoma dniami tu od rana do nocy na powierzchni 1,8 ha pracowały dziesiątki robotników i członków Towarzystwa. „W sierpniu 1941 roku SS-Hauptsturmführer Hans Krüger, który wcześniej rozstrzeliwał polskich profesorów we Lwowie, czynił podobnie u nas, – opowiada Kurierowi pani prezes Towarzystwa „Przyjaźń”. – Na początek rozstrzelano Żydów, potem przyszła kolej na polskich nauczycieli i inteligencję. Podstępnie aresztowanych, niewinnych ludzi przewożono do więzienia na dzisiejszej ul. Sacharowa (d. Bilińskiego). Potem rozebranych, ładowano do samochodów ciężarowych i wywożono do Czarnego Lasu. Tam czekała ich śmierć”.



W drodze do Czarnego Lasu



Nowy pomnik w okolicach dawnej wsi Pawełcze



Wstęgę przecina sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci, Walk i Męczeństwa RP Andrzej Kunert (od lewej) i przewodniczący Rady Wojewódzkiej Iwano-Frankowska Mychajło Wyszywaniuk

Jeszcze pod koniec lat 80. XX wieku żadnego znaku o masowych grobach tu nie było. Na ziemi moczary i śmiecie. Ale krok po kroku prace trwały. Dziś mamy tu wspaniały pomnik - krzyż, autorstwa lwowskiego rzeźbiarza Aleksandra Kryškiwa. Kształt pomnika został zatwierdzony w Radzie Ochrony Pamięci w Warszawie, uzgodnione zostało wszystko z administracją woje-

wódzką i konsulem RP. Pod krzyżem tablice z nazwiskami zamordowanych. Opodal – drewniana kapliczka. Prace prowadzone były przez pracowników Ministerstwa Nadzwyczajnych Sytuacji Ukrainy, firmy budowlane, drogowe, leśników i, naturalnie członków Towarzystwa „Przyjaźń”.

Dźwięczą hymny obu państw. Ceremonię rozpoczyna otwarcie krzyżopomnika. „Na mogiłach nie przemawiają, na mogiłach modlą się, – mówi przewodniczący administracji wojewódzkiej Mychajło Wyszywaniuk. – Jesteśmy na jasnym, ale tragicznym miejscu. Przed 70 laty rozstrzelano tu niewinnych ludzi: lekarzy, inżynierów, robotników, którzy mieli długie życie przed sobą, mogli pracować, rodić dzieci, wychowywać wnuki. Powinniśmy zrobić wszystko, a nawet więcej, aby podobna tragedia nigdy więcej nie wydarzyła się na tej ziemi i na całym świecie. Dziękujemy tym, kto uporządkował to miejsce, kto przybył na mogiły”. Jak powiedział minister Andrzej Kunert, wszyscy przybyli stoją na ziemi, uświęconej krwią,

„Jeżeli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie” – pali bólem i prawdą napis na krzyżu.

„Złoczyńcy hitlerowscy bali się inteligencji: nauczycieli, prawników, urzędników, pisarzy, kapłanów, – mówi Andrzej Kunert. – Inteligencja była wrogiem, poważnym wrogiem”. Wspomina karty z historii Polski. Areszt profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej w Krakowie. Wspomina Stanisława Umańskiego, dyrektora II Gimnazjum i Liceum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Stanisławowie, który tu spoczywa, Katyńską tragedię, utworzenie armii gen. Andersa i czasy współczesne.

„Hitlerowcy i Sowieci zniszczyli tysiące Polaków, – mówi prof. Jerzy Hickiewicz, syn zamordowanego tu Adama Hickiewicza. – Szczególnie niebezpiecznymi dla tej władzy byli nauczyciele i profesorowie akademicy. Śmierć jednego z nich – to pozbawienie wiedzy o tym, co się dzieje wokół, tysiący młodych ludzi i dzieci. Ja i moi przyjaciele tragicznie straciliśmy rodziców, gdy mieliśmy ledwie kilka, kilkanaście lat. Ekspatriowano nas stąd. Wyjechalibyśmy na nowe nieznanne nam ziemie. Tam urodziły się nasze dzieci i wnuki. Ale ta ziemia nas nie puszcza. Śni się nam po nocach, krzyczy do nas. Mani nas postaciami naszych rodziców”.

Goście z Polski mówią, że chociaż jest to miejsce tragiczne, to można go pokazywać Europie. Pełniący obowiązki konsula generalnego RP Andrzej Drozd zaznacza, że w Czarnym Lesie powstała materializacja pamięci o tych, których winą było to, że się narodzili. Czy nie paradoksalnie brzmi to „obwinienie”? Trzeba walczyć z wszelkimi przejawami totalitaryzmu, którego ofiarami spoczywający tu się stali. Niestety i we współczesnym świecie totalitaryzm jeszcze nie zanik – mówił konsul Drozd.

„W lesie, w którym jesteście, – mówi mer Iwano-Frankowska Wiktor Anuszkiewicz, – swój ostatni spoczynek znalazło tysiące ludzi: Polaków, Ukraińców, Żydów. Było tyle wojen, że każdy centymetr Europy przesączony jest krwią niewinnych. Najbardziej krwawą była II wojna światowa. Dziś Europa żyje według zasad dobrosąsiedztwa i wzajemnego poszanowania. Nasze miasto i województwo stara się utrzymywać partnerskie stosunki z wieloma państwami. Najwięcej miast partnerskich mamy w Polsce. Postawienie krzyża i kaplicy jest rzeczą normalną. Wspieramy wszystkie inicjatywy naszych sąsiadów, a także Polaków mieszkających na Przykarpaciu”.

Uroczystość dobiega końca. Goście przechodzą do zbudowanej opodal, z tej właśnie okazji, kaplicy. Odbywa się uroczystość jej poświęcenia, na którą przybył grekokatolicki biskup Sofron Mudry OSBM. Potem przechodzili pod pomnik 2840 Żydów – honorowych obywateli Stanisławowa. Zagłada Żydów rozpoczęła się zaledwie kilka dni wcześniej. Zebrani rozchodzą się, rozjeżdżają. Niektórzy z przybyłych spotkają się jeszcze tego samego gorącego popołudnia na obiedzie w odnowionym niedawno pasażu Gartenbergów. Jak przed laty. Jakby tej wojny nigdy nie było.

Wystąpienie ANDRZEJA KUNERTA, sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa RP na uroczystościach w Czarnym Lesie pod Stanisławowem 6 sierpnia 2011 roku

Dostojni księża, przedstawiciele władz ukraińskich i polskich, miejscowych i samorządowych!

Szanowni Państwo!

Dzisiejsza uroczystość ma miejsce dokładnie w 97. rocznicę wyruszenia Legionów Piłsudskiego z krakowskich Olendrów. To właśnie ten wymarsz przyniósł niepodległość Polsce po 123 latach niewoli. Ogromne znaczenie, zarówno w szeregach walczących o tę Polskę, jak i wśród tych, którzy później tę Polskę odbudowywali i budowali, odegrała inteligencja polska, przedstawiciele której tutaj spoczywają: nauczyciele, prawnicy, urzędnicy, pisarze, duchowni, ludzie bardzo wielu zawodów. W wielu wypadkach łączyli swoje życiorysy ze służbą obywatelską dla Odrodzonej Polski.

Ludzie, których bardzo „wysoko”, straszne słowo w tym przypadku, docenili również wrogowie. Obaj agresorzy uznali inteligencję za głównego wroga. Stąd ta wyjątkowa brutalność okupantów w pierwszych tygodniach i miesiącach wojny. Pierwszą brutalną akcją było aresztowanie 6 listopada 1939 roku ponad 180 profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej w Krakowie. Jednym z nich był profesor Ignacy Chrzanowski, który przez 20 lat prowadził Katedrę Historii i Literatury Polskiej na UJ, autor pierwszej w niepodległej ojczyźnie historii literatury polskiej, na której wyrosły całe pokolenia Polaków, zwany profesorem



profesorów. Zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen w styczniu 1940 roku. Trzy miesiące później, w Katyniu, przez sowieckich zbrodniarzy został zamordowany jego syn – por. Bogdan Chrzanowski, doktor filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, żołnierz kampanii 1920 roku z pociągu pancernego „Śmiały”, nauczyciel gimnazjalny. Rzecz, którą powinno się w takich miejscach podkreślić, to jednocześnie wymierzonego uderzenia ze stron obu okupantów i to, że to uderzenie było wymierzone w inteligencję, jako ich głównego wroga. Uderzenie, które było wymierzone również w ich rodziny.

Kulminacyjnym momentem mordowania inteligencji polskiej w Stanisławowie był prawdopodobnie dzień 14 sierpnia 1941 roku. Tego samego dnia miały miejsce jeszcze dwa wydarzenia. Na Atlantyku podpisano Kartę Atlantyczną – jeden z najwspanialszych dokumentów

Wolnego Świata w XX wieku. To z tej Karty narodziły się narody zjednoczone i Organizacja Narodów Zjednoczonych. Karta ta zapowiadała kroki, które mają w przyszłości uniemożliwić pojawianie się takich tragedii jak II wojna światowa. Tego samego 14 sierpnia 1941 roku podpisano w Moskwie umowę pomiędzy Polską a Sowietami o stworzeniu armii Andersa – jedynej armii alianckiej w II wojnie światowej uformowanej z więźniów, jeńców i skazańców i przez nich dowodzonej. Tej jedynej, która szła przez trzy kontynenty i chciała z ziemi włoskiej dotrzeć do Polski. Trzeba pamiętać, że nieprawdopodobną tragedią II RP, w II wojnie światowej, jest męczeństwo w takich miejscach jak to i totalne represje wymierzone w środowiska inteligencje. Ale jest to też nieustający opór i nieustająca walka. W szeregach armii Andersa szli, między innymi, synowie tych, którzy tu zostali zamordowani. W takich miejscach musimy schylać głowy i modlić się. Musimy pamiętać o tym, co jest napisane na tej mniejszej tablicy: Jeżeli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie. Jest to chyba jedna z najświętszych polskich prawd.

Chcę złożyć podziękowania na ręce pana gubernatora, dla tych wszystkich Ukraińców, którzy pomogli w przygotowaniu, wybudowaniu i zorganizowaniu tak pięknego i godnego upamiętnienia tych ofiar.

Serdeczne Bóg zapłać!

Wystąpienie profesora JERZEGO HICKIEWICZA, syna zamordowanego w Czarnym Lesie Adama Hickiewicza

Panie Gubernatorze, przedstawiciele władz obwodu i miasta Stanisławowa, księża proboszczu, licznie zgromadzeni księża, panie Ministrze, panie Konsulu, pani Prezes. Jestem wzruszony, ale myślę, że będę kontynuował swoją wypowiedź.

Proszę Państwa!

Rzeczywiście tak to było, jak powiedział pan minister Kunert – totalitarne rządy Związku Sowieckiego i hitlerowskich Niemiec dopuściły się mordów na wielu milionach Polaków, Ukraińców i Żydów. Ale tu skupiamy się, na tej uroczystości, na dniach sprzed 70 laty, kiedy aresztowano przedstawicieli inteligencji polskiej. To była kontynuacja akcji „Kraaków”, akcji „Lwów”, potem był Stanisławów, potem Krzemieniec i inne jeszcze miejscowości.

Niemcy tępiłi przede wszystkim nauczycieli. Oni byli precyzyjni, wiedzieli, że jeden zabity nauczyciel to pozbawienie wiedzy tysięcy ludzi. W ten sposób tworzy się rasę ludzi służących, po prostu niewolników.

Proszę Państwa, to były straszne czasy. My, tutaj zgromadzeni, jesteśmy w części dziećmi i wnukami tych, którzy zostali tutaj pomordowani. Myśmy wtedy byli dziećmi, myśmy stracili rodziców mając po kilka, kilkanaście najwyżej lat. To była tragedia! Do tego wszystkiego, trzeba pamiętać, że okres wojny był tu ciężkim bardzo okresem, to nie była bogata ziemia, była jeszcze powódź, był okres, później – za czasów okupacji niemieckiej, głodu, było bardzo ciężko...

Proszę Państwa, potem wyjechaliśmy stąd, zostaliśmy wypędzeni przez władze sowieckie, stworzyliśmy sobie jakieś nowe życie, tam się urodzili nasze dzieci, nasze wnuki, niektórym nawet prawnuki – ja też należę do tych szczęśliwych. Ale serce nasze ciągnęło w tę stronę, dlatego że tu leżały prochy naszych bliskich.

O tym, gdzie leżą, właściwie nie wiedzieliśmy, dlatego że dopiero w latach 80. ubiegłego wieku bracia



Rubaszewscy zaczęli szukać tego miejsca, gdzie dokonano egzekucji. Bo przypuszczaliśmy też, że mogli oni być wysłani do obozu. Hans Krüger, który kierował akcją we Lwowie, a potem tutaj – jego nazwisko wszyscy doskonale pamiętają – zrobił to tym razem w sposób precyzyjny, zrobił to tak, że trzeba było czekać do lat 80., żeby się dowiedzieć. Jeden z braci Rubaszewskich ze swoim synem, na rowerach penetrowali te okolice, znaleźli to miejsce, znaleźli ludzi, którzy to widzieli i tak właściwie zaczęła się historia tego miejsca. Gdy powstał pomnik, miejsce było nieogrodzone, trochę grobów było ogrodzonych, myśmy wszyscy właściwie marzyli o tym, aby powstał cmentarz z prawdziwego zdarzenia, żeby tu powstał cmentarz ofiar wojny, ogrodzony, z pomnikiem, na którym, tak jak na każdym cmentarzu, są nazwiska osób, które leżą. Jest to dla nas właściwie taki symboliczny grób tych wszystkich, a dzisiejsza uroczystość jest właściwie symbolicznym pogrzebem. Ja chciałbym bardzo serdecznie podziękować księdzu proboszczowi i licznie zgromadzonym tutaj duchownym za tę uroczystość, którą nam tu przygotowaliście.

Proszę państwa, myślę, że wszyscy jesteśmy ogromnie wdzięczni panu Gubernatorowi, przedstawicielom władzy obwodu i miasta Iwano-Frankowska za to, co zostało tutaj zrobione. To

jest właściwie europejskie miejsce, to jest miejsce, które można pokazać Europie. Miejsce, które szanuje pamięć zmarłych.

Proszę Państwa, to nie jest przypadek, że tak tutaj jest, bo Iwano-Frankiwsk jest wyjątkowym miastem. Jest to miasto wielu uczelni, dobrych uczelni, to jest miasto Andruchowycza, to jest miasto Prochański, to jest miasto, proszę Państwa, salonu poetów, to jest miasto, w którym jest świetna filharmonia, to jest po prostu miasto, które ma serce, które dba o tych, którzy tutaj kiedyś żyli. To jest naprawdę bardzo wzruszające. Chciałbym bardzo serdecznie podziękować za to wszystko panu Gubernatorowi, za pomoc, której udzielił Towarzystwu Kultury Polskiej „Przyjaźń”. Chciałbym również serdecznie podziękować panu Ministrowi za wspieranie Towarzystwa „Przyjaźń”, za wspieranie materialne. Również panu Konsulowi. Ale właściwie przede wszystkim chciałbym podziękować właściwie Towarzystwu, chciałbym podziękować pani prezes Lucynie Kubickiej, małżeństwu Irenie i Witalijowi Czaczin. Chciałbym też serdecznie podziękować tym wszystkim – właściwie to są już osoby bezimienne, bo było ich tak wielu – którzy pomagali w stworzeniu tego pomnika, tego cmentarza, którzy nawet materialnie pomagali. Wiadomo, że ludzie, którzy tutaj pracowali, to nie są ludzie bogaci, a jednak pomagali, materialnie, pomagali swoim czasem, pracą. To jest naprawdę wzruszające. I za to im naprawdę: Bóg zapłać!

Serdeczne dzięki! Proszę Państwa, rzeczywiście, dobrze by było, żeby ten pomnik był taką pamiątką – przestroga, żeby takie rzeczy nigdy, nigdzie się nie powtórzyły, a dzisiejszy dzień żeby pozostał w pamięci nas tu zgromadzonych, Polaków i Ukraińców, Ukraińców i Polaków, jako znak, że pamięć o zmarłych się szanuje.

Proszę Państwa, niech spoczywają w spokoju!

Dziękuję.

Miasto, które ma serce...



Poświęcenie pomnika

OLEG BORYNIAK

SERCE...

takie proste, a jednocześnie tak ważne słowo. Dla przedstawicieli narodowości, które mieszkały w Stanisławowie przed rozpoczęciem II wojny światowej pisało się w ich ojczystych językach zupełnie inaczej. Tak, dla Polaków – serce, dla Ukraińców – серце, dla Żydów – צהרה, Ormian – սրտը etc. Ale niezależnie od alfabetu i liter dla każdego obywatela jednego z najpiękniejszych miast Galicji pełniło podobną funkcję. Dobrze się pracowało, jeżeli praca dopisywała uczuciom, którymi było przepełnione serce, jeżeli niesamowicie się kochało i miłość kwitła jak tylko przestawał działać mózg, a zaczynała się miłosna arytmia serca. Każdy, każdy z nich, niezależnie czy to Polak, Ukrainiec, Żyd, Ormianin, Węgier czy ktokolwiek inny, który mieszkał tu na stałe czy po prostu przyjeżdżał w gości, stawał się małą cząsteczką, której połączenie z innymi mu podobnymi tworzyło niezmiernie wielkie, szczere i otwarte serce tego miasta.

SERCE...

takie proste, a jednocześnie tak ważne słowo. Pamiętając o wszelkich pozytywnych stronach, związanych z sercem, nie możemy zapominać również o tym, że czasami serce boli i ten ból jest jednym z najboleśniejszych.



Składanie wieńców

Tak, po raz pierwszy serce każdego mieszkańca Stanisławowa zabolalo 17 września 1939 r. Zabolalo, ale nie pękło. Bolało, kiedy zaczęły się wywózki na Syberię, prawie rozdierało się kiedy męża, ojca, dziadka lub syna zamykano w więzieniu i jego los był nieokreślony. I znów biło się od szczęścia, jeżeli udawało się uciec spod strażnicy – tego małego mikrokosmosu, który był sensem życia.

Przywódcy III Rzeszy doskonale rozumieli, że aby podbić naród, trzeba uderzyć go prosto w serce. Zaczęło się 6 listopada 1939 r. w Krakowie aresztowano profesorów i asystentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także wykładowców Akademii Górniczej. Ogółem w ramach Sonderaktion Krakau aresztowano i wysłano do obozów koncentracyjnych 183 osoby. Dalej 4 lipca 1941 r. gestapo rozstrzelało profesorów uczelni lwowskich (Uniwersytetu Jana Kazimierza i Politechniki Lwowskiej). Kolej przysłała na Stanisławów i okolice. W pierwszej połowie

sierpnia 1941 r. dokonano mordu na inteligencji tego miasta, a także jego zwykłych mieszkańcach: Żydach, Polakach, Ukraińcach. Co po tym? Ogromna ilość tragedii życiowych, o których przez długie lata nie wolno było mówić. Co tam mówić, nie wolno było nawet wysłać listu do ukraińskiej rodziny nie zaczawszy go od słów: „Niech żyje towarzysze Stalin...”.

Ci z tej wielonarodowej wspólnoty miasta, którzy tu polegli, znaleźli miejsce swego ostatniego spoczynku niedaleko Stanisławowa we wsi Pawelcze (dziś – Pawliwka). Ich serca zostały tu na zawsze. Wiele osób wyjechało stąd do Polski, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych. Z nimi wyjechała część miasta, które ma serce.

SERCE...

takie proste, a jednocześnie tak ważne słowo. Dziś rzadko spotykane. 2011 r. To 20. rocznica niepodległości Ukrainy. Wreszcie możemy swobodnie rozmawiać o zbrodniach, dokonanych przez dwa totalitarne reżimy – nazistowski i komunistyczny. Rodzina, przyjaciele, znajomi mogą odwiedzić groby rodaków. Zmieniło się i to w dobrym kierunku. Wyraźnym sygnałem tego stały się obchody 70. rocznicy mordu inteligencji polskiej Stanisławowa i okolic.

Sluchając i czytając wypowiedzi współczesnych politologów, anality-

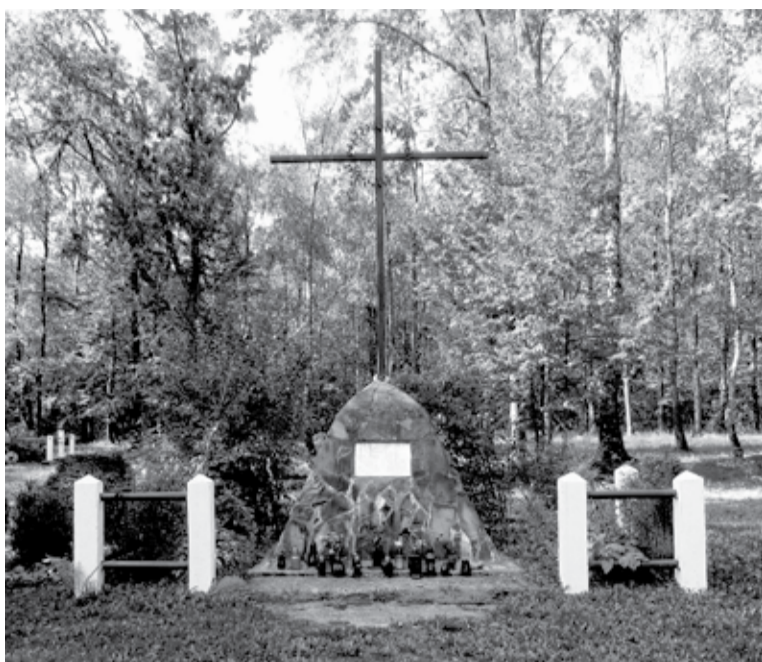
ków, polityków i innych, którzy mają coś do powiedzenia na temat aktualnych stosunków polsko-ukraińskich, dość często słyszymy mądre i skomplikowane słowa oraz wyrazy: geopolityka, konstelacja polityczna, koniunktura polityczna, pragmatyzm etc. Teraz doszło Partnerstwo Wschodnie, oczekiwania od prezydencji polskiej w Unii Europejskiej. To rzeczywiście są ważne sprawy, ale jako autor tego tekstu, pozwolę sobie wyrazić własne zdanie. Wydaje mi się, że przemawiający w trakcie obchodów 70. rocznicy mordu inteligencji polskiej Stanisławowa prof. Jerzeg Hickiewicz z Politechniki Opolskiej miał rację: gdy mówił o obecnym Iwano-Frankiwsku, nazwał go miastem, które ma serce. Całkowicie się zgadzam z Panem Profesorem i dziękuję, że padł akcent na słowie serce. Wydaje mi się, że dla pomyślnego rozwoju stosunków polsko-ukraińskich trzeba dołożyć trochę więcej serca.

SERCE...

Czy to takie proste?

ZBRODNIA W CZARNYM LESIE – CO SIĘ TAM STAŁO

Na jesieni 1939 roku, po zakończonych działaniach zbrojnych w kampanii wrześniowej, różne formacje niemieckie przystąpiły do realizacji tzw. „Akcji Inteligencja” (niem. Intelligenzaktion), trwającej z przerwami do 1943 roku, wymierzonej w polską elitę intelektualną. Akcja ta przebiegała z różnym nasileniem w poszczególnych rejonach okupowanej Polski. Najwięcej zbrodni popełniono na Pomorzu (ok. 30 tys. ofiar śmiertelnych), w Wielkopolsce (ok. 2 tys. ofiar), na Mazowszu (ok. 6,7 tys. ofiar), Śląsku (ok. 2 tys. ofiar), w Łodzi (ok. 1,5 tys. ofiar), a także w tzw. akcjach specjalnych, z których największe to Akcja AB (Ausserordentliche Befriedungsaktion, ok. 3,5 tys. ofiar), Sonderaktion Krakau i Zweite Sonderaktion Krakau (ok. 187 ofiar, uczonych i pracowników naukowych z Uniwersytetu Jagiellońskiego), oraz wymordowanie profesorów ze Lwowa.



Stary krzyż-pomnik

Stanisławów podczas okupacji sowieckiej i niemieckiej

Po agresji sowieckiej na Polskę, zaraz po zajęciu Stanisławowa, rozpoczęły się w regionie represje wobec polskiej ludności. Przez trzy dni tzw. komitety rewolucyjne aresztowały polskich działaczy, którzy byli kierowani do więzień. Tam byli bici, głodzeni, zdarzały się przypadki zabójstw bez wyroków sądów. Naprędce zorganizowana komunistyczna milicja ukraińska rozbrajała i mordowała policjantów i żołnierzy polskich. NKWD, po zorganizowaniu swojej komórki w Stanisławowie, przeprowadziła aresztowania polskich oficerów, działaczy partii politycznych, sędziów, prokuratorów. Duża z nich część zginęła w Katyniu. W latach 1940-1941 część polskich mieszkańców została wywieziona na Syberię.

Po ataku Niemiec na ZSRR w 1941 roku, NKWD wymordował polskich i ukraińskich więźniów, w więzieniu przy ul. Bilińskiego. Stanisławów początkowo został zajęty przez wojska węgierskie, które przyjaźnie odnosiły się do polskiej ludności. Później powstała ukraińska milicja, która rozpoczęła rozprawę z Ukraińcami, współpracującymi z władzą sowiecką.

Po zorganizowaniu władzy niemieckiej, została ona też użyta do niszczenia populacji żydowskiej. 4 sierpnia 1941 roku gestapo wezwało do swojej siedziby inteligentów żydowskich. Stawiono im ok. tysiąca, wszyscy zostali przewiezieni do lasu koło Uhrynowa i tam zamordowani. W następnych miesiącach gestapo dokonywało w kilku etapach masowych egzekucji Żydów. Część z nich została wywieziona do obozów koncentracyjnych. Z 30 tys. Żydów, którzy mieszkali w Stanisławowie ocalało kilkuset, ukrywając się w lasach bądź u swoich polskich lub ukraińskich sąsiadów.

Egzekucja w Czarnym Lesie

Szefem gestapo w Stanisławowie został hauptsturmführer Hans Krüger, który wziął wcześniej udział w mordzie profesorów lwowskich. Na jego polecenie 8 i 9 sierpnia 1941 roku policja ukraińska dokonała aresztowań

polskiej inteligencji, głównie nauczycieli. Jako autorów listy proskrypcyjnej wymienia się profesorów gimnazjum ukraińskiego w Stanisławowie: dr. Jana Rybczyna i nauczyciela o nazwisku Danysz.

Nauczycieli aresztowano podstępem po zwołaniu ich na naradę w związku ze zbliżaniem się roku szkolnego. Pozostałe osoby były zabierane do domów przez policję ukraińską. Polakom tłumaczono, że są wzywani na krótkie przesłuchanie. Spokojnie i uprzejmie zachowanie policjantów sprawiło, że aresztowani nie nabierali podejrzeń wobec zamiarów Niemców i poddawali się biegowi wypadków. Ogółem w dniach 8-9 sierpnia 1941 roku aresztowano blisko 300 Polaków.

Aresztowanych przetrzymywano w więzieniu gestapo i wykorzystywano przy pracach budowlanych w okolicach ogrodów Bracha. Początkowo można było z nimi nawiązać kontakt. Po kilku dniach strażnicy ukraińscy zaczęli strzelać do osób próbujących zbliżyć się do pracujących więźniów.

W nocy z 14 na 15 sierpnia 1941 roku większość aresztowanych Polaków, ponad 250 osób, przewieziono ciężarówkami do Czarnego Lasu, w okolicy wsi Pawelcze, rozstrzelano, ich zwłoki zakopano na miejscu. Z kaźni ocalał Polak, leśniczy z Sołotwiny, który korzystając z deszczu i nieuwagi konwojentów, zsunął się z ciężarówki i uciekł. Tuż przed egzekucją Niemcy zebraли grupę chłopów z Pawelcza i nakazali jej wykopanie dołów w Czarnym Lesie.

Los ofiar ukrywano przed ich rodzinami, które w dalszym ciągu czyniły starania o zwolnienie uwięzionych. We wrześniu 1941 roku, rodziny zaniepokojone brakiem informacji, wysłały delegację do siedziby gestapo, Hans Krüger zapewnił jednak że nauczyciele żyją i są w trakcie śledztwa. Pozwolił na przysyłanie paczek żywnościowych i odzieży na zbliżającą się zimę. Żywność ta była dawana psom, a odzież rozdzielali między siebie dozorczy więzienni.

Dokonanie zbrodni wyjawili zimą 1942 roku niemiecki prokurator Rotter w rozmowie z Karoliną Lanckorońską, przybyłą do Stanisławowa jako przedstawicielka Rady Głównej Opie-

kuńczej. Również Krüger będąc pewnym, że Lanckorońska nie wyjdzie z więzienia, podczas jej przesłuchania, chwalił się swoim udziałem w mordzie na profesorach lwowskich, sugerując że to samo stało się z nauczycielami ze Stanisławowa.

Relacje świadków

Technik pocztowy, Polak, J. M., zatrudniony w siedzibie gestapo przy instalowaniu centrali telefonicznej i sygnalizacji:

Miałem możliwość poruszania się po całym budynku Gestapo i wglądu na dziedziniec więzienny w ciągu kilku dni mojej pracy. Widziałem jak prowadzeni przez ukraińską policję Polacy byli doprowadzani do pokoju, gdzie urzędowali dwaj gestapowcy, bracia Maurerowie. Stamtąd po przesłuchaniu, aresztowanych odsyłano do więzienia. Akcja trwała około trzech dni. Po kilku dniach zobaczyłem, jak policja ukraińska usuwała z dziedzińca więziennego pracujących tam jakichś więźniów. Po usunięciu ich z dziedzińca, zaczęto wyprowadzać z więzienia do stojącego tam ciężarowego samochodu na wpół odzianych mężczyzn: byli tylko w spodniach i koszulkach, boso. Wielu z nich poznałem. Byli to nauczyciele i lekarze – Polacy, mieszkańcy Stanisławowa.

Dwaj ukraińscy policjanci i dwaj gestapowcy ponagli ich biciem drewnianymi pałkami (nogami od stołów i krzesel) do zajmowania miejsc w samochodzie. Szczególnie mocno pobity został jeden nauczyciel, który nie miał siły wspiąć się na wysokie podium samochodu. Uratowała go od dalszych uderzeń udzielona mu przez kolegów pomoc. Po załadowaniu wozu liczbą ok. 30-40 ludzi, nakryto ich brezentem. Wówczas wyszedł z budynku jeden z braci Maurerów, Willi, z automatem i kazał eskortie usadowić się przy więźniach. Sam wsiadł do szoferki i samochód opuścił więzienie, udając się w niezny mi kierunku.

Odpowiedzialni

Ogólnie liczbę zamordowanych Polaków w Stanisławowie szacuje się na ok. 860 osób.

Za głównego odpowiedzialnego za zbrodnie dokonane w Czarnym Lesie uważany jest SS-Hauptsturmführer



Napis na krzyżu-pomniku

Hans Krüger – skazany w 1967 r. na dożywocie za mordy na Żydach. Podpisywał wraz z Oskarem Brandtem wyroki śmierci. Wyszedł na wolność w 1988 r. Bezpośredni udział w rozstrzelaniu wzięli:

- bracia Johann i Willi Maurerowie, volksdeutsche, przed wojną żołnierze WP, podczas wojny służyli w Gestapo, wykazywali się szczególnym okrucieństwem podczas aresztowań i przesłuchań. Osobiście dokonywali egzekucji więźniów, wzięli udział w

rozstrzelaniu nauczycieli w Czarnym Lesie. Po wojnie skazani przez sąd niemiecki na karę więzienia:

- zastępca, a później następcą Krügera SS-Untersturmführer Oskar Bandt; - gestapowiec Remarb Müller; - volksdeutsch Zygmunt Adamski, po wojnie ujęty w Nowym Sączu i skazany 28 listopada 1945 r. na śmierć.

(opr. na podstawie:

Wikipedia.pl)

zdjęcia

WITALIJ CZASZCZIN

Po uroczystościach odsłonięcia pomnika-krzyża w Czarnym Lesie 06.08.2011 odznaczono zasłużone osoby

Złotym Medalem Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa odznaczono:

Mychajła Wyszywaniuka
Lucynę Kubicką
Irenę Czaszczin
Witalija Czaszczina
Jana Grabowskiego

Odnaki Za Zasługi dla Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych otrzymali:

Lucyna Kubicka
Irena Czaszczin
Krystyna Stafińska
Barbara Biliczak

PODZIĘKOWANIE

Zarząd Główny Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej składa serdeczne podziękowania na ręce Pana Prezydenta miasta Krakowa, Zarządowi oraz pracownikom Sekretariatu Prezydenta Miasta za życzliwość i serdeczność, a także finansowe wsparcie corocznej wycieczki-pielgrzymki do Krakowa i Wieliczki dla członków naszej organizacji, a tym samym dla Polaków, którzy dzięki takiej pomocy mogą odwiedzić Kraj Ojczysty, a szczególnie Królewskie Miasto Kraków.

W imieniu uczestników tegorocznej wycieczki-pielgrzymki składamy serdeczne Bóg zapłać!

ELŻBIETA LEWAK tekst
DANUTA GRESZCZUK
zdjęcia

MISJA MEDYCZNA WE LWOWIE

Wrażeniami dzieli się z „Kurierem” Alicja Brzan-Kłoś ze Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, prezes Koła Śląskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej:

„21 lipca Zespół Misji Medycznej kończy swą pracę na wschodzie. W przedsięwzięciu wzięło udział 16 wybitnych profesorów i lekarzy. Misja jest bardzo mobilna, codziennie odwiedza inną miejscowość. Swoją obecnością objęła Sambor, Stryj, Żytomierz, inne miejscowości i w końcu – Lwów. Brałam udział w spotkaniu w Samborze i Stryju. Naprawdę wzruszające. Nigdy tego nie zapomnę. Jak przyjechałam do Sambora, jak to wszystko zobaczyłam, aż się popłakałam. Cały szpital polowy przyjeżdża, jest autobus diagnostyczny. Osoby starsze, młodsze, kobiety w ciąży przychodzą po poradę i diagnostykę. W Samborze przepięknie było u księdza Kurka, łącznie z przecięciem szarfy biało-czerwonej z udziałem Konsula RP we Lwowie”.

„Rektor to inaczej, opiekun-kurator” – powiedział nam o swojej działalności ksiądz prałat Henryk Błaszczuk. 20 lipca szkoła nr 10 we Lwowie gościła Misję Medyczną. Przed gmachem starej polskiej szkoły ulokował się ogromny (jak się okazało – diagnostyczny) autobus, wewnątrz bardzo wielu lwowskich pacjentów i ludzi ubranych w zielone koszulki, którymi są wolontariusze Misji Medycznej.

Czym jest Misja Medyczna, co robi i komu zawdzięczamy wizytę jednych z najlepszych polskich lekarzy we Lwowie? Z rektorem Misji, księdzem prałatem Henrykiem PIOTREM BŁASZCZYKIEM, rozmawiała ELŻBIETA LEWAK.

Księżę prałacie, kto jest organizatorem Misji Medycznej? Dzięki komu tu dziś jesteście?

Organizatorem jest Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, natomiast środki finansowe przekazał sponsor zewnętrzny na rzecz „Wspólnoty Polskiej”. Środki te w całości pokrywają aktywność Misji Medycznej. Mogę jeszcze dodać, że sponsorem wiodącym jest rodzina książąt Radziwiłłów w Polsce.

Kto stoi na czele tej Misji?

Szefem tej misji jest pan doc. dr hab. med. Mariusz Frączek, którego z szacunkiem nazywamy profesorem. Szefa misji wspiera Rektor – to jest ktoś, kto organizuje misję w jej szerokim kontekście społecznym. Dba o umowy sponsorskie oraz o nieustającą aktywność misji.

Kto był adresatem tegorocznej misji?

Akurat ta misja udała się na Ukrainę i do Mołdawii i była skierowana do środowisk polskich. Niezależnie od tego – jeżeli zgłaszali się do nas Mołdawianie czy Ukraińcy, nie odmawialiśmy takiej pomocy. Mamy świadomość, że Polacy żyją w swoim kontekście społecznym, kulturowym i przyjęcie także ich sąsiadów, którzy nie przynależą do społeczności polskiej, jest także aktem solidarności i grzeczności. Aktywność



medyczna, tak jak i aktywność Kościoła, nie jest skierowana do jednego narodu, ale jest uniwersalna. Dla lekarza każdy, kto doznaje cierpienia, jest tak samo ważnym pacjentem, bez względu na jego pochodzenie czy wyznanie.

Tu jesteśmy na prośbę skierowaną do Misji Medycznej ze strony Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, które realizuje swoje cele statutowe, jakimi jest opieka nad Polakami między innymi na Wschodzie. Realizujemy tę prośbę poprzez pomoc Polakom mieszkającym na Ukrainie i w Mołdawii. Oczywiście misja nie rozwiąże wszystkich problemów, nie wyleczy wszystkich ludzi. Misja jest potrzebna, po pierwsze, jako przejaw, że my w Polsce mamy świadomość, iż obowiązuje nas zasada solidarności i wspólnoty narodowej, że żyjący tu Polacy są też dla nas bardzo ważni, że dostrzegamy nie tylko ich problemy kulturowe, takie jak język, pielęgnowany za pomocą form kulturalnych czy też edukacji, ale też ich egzystencjalne problemy, w które wpisuje się, między innymi, troska o stan zdrowia.

Zawiadomienie o obecności misji było komunikowane wcześniej przez konsulaty RP, parafie oraz organizacje współpracujące ze Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska”.

Jak dostrzegam, akcja ta spotkała się z wielką życzliwością Polaków oraz kościoła rzymskokatolickiego na terenie Ukrainy. Na naszej trasie z naszych badań korzystali także niektórzy biskupi i księża posługujący w społecznościach kościoła lokalnego.

Do jakich miast na Ukrainie udała się Misja?

Byliśmy w takich miastach jak Sambor, Stryj, Odessa, Winnica, Lwów, a w Mołdawii – Kiszyniów i Bielsce. Lwów jest naszym ostatnim przystankiem.

Czyją inicjatywą było zorganizowanie tej misji?

Inicjatywa organizacji tej misji należy do pana premiera Longina Komołowskiego, prezesa „Wspólnoty Polskiej”, który zwrócił się do nas, wiedząc, że potrafimy to robić, z taką prośbą, abyśmy znaleźli środki oraz potrafili zrealizować jego zamiysł opieki medycznej nad Polakami na Wschodzie. Jest to także pochodna aktywności Rady Konsultacyjnej ds. opieki medycznej nad Polakami i Polonią poza granicami Kraju na czele której stoi Minister Zdrowia. Ogromny też udział, a właściwie rozstrzygający, ponieważ bardzo wielką pomocą nam służył, jest ojciec Bruno, z zakonu bonifratrów, który pracuje duszpastersko w Drohobyczu. Jest to zakon szpitalny, który świadczy wiele dobra w zakresie

opieki zdrowotnej. Ojciec Bruno jest dla nas kluczową postacią, ponieważ to on ułożył trasę i on, cały czas będąc z nami, sprawuje roztropną i mądrą opiekę. Polegamy na jego kompetencjach, opartych na znajomości tego środowiska i jego problemów. Bez jego osoby ta misja by się nie odbyła.

Macie w swoim gronie lekarzy o różnych specjalnościach...

Wśród specjalności medycznych, którymi służymy naszym pacjentom, są: choroby wewnętrzne, gastrologia, gastroenterologia, pulmonologia, chirurgia, ortopedia, kardiologia, onkologia i pediatria. Do badań, które wykonujemy należą: spirometria, czyli badanie płuc, elektrokardiografia, czyli badanie serca, ultrasonografia zarówno żołądka, wątroby, trzustki, jak i żył, tarczycy... Poza tym, w wypadkach wskazań medycznych możemy przeprowadzić badania krwi, czyli badania biochemiczne. Jest jeszcze jedna grupa badań z zakresu epidemiologii. Na Ukrainie jest przyjęte samoleczenie i przyjmowanie antybiotyków bez wskazań lekarskich. Nawet lekarze zbyt często przypisują antybiotyki. W konsekwencji wykształciły się szcze-



py oporne na antybiotyki, co powoduje jeszcze głębsze powikłania, gdyż antybiotyki nie są skuteczne w terapii. W związku z tym chcielibyśmy opracować i uzyskać odpowiedź na pytanie, jak kształtuje się oporność na antybiotykoterapię u miejscowych Polaków. Są także prowadzone badania w postaci ankiet, które mają nam pomóc wypracować efektywne i skuteczne programy opieki medycznej nad Polakami na Wschodzie.

Jakie wrażenie zrobił Lwów na członkach misji?

Lwów nam się podoba, jest przepiękny, ludzie są bardzo dobrzy, serdeczni. Polacy tu mieszkający – w moim odczuciu – charakteryzują się wysoką kulturą osobistą, niezwykłą delikatnością, pięknym językiem polskim i bardzo ładnym umiłowaniem tego, co polskie. Oni nas uczą takiego patriotyzmu szczerego i pięknego, o którym już często w Polsce zapomnieliśmy.

Jakimi środkami dysponuje Misja?

Najważniejszym środkiem jest kadra: pan profesor Mariusz Frączek jest chirurgiem, ale we wszystkich specjalnościach mamy naprawdę wybitnych fachowców. Są lekarze, ratownicy medyczni, pielęgniarki i studenci medycyny, którzy wykonują głównie zajęcia pomocnicze. Zebrani są oni z całej Polski. Posiadamy ogromny autobus diagnostyczny, poza tym posiadamy dwa samochody terenowe outlandery, które zajmują się pilotażem kolumny, zamykając ją z przodu i z tyłu, aby można było bezpiecznie przejechać przez miasta i drogi Ukrainy. Mamy jedną ciężarówkę dla przewozu sprzętu i bagaży członków misji oraz dwa busy dla osób pracujących w misji. Sprzęt jest głównie donacją naszych sponsorów i będzie służył w następnych misjach.

Czy następne misje będą w takim razie przygotowane znów do Lwowa?

Tak, na pewno, bo jest tu duża wspólnota Polaków. Marzy nam się stworzenie ośrodka diagnostycznego. Problem jest taki, czy w oparciu o obowiązujące na Ukrainie prawo można stworzyć taki ośrodek? Jeżeli tak, to kto by go efektywnie prowadził. Jeśli byście wy nam pomogli, to pewnie i my chętnie byśmy znaleźli sponsorów, którzy by wyposażyli tego typu ośrodek. Wiem, że „Wspólnota Polska” jest bardzo otwarta na wszelkie potrzeby Polaków. Powstaje pytanie jak stworzyć trwałą, bezpieczną formułę w prawie, która dałaby gwarancję, że ten ośrodek przez lata mógłby świadczyć opiekę zdrowotną Polakom we Lwowie czy w innych miastach?

Czy Państwa piękna inicjatywa ma przyszłość?

Sądzę, że jednym z podstawowych warunków jej skuteczności jest wolność od kontekstu politycznego.

Nie chcemy wpisywać się w deklaracje ugrupowań czy polityków z osobna. W tym zakresie chcemy być transparentni. Oczywiście wspierając misję patronaty takich instytucji jak Prezydent RP, Senat RP czy Minister Zdrowia są dla nas wyrazem solidarności państwa polskiego z Polakami na Wschodzie. Innym zagrożeniem mogą być raptowne i niecierpliwie charaktery które oczekiwałyby od misji natychmiastowego rozwiązania wszystkich problemów zdrowotnych. Skala potrzeb jest ogromna, a ilość środków do ich realizacji skromna. Jestem przekonany, że ocena pracy misji będzie też probierzem uczciwego traktowania potrzeb Polaków na Wschodzie. Spodziewam się też narzekactwa i krytyki, ale na pewno zadam sobie wtedy pytanie jaki jest prawdziwy motyw świadczony nieżyczliwości.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

Profesor Mariusz Frączek:

„Szanowni państwo, jesteśmy z misją medyczną we Lwowie. Pyta mnie Pani, czy tu jest trochę inaczej niż w innych częściach Ukrainy, czy inaczej niż w Polsce? Myślę, że takie pytanie ma – jak zwykle – dwie płaszczyzny. Chorzy są tacy sami – wszędzie na świecie chorzy są tacy sami. Co do częstości występowania określonych chorób – to możemy powiedzieć dopiero na podstawie analizy naszych badań statystycznych, naszych danych epidemiologicznych. Takich danych mamy bardzo dużo, bo sporo ponad sto osób przebadaliśmy dzisiaj, sporo ponad sto osób w Żytomierzu, sporo ponad sto osób w Winnicy i tak dalej, i tak dalej... W wielu miejscach na terenie Ukrainy, na terenie Mołdawii w Bielskach. Na podstawie tego dopiero możemy powiedzieć, czy są jakieś różnice w zachorowalności pomiędzy Ukrainą a Polską. Możemy też odpowiedzieć na podstawie naszych badań na wiele innych pytań. Takim dla mnie dosyć ciekawym pytaniem jest status bakteriologiczny mieszkańców Europy i mieszkańców Ukrainy, badamy to u tych wszystkich chorych, którzy do nas przychodzą, pobieramy wymaz z nosa i na tej podstawie określamy bakteriologię. Oczywiście badania odbywają się dopiero w Polsce, w odpowiednio przygotowanych lodówkach czekają przygotowane preparaty do tego, żeby zostały w Polsce posiane. Misja medyczna to coś bardzo specyficznego. My zajmujemy się, tak jak już mówiłem, oceną epidemiologiczną i to jest zasadniczy element. Taka ocena jest potrzebna, ponieważ wydaje się, że nie ma całościowych danych odnośnie szeroko rozumianej sytuacji epidemiologicznej Polaków poza granicami Kraju. A tylko wtedy, gdy posiadamy dane odnośnie zachorowalności na określone choroby, odnośnie pewnych tendencji panujących tutaj, możemy wystąpić z propozycją rozwiązań prozdrowotnych tutaj, z propozycją odpowiednich programów. Drugi nasz cel to badanie chorych, badamy tych chorych rzeczywiście wielu, mamy ze sobą bardzo dobrych specjalistów, diagnostów i klinicystów, ale mamy i sprzęt. Mamy dwa dobre ultrasonografy, mamy możliwość badań spirometrycznych, elektrokardiograficznych – to wszystko też daje pewne wyobrażenie o całości sprawy, całości problemu. Wreszcie trzeci aspekt to aspekt wynikający z poznawania Polaków mieszkających tutaj, to aspekt wynikający z poznawania lekarzy mieszkających tutaj na stałe i myślę, że to jest również niesłychanie istotne, ponieważ możemy nawiązywać współpracę. Ta ostatnia płaszczyzna niesie ze sobą bardzo duży ładunek emocjonalny. Nigdy w życiu mi tak nie dziękowano za konsultacje, nigdy w życiu mnie tak nie dowartościowano w sensie emocjonalnym i, mimo że – tak jak wszyscy uczestnicy wyprawy – jesteśmy tutaj wolontariuszami, to jednak bardzo dużo otrzymujemy w kategoriach takich ciepłych, narodowych uczuć i myślę, że to jest najlepsza zapłata za nasz trud, za przyjazd do Państwa. Dziękuję Państwu bardzo”.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

DZIECI JEDNEGO BOGA – ARKA 2011

Co roku na przełomie lipca i sierpnia po dziesięcioro młodych Polaków, Ukraińców i Żydów z różnych terenów Ukrainy uczestniczy w międzynarodowym seminarium „Arka”.

„Za każdym razem są to nowi ludzie” – powiedziała „Kurierowi” Emilia Chmielowa, prezes Federacji Polskich Organizacji na Ukrainie, która wspólnie z Konsulatem Generalnym RP we Lwowie, Ogólnoukraińskim Centrum Badań nad Holokaustem „Tkuma”, Ukraińskim Katolickim Uniwersyteciem i Lwowskim Pałacem Kultury im. Ignacego Hotkiewicza organizowała to przedsięwzięcie.

Wspierają je również: Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”, The American Joint Jewish Distribution Committee, Conference on Jewish Material Claims Against Germany oraz Dutch Jewish Humanitarian Fund. Od 27 lipca uczestnicy cały tydzień obradowali w ekoturystycznym centrum Karpackiego Parku Narodowego. Na noclegi i posiłki przenoszono się do Domu Rekolekcyjnego grekokatolickich ojców studytów. Emilia Chmielowa zaznaczyła, że tegoroczny temat seminarium: „Dzieci jednego Boga”



Wywiadu udziela konsul RP we Lwowie Marcin Zieniewicz

został zaproponowany przez samych uczestników „Arki-2010”, podczas zeszłorocznego spotkania w Ławrze Uniowskiej ojców studytów.

„Każdego roku program wykładów jest inny – zaznaczyła znana polska pani psycholog prof. Barbara Weigl, która była obecna na wszystkich organizowanych seminariach, łącznie z pierwszym. – Byłoby nam najłatwiej powtarzać każdego roku ten sam program. Byłby coraz lepiej opracowany, coraz bardziej precyzyjny. Jednak pomyśleliśmy sobie, że i dla młodzieży, i też dla nas większym wyzwaniem będzie proponowanie i przygotowywanie za każdym razem czegoś nowego. W ten sposób tworzy się taka historia Arki. Częściowo spisana w dwóch książkach. Ta wiedza i doświadczenie rosną i myślę, że ten rok przyniesie też coś zupełnie nowego”.

Wprowadzeniem w świat sacrum chrześcijaństwa zachodniego i wschodniego stał się wykład prof. Marii Cichoń-Bitki, która razem z prof. Barbarą Weigl poprowadziły też zajęcia psychologiczno-plastyczne. Prawdziwym wydarzeniem dla młodzieży oraz samych organizatorów stały się spotkania z wybitnym ukraińskim historykiem – prof. Jarosławem Hryckiem, uczestnikami antykomunistycznej opozycji – Semenem Gluzmanem



Słuchacze seminarium

i Myrosławem Marynowyczem z Ukrainy. Do Jaremca został zaproszony też Jarosław Guzy, pierwszy przewodniczący polskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Polska pisarka, dziennikarka i publicystka Joanna Siedlecka zachęciła do obejrzenia filmu „Rózyzka” oraz do dyskusji wokół poruszanych w tym filmie problemów inwigilacji polskiej inteligencji przez komunistyczne służby bezpieczeństwa.

„Jest tylko jedno wyjście z tej schizofrenii oraz naszej schizofrenii – nie zapominać, pamiętać o zarówno o sprawcach i ofiarach – powiedział Semen Gluzman, przewodniczący Zrzeszenia

Żydowski – grupa koncertowa z Żydowskiego Centrum Społeczności Żydowskiej „Chesed Arie”. Oczywiście ciężko by było sobie wyobrazić ognisko na zakończenie Dnia Polskiego bez uczestników zespołu „Sześć Żółtych” i Marka Gierczaka.

„Takie spotkania jak Arka są priorytetowe w naszej działalności” – zaznaczył dr Igor Szczupak, dyrektor Ogólnoukraińskiego Centrum Badań nad Holokaustem „Tkuma”. Centrum znajduje się w Dniepropietrowsku i rozpowszechnia swoją działalność także na sąsiednie tereny – Mołdawi i Białorusi. Zdaniem Szczupaka na kolejnych spotkaniach „Arki” będą mile widziani młodzi dziennikarze, studenci historii. „Jednak nie zawód określa socjalną, polityczną czy społeczną aktywność każdego młodego człowieka” – zauważył Szczupak. Także niektórzy z uczestników „Arki” nie ukrywali, że po tygodniowym pobycie w Jaremczu zmienili swe poglądy na szereg spraw. Zwłaszcza te dotyczące tradycji, obyczajów czy duchowości trzech reprezentowanych narodów – Ukraińców, Polaków i Żydów.

Rozmawialiśmy również z młodzieżą. Oksana Szulga z Żytomierza powiedziała, że wiele dowiedziała się w szczególności o Holokauście, który w pewien sposób połączył trzy narody – Żydów, Polaków, Ukraińców. „A gdy była wycieczka na Howerlę, to wszyscy z Arki wspieraliśmy się nawzajem, pomagaliśmy sobie, podawaliśmy sobie nawzajem rękę. I nie było różnicy, kto jest jakiego pochodzenia czy wyznania” – dodała Oksana.

Katia i Julia przyjechały z Doniecka. Przede wszystkim zainteresowało je środowisko trzech narodów z różnych kultur i regionów Ukrainy. „Chcemy zrozumieć siebie nawzajem, ponieważ kiedyś między naszymi narodami były jakieś konflikty, nieporozumienia – mówi Julia. – Chcemy poznać sedno sprawy, ażeby naprawić błędy, przebić się przez brak wiedzy, zjednoczyć się w państwie ukraińskim”.

Anton z Krzywego Rogu nie ukrywał, że jako Żyd pragnie lepiej poznać historię swego narodu oraz jego tożsamość.

Julia Tworilowa opowiadała o wielonarodowej Odessie, mówiła, że jest rosyjskojęzyczną Ukrainką i ma wielu przyjaciół wśród Żydów. „Dlatego Arka była dla mnie podwójnie ciekawa – powiedziała dziewczyna. – Chciałam bliżej poznać kulturę polską, ponieważ wśród moich przodków byli też Polacy. Moim zdaniem, powinno być więcej takich wydarzeń, jak Arka, nie tylko na Ukrainie. Także w Polsce i w Izraelu.

Na Ukrainie zdarzają się nieporozumienia nie tylko między Polakami, Ukraińcami i Żydami – także Rosjanami i pozostałymi narodami. Możliwe, że ten problem jest nawet większy aniżeli się nam wydaje. Dlatego tam też jest potrzebny taki dialog, podobne spotkania czy seminarium”.

„Jestem kolejny raz zadowolony w tego formatu naszego seminarium trójstronnego – polsko-żydowsko-ukraińskiego, ponieważ każdy z nas może być jednocześnie oskarżonym i sędzią” – zaznaczył podczas konferencji prasowej we Lwowie prof. Myrosław Marynow-

roku, gdy obchodzono siedemdziesiątą rocznicę początku wojny niemiecko-sowieckiej. Również początku tragedii tych trzech narodów na tym obszarze Europy. „Powinniśmy więcej mówić o dniu dzisiejszym i przyszłym – podkreślił Weiss. – Oczywiście nie zapominać o przeszłości, tragedii naszych narodów. Już samo to, że trzy grupy etniczne – Ukraińcy, Polacy i Żydzi – spotykają się razem, zapoznają się, poznają tradycje swoich narodów, prezentują swoje wartości – już tym podkreślają to, co ich łączy. To ma głęboki sens”. Dr Aaron Weiss dodał,



W kuluarach dyskutują Barbara Weigl i Teresa Dutkiewicz

wyż. W taki sposób młodzież uczy się większej sprawiedliwości, większej obiektywności w ocenie faktów historycznych swej grupy etnicznej czy bólu sąsiednich narodów.

Może warto zapraszać na „Arkę” nie tylko młodych, trzeźwo myślących ludzi, którzy nie za bardzo różnią się w swoich poglądach? Może warto spróbować włączyć do takiego zdrowego środowiska ukraińsko-polsko-żydowskiego także młodzież z takich miejsc, gdzie już prawie ponad dwa ostatnie dziesięciolecia nie udaje się pokonać różnych stereotypów? Czasami i wrogich nastrojów między miejscowymi grupami etnicznymi? Na przykład



Dzień polski podczas Arki 2011

zaprosić młodzież z miasteczka Komarno koło Lwowa, gdzie Polakom nie zwrócono kościoła i którzy muszą modlić się na cmentarzu. Niech by tacy ludzie też zrozumieli i mogli powiedzieć swoim rodakom, że wszyscy jesteśmy w jednej arce, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga.

Autor pomysłu zorganizowania seminarium „Arka” – dr Aaron Weiss zaznaczył, że takie spotkania młodzieży polskiej, ukraińskiej i żydowskiej są już tradycją. Zwrócił uwagę na aktualność VI seminarium, właśnie w tym

że padła także propozycja zorganizowania kolejnego wyjazdowego seminarium „Arka” w Izraelu. Na razie w przyszłym roku miejscem spotkania młodych Ukraińców, Polaków i Żydów z całej Ukrainy znów będzie Ławra Uniowska ojców studytów. „Ten projekt Arki jest ściśle powiązany z tym miejscem, z osobą metropolity grekokatolickiego Andrzeja Szeptyckiego, który stał się symbolem tego, o czym mówimy – wyjaśnił. – Jest to Człowiek przez duże C, przywódca duchowy i przywódca ukraińskiego ruchu narodowego, który od samego początku ratował Żydów podczas Holokaustu”.

Może uda się w przyszłym roku zorganizować w Dniepropietrowsku spotkanie wszystkich uczestników „Arki”, których jest już ponad 200 osób. Organizatorzy chcą wiedzieć, czym się teraz zajmuje ta młodzież, jak realizuje postulaty dotychczasowych spotkań. Czy zachowali więź między sobą w duchu tolerancji, wzajemnego szacunku, wzajemnego zrozumienia? „Jestem pewien, że zachowując te wartości będziemy kontynuować ten projekt, z pomocą Bożą i waszą” – podsumował dr Aaron Weiss.

ARKA – dzień ostatni

Dobiegła końca szósta edycja Arki. Ostatni dzień młodzi ludzie, biorący w niej udział, spędzili w Iwanofrankowsku – dawnym (do 1962 roku) Stanisławowie. Temat programu: „Dzieci jednego Boga”.



Ks. Michał Bajcar oraz uczestnicy Arki podczas lekcji

NATALIA KOSTYK tekst i zdjęcia

W Stanisławowie młodzież spotkała się z ks. Michałem Bajcarem. Wysłuchała jego wystąpienia: „Podstawy i najważniejsze cechy wyznania rzymskokatolickiego”. Później, w miejscowej synagodze odbyło się spotkanie z rabinem Mosze Lejb Kolesnikiem, który opowiadał „O tolerancji w judaizmie”. Również tam odbyła się projekcja filmu Olgi Onyszko oraz Sary Farhat „Three Stories of Galicia” („Trzy opowiadania o Galicji”).

Film Olgi Onyszko oraz Sary Farhat, opowiada trzy różne historie. Pierwsza – żydowska. O rodzinie w Borysławiu, którą ukrywała Ukrainka, podczas gdy jej syn służył w hitlerowskiej policji. Później, ta żydowska rodzina ukrywała jej syna przed sowieckimi władzami.

Druga – ukraińska. Bohaterką jest Olga Ilkiw, członkini UPA, której odebrano dzieci. Trzecia – to opowieść o

polskim księdzu, który zaopiekował się ukraińskimi kościołami i cmentarzami żydowskimi. Film, jako całość, traktuje o tym, że różne narody mogą mieszkać „na jednym podwórku” bez starć, walk i nienawiści. Przecież jesteśmy dziećmi jednego Boga.

W synagodze pokazano część pierwszej. Widać było, że film sprawił na uczestnikach spotkania duże wrażenie. W spotkaniu uczestniczył Aaron Weiss – jeden z bohaterów „żydowskiej” części filmu, który specjalnie przyjechał żeby spotkać się z uczestnikami Arki.

Na zakończenie stanisławowskiego programu, młodzież spotkała się z o. Jurijem Nowikim w katedrze grekokatolickiej. Tematem jego prelekcji były „Moralne i duchowe wartości wyznania grekokatolickiego”.

Wzbogaceni nową wiedzą, uczestnicy Arki jeszcze długo dyskutowali, przechodząc pomalutko do tematów współczesnych. I dobrze.



Aaron Weiss – bohater filmu „Three Stories of Galicia” oraz rabin Mosze Lejb Kolesnik

Do Kalwarii

*Pielgrzymkowym szlakiem chwackim
Do Kalwarii, do Paclawskiej
Lwowska idzie brać.
Poprzez pola, łąki, gaje
Na rozstaje, przez rozstaje
Bo to Polska snadź.
Kalwaryjska Pani czeka
Na pielgrzymów, co z daleka
Przez granicę brną.
W darze niesiem utrudzenie,
Rozczulenie i wzruszenie
Z pieśnią oraz lzą.
Serce błoga myśl zagrzewa,
O Maryi dusza śpiewa,
Że Ją ujrzy znów.*

Witaj, Kalwaryjska Pani,

*Serce Ci przynosim w dani,
Pozdrawia Cię Lwów.
Pielgrzymkowym, dziarskim krokiem,
Po Kalwarii drózkach stokiem
Maszeruje Lwów.
Witaj Święta wniebowzięta,
Coś bez zmyzy jest poczęta,
Za rok przyjdziem znów.
Tu polskiego zapach chleba,
Łyk powietrza, strumień wody,
Tym się orzeźwimy.
Pozbawieni Twego nieba,
Jak powietrza nam potrzeba,
Polsko, Twej gościny.*

STANISŁAWA NOWOSAD

„MAŁPI GAJ” W OSMOŁODZIE

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcia

We wsi Osmołoda różniatyńskiego rejonu otwarto drugi co do wielkości na Ukrainie „małpi gaj” czyli linowe ścieżki między drzewami w plenerze. Wszystko według krakowskiego wzoru.

...Ekstremalna przygoda rozpoczyna się już po drodze. Nawet w luksusowym mikrobuse, którym jedziemy na Bojkowszczyznę, aby połączyć na sznurach, rozpiętych pomiędzy drzewami, podrzuca nas i trzęsie. 60 km po wyboistej drodze dłużej się w nieskończoność. Duszę wytrząsa. Myślimy: jak tam dostają się turyści? O tym, chyba, ani lokalna władza, ani organizatorzy atrakcji nie pomyśleli. Przed oczyma wyrasta elegancki kompleks budynków wypoczynkowych.

Gościnnie gospodarz, Oleg Komeniczuk, zaprasza nas na oględziny alpinistycznego parku. Idziemy kilka metrów w las. Od drzew iglastych wieje naturalnym chłodem. I aż mamy jaskrawym zielonym kolorem wielki hamak, rozpięty pomiędzy drzewami. W oddali dziesiątki mocnych lin, sznurów, drabinek, przejść, platform i siatek. Wszystkie zawieszono pomiędzy drzewami. Niektóre całkiem nisko, niektóre – bardzo wysoko. Wysokość jeden, trzy, pięć i siedem metrów. Na każdej z czterech tras o różnym stopniu trudności jest 12 etapów. Ogólna długość wszystkich tras – 485 metrów.

„W Europie ten rodzaj aktywnego wypoczynku już dawno stał się normą, – mówi gospodarz, idąc wąską ścieżką pomiędzy drzewami. – W Szwajcarii i Niemczech takich miejsc jest mnóstwo. Ten małpi gaj robiliśmy według polskich wzorców. Tylko w pobliżu Krakowa jest około 20 ta-



cej jak 120 kg. Ale wątpię, żeby ktoś z taką wagą wlaził na drzewa. Średnio przygotowany człowiek trasę pokonuje w 30-40 minut. Kto ma dobre przygotowanie, może po prostu przebiec po przeszkodach”.

Sprawdzić siebie mogą dzieci od trzech lat. Żeby pokonać wszystkie trasy, nie trzeba specjalnego przygotowania. Najważniejsze – to życzenie, giętkość ciała i logika, bo trzeba się nagłowić, jak przepięć zaczepy, aby najszybciej dotrzeć do mety. Przed przejściem trasy, obowiązkowe szkolenie. Nawet dla najmłodszych. „Hej! My już gotowi, zaczepiajcie nas” – chwytają za nogawki alpinistę-zawodowca



kich miejsc. Na Ukrainie – to na razie egzotyka. Chociaż nie ma tu nic trudnego. Tworząc park, braliśmy pod uwagę i zasady ekologiczne. Wszystkie systemy są zamontowane na drzewach bez szkody dla tych ostatnich. Nie wbiliśmy ani jednego gwoźdźca, wszystko montowaliśmy skręcając. W ciągu godziny połączyć po drzewach może do 50 osób. Co prawda, są ograniczenia pod względem wagi – nie wię-

Aleksandra Porchunowskiego kilkoro dzieci w wieku 7-10 lat. Młodzieniec uśmiecha się i pomaga założyć ekwipunek na maluchów, wydaje rękawice. Mocnymi sznurami obwiązuje się tutaj wszystkich: i maluchy i wytrawnych alpinistów. Zasady są dla wszystkich jednakowe. Jeszcze mig – i w górę, zdobywać zielone szczyty!

„U nas jest bezpiecznie. Proszę nie wątpić. Cały ekwipunek posiada

odpowiednie atesty, – przekonuje Aleksander. – proszę spojrzeć: górna linę wytrzymałe obciążenie do trzech ton (!!!). Na niej zawsze mocujemy linę asekuracyjną. Może nawet w jednym miejscu zawisnąć grupa dzieci i nic się nie przytrafi. Tych którzy zawisli – zdejmujemy od razu. „Gdzie leziesz?” – „Nie tak trzeba!” – „Zaczepek karabinek w lewą stronę! Trzymaj się rękoma!”, – próbują swoich sił przyszli zdobywcy górskich szczytów. Na razie trenują w osmołodzkim lesie. Ale, jak prawdziwi alpinści mają liny i asekurację. Właśnie dla nich – maluchów i młodzieży – to największe szczęście i korzyść dla zdrowia.

Potwierdzają to i medycy. Zenowij Wasylków, główny lekarz dziecięcego sanatorium „Jesion” im. metropolity Szeptyckiego w różniatowskim rejonie, zauważa, że oprócz obciążenia fizycznego, odpoczynek w małpim gaju daje jeszcze ogromną moralną satysfakcję. „Jest to o wiele korzystniejsze, niż spędzanie czasu przed telewizorem czy komputerem, – dodaje lekarz. – Dzieci pokonują przeszkody i, tym samym, wiele swoich kompleksów. Pokonują strach wysokości, uczą się działać w grupie, obcować ze sobą. Z tym ostatnim w nasz zelektronizowanym świecie też są trudności. Przyroda tu wspinała. Lasy iglaste. Wysokość Osmołody – 650 m nad poziomem morza”.

„Hu-u-ura, leczę!” – krzyczy Nazar Maliok. Chłopiec po kilkusekundowym locie na linie wpada do siatki. Teraz trzeba zastanowić się jak zleźć, jak zdjąć karabinek asekuracyjnej liny. „Ciężko. Bola ręce. Drżą nogi. Miałem wrażenie, że za moment upadnę, ale się nie bałem, bo byłem dobrze asekurowany. Jest wspaniale. Chcę jeszcze!” – mówi rozpalony chłopiec. Taki nastrój i radość dzieci to najwyższa ocena dla pracowników parku. Między innymi, już niedługo zostaną tu rozegrane zawody sportowe z początkowego alpinizmu.

OPIEKUNKA LWOWSKIEJ STARÓWKI

z LILIĄ ONYSZCZENKO-SZWEC, kierownikiem Inspektoratu Ochrony Historycznego Środowiska Lwowskiej Rady Miejskiej rozmawiał KONSTANTY CZAWAGA.

Pani Lilio, wiemy, że Lwów posiada „ojców miasta”. Pani zaś przypadło w udziale otoczyć macierzyńską opieką naszą starówkę – która po dzień dzisiejszy jest sercem miasta.

Gdy studiowałam na wydziale architektury Politechniki Lwowskiej, nigdy nawet do głowy mi nie przyszło, że będę opiekować się zabytkami. Miałam nadzieję, że w przyszłości będę projektować coś nowego, lecz stało się tak, że po studiach zostałam skierowana do pracy do naukowego działu Państwowego Historyczno-Architektonicznego rezerwatu we Lwowie (był taki w naszym mieście). Tak to się zaczęło. Były to jeszcze radzieckie czasy. Lwowskie zabytki architektury były słabo zbadane, dlatego musiałam sporo pracować w archiwach. Im głębiej badałam historię tych budynków, tym bardziej wciągała mnie ta praca. Później człowiek już po prostu za dużo wie, by to wszystko, ot tak zostawić i zająć się czymś innym. Chociaż myślałam o tym. Przecież były takie czasy, gdy to wszystko nikomu nie było potrzebne.

Jeszcze w czasach radzieckich zaznaczano, że spośród wszystkich miast na Ukrainie to właśnie Lwów posiada najwięcej zabytków. Znajdują się one pod ochroną państwa, świadectwem czego są specjalne tablice.

Tak, w 1975 roku Związek Radziecki, ówczesna USSR, zrozumiał, że powinno się zacząć chronić lwowskie zabytki przed zniszczeniem. Dlatego postanowiono stworzyć rezerwat, który objąłby ochroną nieduży teren Śródmieścia; chociaż wcześniej istniał już rejestr zabytków, gdyż zajmowano się tym od około końca lat 60. Mówiono o potrzebie zachowania dziedzictwa kulturowego, chociaż już za panowania Polski i Austrii we Lwowie istniało Grono Konserwatorskie. Grono, jak wiadomo, nigdy nie dopuszczało do wykonania niefachowej restauracji. Pomagało. Dzięki jego działalności udało się zachować wiele zabytków. Tak więc ochrona dziedzictwa kulturowego we Lwowie posiada swoje głębokie tradycje. Jednak nie tak dawno zaczęto postrzegać architekturę XIX-XX wieku, a zwłaszcza architekturę socrealizmu, jako taką, którą warto zachować dla kolejnych pokoleń. Lwów jest znany jako „złote maleństwo renesansowe”; zabytki z epoki renesansu i baroku są skoncentrowane na porównywalnie niewielkim obszarze śródmieścia – miasta w murach. Jednak Lwów miał jeszcze jeden okres rozkwitu, gdy był stolicą Królestwa Galicji i Lodomerii w monarchii Austro-Węgierskiej. Pracowało wtedy we Lwowie wielu rzeźbiarzy i architektów, uchoźców z różnych europejskich krajów, którzy zostawili po sobie unikalny spadek. Rodziny lwowskiej architektury okresu klasycyzmu, historyzmu i secesji jest właśnie detal. Są to i witraże, i piece kaflowe, schody, poręcze, sztukateria, malowidła



Lilia Onyszczenko-Szwec podczas renowacji

naścienne, dekoracje z drewna. Utracono masę tego właśnie „detalu architektonicznego”, zniszczonego przez czas i ludzi, nie czujących potrzeby jego zachowania...

Pani Liliu, z czego ma Pani największą satysfakcję, co udało się Pani uratować bez względu na wszelkie trudności? Co też najbardziej Panią martwi?

Konserwator miejski – to zazwyczaj samotny bojownik. Chociaż jesteśmy powołani do tego, by chronić dziedzictwo kulturowe, największym skarbem pozostaje człowiek. Przecież zabytki chronimy dla dzisiejszego i przyszłego pokolenia, czyli dla ludzi. Każde historyczne miasto balansuje pomiędzy swoją funkcjonalnością, swoim rozwojem i zachowaniem historycznych pierwiastków. Dlatego ani program modernizacji gospodarki miejskiej, ani restauracja nie mogą zostać do końca zrealizowane. Musimy szukać kompromisów...

Dlatego dla miejskiego konserwatora sztuką jest odnalezienie równowagi pomiędzy zachowaniem i rozwojem. Metoda zakazów i kar dużo nie pomoże. Aktywizować społeczeństwo uda się tylko wtedy, gdy zainteresuje się ono wspólną ochroną historycznie sformowanego środowiska. Życie w mieście chronionym przez UNESCO może wnieść pewne ograniczenia w życie ludzi.

Staramy się uświadamiać ludzi, by chronili to, co dostali. Nie zważając na narzekania, że państwo nie daje pieniędzy, nie zważając na naszą biedę, musimy przyznać, że najwięcej zabytków niszczy się przez brak uwagi, przez naszą obojętność. Przez to, że ludzie nie wiedzą, jak wartościowe są te kamienice.

Co udało się odrestaurować? Przede wszystkim zespół architektoniczny katedry Ormiańskiej. Nawet niefachowym okiem widać, jaka jest teraz piękna. Jeszcze kilka lat temu na dzwonnicy w ogóle nie było dachu. Teraz mamy odnowioną i dzwonnice, i dach, i podwórze, i malowidła naścienne wewnątrz. W te prace były włożone fundusze z miejskiego budżetu Lwowa i z Ministerstwa Kultury Polski. Pomogła ormiańska wspólnota z Polski oraz dobra wola miejscowej wspólnoty ormiańskiej – świeckiej i duchowej,

która wniosła swój wkład w całą sprawę. Prace wykonywali polscy i ukraińscy restauratorzy, co też było bardzo dobre, bo jedni od drugich czegoś się nauczyli. Jeśli w tym roku skończymy prace na podwórzu, a w następnym odnowimy kolumnę św. Krzysztofa, to będziemy mogli powiedzieć, że jest to przykład całościowego podejścia do restauracji zabytku.

Chcę jeszcze dodać, że miło nam się pracuje z polską stroną. Wszystkie prace, które zaplanujemy, są wykonywane należycie i na czas. Nie ma jakichkolwiek opóźnień w finansowaniu prac. Wspólnie z polskimi konserwatorami mamy na wszystko oko i rozwiązujemy problemy, które powstają w trakcie. Trwają wciąż prace na Cmentarzu Łyczakowskim. Wybieramy różne nagrobki, które mają wartość artystyczną. Nie ma różnicy, kto tam jest pochowany: Polacy, Ukraińcy, Ormianie, czy przedstawiciele innych narodów. Odnówić coś jest łatwo – trudniej jest to ochronić.

A jak przebiega restauracja takich ważnych obiektów jak katedra łacińska, grekokatolicka cerkiew św. Jura, rezydencja rzymskokatolickich metropolitów?

Prace w katedrze łacińskiej również finansuje Ministerstwo Kultury Polski. Finansuje je regularnie i widzimy, że na zewnątrz już wszystko jest gotowe, a wewnątrz świątyni prace są wciąż kontynuowane. Małymi krokami, ale fachowo.

Kompleks św. Jura jest ogromnym obiektem i potrzebuje całościowej restauracji oraz stałego finansowania z różnych źródeł: miasta, państwa, wspólnoty religijnej. Trzy lata nie mamy finansowania ze strony państwa. Wcześniej decyzje o podjęciu prac były podejmowane sporadycznie, na przykład z okazji przyjazdu Jana Pawła II. Tak naprawdę dziesięć lat temu udało się tam wiele zrobić. Lepiej czy gorzej. Zespół świętojurski parą się z wieloma problemami. Sad klasztorny w ogóle nie jest uporządkowany. Nie jest ani miejscem publicznym jako park, by ludzie mogli tam przyjść i odpocząć, ani zamkniętym cerkiewnym terenem. Chciałoby się, by dolne tereny były otwarte, należycie uporządkowane i dostępne dla wszystkich.

Co do restauracji rezydencji lwowskich metropolitów łacińskich, też nie byłabym aż taką optymistką. Widocznie, jak często u nas bywa ze świątyniami lub innymi budynkami, ich użytkownikom wydaje się, że wiedzą najlepiej, jak te budynki należy restaurować. Polscy fachowcy przygotowali projekt, ale, niestety, nie mogliśmy go przyjąć. Zaproszeni specjaliści zaproponowali zamienić stare kamienne detale na fasadzie (a jest to klasycyzm) na pianobeton według niemieckiej technologii. Przekonywali nas, że nowe elementy przetrzymają 200 lat, ale z punktu widzenia konserwatora tych kamiennych detali nie można zamienić na detale z innego materiału. Na szczęście, doszliśmy do jakiegoś porozumienia w kwestii zachowania kamiennych obramowań okiennych. Pałac kurii rzymskokatolickiej był w bardzo złym stanie. Wynajmujący, którzy byli tam po II wojnie światowej, nie pilnowali tego budynku, przeprowadzali niefachowe remonty, zamieniali, na przykład, stare schody na betonowe. Również wyrządził mu szkody kolektor pod budowlą. Natomiast teraz zabytek będzie profesjonalnie odnowiony.

Zdarzało się, że w ciągu 20 lat niepodległej Ukrainy miejscowi politycy, którzy doszli do władzy, nadawali prerogatywę w przekazywaniu funduszy z budżetu tylko wybranym świątyniom. Nie zwracali uwagi na stan pozostałych zabytków wielokulturowego Lwowa.

Ochrona dziedzictwa kulturowego powinna być w ogóle odseparowana od polityki, choć nie może być niezależna od państwa, gdyż jest zależna od państwowego budżetu. We Lwowie istnieje 40 czynnych chrześcijańskich świątyni, które są zabytkami architektury. Oprócz tego – dwie synagogi. I prawie każdy proboszcz świątyni zwraca się po pomoc do miejskich władz. Oczywiście nie każda cerkiew może samodzielnie zbierać pieniądze na restaurację. Lecz każda z tych świątyni potrzebuje jakiejś pomocy, dlatego władze miejskie nie mogą udzielić pełnej pomocy finansowej wszystkim świątyniom. Oczywiście miasto stara się wydzielić pieniądze na najbardziej nagłe potrzeby. Na przykład, w tym

roku robimy dach na kościele pw. św. Jana Chrzyciela. Tam faktycznie potrzebny jest gont. Rok temu zamieniono dach na kościele jezuitów również na koszt miasta. Jest to ogromna świątynia dopiero teraz przekazana UGKC; dotychczas znajdował się tam księgozbiór Ossolineum. O katedrze Ormiańskiej już wspominaliśmy; całkiem sprawiedliwe wydaje mi się to, że właśnie jej najbardziej pomogło miasto, gdyż ormiańska wspólnota nie jest duża. Dobrze, że Kościół rzymskokatolicki sam znajduje fundusze. Wspólnota żydowska również sama finansowała remont synagogi przy ulicy Braci Michnowskich; jednak nie ma funduszy na remont synagogi przy ulicy Wugilnej.

Wspominaliśmy już o tym, że większość lwowian postrzegających problem powiązany z zachowaniem piękna historycznego dziedzictwa miasta, w którym mieszkają. Nie można pominąć też tego faktu, że duża część młodych mieszkańców miasta przybyła z okolicznych wiosek. Jest to niewątpliwie wynikiem powojennej migracji. W jaki sposób można z tym walczyć?

Straciliśmy ciągłość pokoleń we Lwowie. Tożsamość kulturową. Tragédia Lwowa polega na tym, że w powojennym Lwowie zostało nie więcej jak 30 procent rdzennej ludności, a może nawet mniej. Natomiast przyjechali ludzie, którzy absolutnie nie utożsamiają się ze Lwowem. Było to dla nich czymś obojętnym. Przyjechali do miasta, którego nie zdołali docenić. Ciekawe, że gdy przyszli „nasi oswobodziciele”, pierwsze, co zniknęło z lwowskich kamienic – to łazienki w toaletach. Było je najlżej ukrącić i wynieść. Stopniowo zniknęły piece, parkiety, kominki. To, oczywiście, są dla Lwowa rzeczy tragiczne. Jeszcze dziś wiele osób uważa, że wszystko poza granicami ich mieszkań jest wspólne, czyli niczyje i ktoś (miasto, państwo), ale nie ja, musi o to dbać. Postsowiecki syndrom. Trzeba to wszystko jakoś przelamać w świadomości takich ludzi. Próbuje my wspomóc finansowo tych mieszkańców, którzy chcą odrestaurować bramę, okno. Konsultujemy właścicieli kawiarni czy innych zakładów. Na szczęście, skończył się już okres tak zwanych euroremontów, który nie miał nic wspólnego z restauracją, kiedy wszystko miało być na glanc. Ale teraz przyszedł inny inwestor. Na przykład, po długich rozmowach udało nam się przekonać inwestora, który zajmuje pomieszczenie (znanej na całą Polskę) byłej cukierni Zalewskiego przy ul. Akademickiej. Udało nam się go przekonać, by nie zmieniał „dekoru” ani mebli. Zaproszono tam fachowych konserwatorów, którzy odnawiają wnętrza i znów będzie tam cukiernia.

W jakim stopniu korzystacie z doświadczenia zagranicznych kolegów z miast-rówieśników w Polsce, Niemczech, Austrii oraz w innych państwach Europy?

Tak, szczególnie korzystamy z doświadczenia europejskich miast, których część jest obiektem, chronionym

przez UNESCO. Na przykład Kraków, Zamość w Polsce czy Bamberg, Regensburg w Niemczech. Te miasta mają podobne problemy i dzielą się z nami doświadczeniem w kierowaniu historycznymi miastami.

Fachowców-konserwatorów we Lwowie jest zbyt mało, jeśli chodzi o ilość zabytków w mieście. Oprócz restauratorów malowideł ściennych oraz ikon, nie mamy fachowo wyszkolonych konserwatorów, dlatego że nie mamy odpowiedniej szkoły. Sprytniejsi otrzymują stypendia na naukę w Polsce („Gaude Polonia”) lub w innych państwach, ale potem nie za bardzo chcą wracać. Niemieccy fachowcy w ramach programu „Rozwój miejski i odnowienie starego Lwowa”, finansowanego przez niemiecki rząd, prowadzili we Lwowie serię szkoleń, mających na celu podwyższenie kwalifikacji restauratorów kamienia, drewna, metalu. Doktor Janusz Smaza przyjeżdża z Warszawy i konsultuje kamieniarzy. I bardzo dobrze, bo zaraził już tym wielu. Mamy już 10–15

skierowywać przyszłych konserwatorów na odpowiednie uczelnie za granicą – na naukę.

Mer miasta wykorzystuje każdą okazję, by lwowscy specjaliści trafili na szkolenia za granicę. Również Rada Miejska zaprasza specjalistów z Niemiec, Anglii, Polski do Lwowa, by podzieliли się swoją wiedzą. Można w ten sposób wykształcić więcej specjalistów. W zeszłym roku, dzięki wsparciu mera miasta Lwowa, wspólnie z Zamościem przeprowadziliśmy XI Międzynarodową Szkołę Letnią, która co roku odbywa się w Zamościu. Jej tematem było zachowanie dziedzictwa kulturowego UNESCO. W 2010 roku przeprowadziliśmy ją wspólnie – tydzień w Zamościu i tydzień we Lwowie. Uczestniczyli w niej fachowcy z wielu państw Europy. Oprócz tego, wspólna praca nad konkretnym obiektem jest najlepszym sposobem uczenia się.

Często narzeka się, że Lwów staje się coraz bardziej prowincją. Niestety. Może nie byłoby w tym nic złego, gdyby

miejsca, przeznaczonych dla rekreacji, aktywnego wypoczynku. A jednak nie zjawila się żadna inicjatywa społeczna, by wspólnie wyczyścić, na przykład, jezioro na Pohulance i zrobić tam plażę. Natomiast jest dużo inicjatyw, dotyczących wzniesienia kolejnych pomników, które wciąż przypominają czasy totalitaryzmu. Czy od tego polepszy się jakość życia w mieście?

Ale mamy przykłady udanych pomników o niewielkich rozmiarach, jak na przykład Iwana Trusza czy Nikifora.

Te małe, udane pomniki powstały cicho. To prywatne inwestycje. Ludzie są szczęśliwi z tego powodu, że mogą do nich podejść. Możesz porozmawiać z Truszem lub posiedzieć koło Nikifora. Natomiast nie możesz podejść do Szewczenki, bo jest tak wysoko, że już nie jest twój. Szewczenko jest symbolem, dlatego takie podejście do niego jest uzasadnione. Ale w żaden sposób nie jest uzasadnione podejście różnych społecznych organizacji do innych historycznych postaci, którym również chcą wznosić pomniki.

Ostatnio we Lwowie zwiększyła się ilość nowych drewnianych cerkwi. W jakim stopniu wkomponują się w urbanistyczny pejzaż Lwowa? I czy te świątynie są odpowiednio zabezpieczone przed, nie daj Boże, pożarem? Przecież w dawnych czasach właśnie z tego powodu miasto traciło drewniane zabudowania.

Właśnie przez to Gabriela Zapolska musiała wybudować drewnianą willę aż na Pasiękach – ponieważ władze miejskie nie pozwoliły na taką zabudowę w mieście.

Cerkiew na placu Piwdenym to osobna historia. Drewniana cerkiew pokryta dachówką metalową to oczywiście „arcydzieło” myśli architektonicznej. Gdy UKU wznosił drewnianą cerkiew przy ulicy Stryjskiej, zrodziła się idea, by przenieść drewnianą cerkiew z pewnej wsi. Tam ta świątynia faktycznie nie była wykorzystywana i miejscowy kapłan chciał jej się pozbyć. Mówił o tym otwarcie, bo chciał budować nową cerkiew. Ale gdy w końcu się na to zdecydowano, spotkało się to ze sprzeciwem mieszkańców wioski. Czas zadecyduje o tym, czy wkomponują się takie cerkwie w architekturę Lwowa. Takie cerkwieki upiększyły miasteczka akademickie Lwowskiej Politechniki i Uniwersytetu Leśniczego we Lwowie. W małej drewnianej cerkiewce jest szczególnie, kameralna atmosfera, inna niż w takich ogromnych murowanych świątyniach, jak, na przykład, kościół bernardynów. Na ziemi lwowskiej mamy kilka drewnianych kościołów, które powoli zmieniają się w ruiny – przez to, że nikt z nich nie korzysta. O nie też trzeba zadbać.

Na zakończenie naszej rozmowy proszę powiedzieć, czego Pani by życzyła Czytelnikom „Kuriera Galicyjskiego”, między innymi tym, którzy jadą do Lwowa? Jak mają odbierać to miasto ci, którzy jadą tu nie tylko z nostalgią, lecz także, często, z uprzedzeniami, krytycznie nastawieni? Jak powinno się odbierać współczesny Lwów?

Przede wszystkim ludzie powinni być ogólnie życzliwi. Takim przykładem stał się dla mnie były lwowianin,

dziennikarz Leopold Unger, którego poznałam kilka lat temu. Miał już 85 lat i wciąż pracował jako dziennikarz w Berlinie. Był Żydem. Wyjechał ze Lwowa w wieku 19 lat przez Rumunię. Cała jego rodzina – ojciec, matka, brat, którzy pozostali we Lwowie, zginęli na tych naszych Piaskach. Po tylu latach, przyjechawszy do Lwowa, mógł mieć uprzedzenia. Lecz jak bardzo był to optymistyczny i życzliwy człowiek! Powiedział tak: „Nie jest to już mój Lwów. To inny Lwów, są tu inni ludzie, inny język, ale nawet gdyby nie było tych okresów w historii, miasto i tak by się zmieniło, bo lata mijają”. Ten starszy mężczyzna wdrapał się na kopiec Unii Lubelskiej szybciej od nas, chociaż był upały. W dodatku cały czas coś mi opowiadał. Następnie poprosił, by odwiedzić go do szkoły, gdzie się uczył. Potem znaleźliśmy budynek, w którym mieszkał. Wszliśmy do jego dawnego mieszkania. Wszystko to odbierał pozytywnie. Lwów w ciągu ostatnich stu lat należał do pięciu różnych państw i,

szczególne jej karty. Może genius loci Lwowa się zmienił, ale wciąż jest. Miasto powinno zawsze gościć nie przyjmować turystów, ale o wiele ważniejsze jest komfortowe codzienne życie jego mieszkańców. Nasze Śródmieście nie powinno zmienić się w jakąś turystyczną Mekkę – bardzo nie chciałabym do tego dopuścić. Gdy przyjeżdżamy czasem do Krakowa, to nie ma już na tej Starówce życia. Są tam tylko turyści. Zagraża to również naszemu miastu. Władze miejskie starają się utrzymać mieszkańców w naszym Śródmieściu, zachować koloryt miasta, chociaż jest to trudne zadanie. Mieszkania są tu nie najlepsze, dlatego przy pierwszej możliwości ludzie starają się je sprzedać. Inwestor może wykupić wszystkie mieszkania w budynku. Wtedy przebudowuje kamienicę na hotel lub przystosowuje do innego użytku. W taki sposób budynek traci swoje przeznaczenie, pozbywa się podwórka. Lwów nie musi być tak wylizany, jak to widzimy gdzieś w Eu-



Dzwonnica katedry Ormiańskiej

konserwatorów kamienia. Nie mamy konserwatorów metalu. Oprócz tego, Ukraina nie jest członkiem ICCROM-u [ICCROM – ang. Międzynarodowy Ośrodek Studiów dla Poprawy i Rozwoju Metod Konserwacji Dziedzictwa Kultury – przyp. redakcji], organizacji, która umożliwia konserwatorom nieodpłatne pobieranie nauk we Włoszech i w prestiżowych szkołach innych państw. Potrzebna jest tylko dobra wola rządzących państwem, by stać się częścią tej prestiżowej organizacji. Opłata wstępna jest symboliczna. Również specjalistów wykonawców ogólnych prac restauracyjnych jest bardzo mało.

Czy jest młodzież, która chce wyjechać za granicę, by zdobyć tam potrzebny dla Lwowa fach konserwatora?

Dobre pytanie. Ale kto miałby ją tam skierować?

Miejska Rada Lwowa. Mer miasta, pan Andrij Sadowyj, często mówi, że dba o kształcenie za granicą potrzebnych specjalistów.

Po pierwsze, nasze wyższe uczelnie powinny nie zamykać się tylko w sobie, ale chociażby na 1–2 semestry

była to prowincja tylko w sensie ocen i tzw. ratingu; nie każde duże miasto musi być metropolią. Na prowincji o wysokich standardach żyje się lepiej aniżeli w hałaśliwej metropolii. Lwów miał swoje okresy rozkwitu i upadku. Lwów był stolicą. Czasem upadał prawie na dno, ale później znów się podnosił. Boli mnie nawet nie to, że Lwów zamienia się w miasto prowincjonalne, ale to, że nie widzę potencjału, który go by z tego wyciągnął.

Nie czujemy się odpowiedzialni – każdy z osobna – za to miasto, nie mamy łączącego nas rdzenia. Każdy stoi na swoim i nie potrafi nawet wysłuchać drugiego, nie mówiąc już o tym, by przyjąć cudzą myśl dla dobra sprawy. Różne podejścia, różne pomysły, krytyczne nastawienie – to wszystko jest dobre, ale cel musi być jeden, wspólny. Miasto musi być przyjazne dla turystów, ale przede wszystkim musi się tu dobrze żyć jego mieszkańcom. Dlatego lękam się tych globalnych projektów, gdy planujemy, nie mając odpowiedniego podłoża, nie analizując sytuacji i nie układając listy priorytetów.

Na przykład, we Lwowie brakuje



Dawny kościół oo. Bernardynów we Lwowie

oczywiście, pozostawiało to po sobie ślad. Leopold Unger zauważył: „Moi rodzice urodzili się w Austrii. Mieszkali w Polsce. Zostali rozstrzelani w Niemczech. Byli pochowani w Związku Radzieckim. Spoczywają w niezależnej Ukrainie. I nigdy nie opuszczali Lwowa”.

Historię powinno się znać, a nie próbować ją zmienić czy zatrzeć po-

ropie, ale może być wydeptany, gdyż ma już za sobą wiele lat, lecz koloryt miasta powinien zostać: żeby bielizna schła na sznurku, pies biegał i kot miauczał, i pachniało wczorajszą zupą. Takie miasto będzie niezwykle i turysta na pewno do niego przyjedzie.

Dziękuję za rozmowę.



Pani
JOANNIE SZELIDZE

wyrazy głębokiego współczucia, żalu i smutku
z powodu tragicznej śmierci siostry
MAŁGORZATY

składa
p.o. Konsula Generalnego RP we Lwowie
Andrzej Drozd
wraz z pracownikami konsulatu

„MOSTY POJEDNANIA” Kosów – perła Huculszczyzny

SABINA RÓŻYCKA

opracowała według materiałów mera Kosowa Mykoły Fokszeja

Huculszczyzna – to jeden z najbardziej malowniczych zakątków Europy. Rejon jest niewielki, położony w sercu Karpat, ze swoistym krajobrazem, dekorowany wiekowymi smerekami i niepowtarzalną florą, oczarowuje, zakochuje w sobie i nie odpuszcza. Geograficzne położenie Huculszczyzny jest szczególne, bo bezpośrednio graniczy ona dzisiaj z państwami UE. Powiązania transgraniczne nabyły dzisiaj nowych cech politycznej, ekonomicznej i kulturalnej współpracy. Perłą Huculszczyzny jest rejon Kosowa, z centrum w samym mieście. Ten rejon przedstawiamy czytelnikom w kolejnej edycji „Mostów Pojednania”.

Miasto jest administracyjnym oraz handlowym centrum Huculszczyzny, Położone u podnóża Pokuckich Karpat nad rzeką Rybnicą, prawym dopływem Prutu. Długość rzeki – 54 km. Miasto obejmuje teren prawie 1140 hektarów, w tym – 279,3 ha stanowią lasy. Teren chroniony, sady i ogrody zajmują 27 ha, budynki i ulice – 67 ha, rzeka i jezioro – 15 ha. Kosów liczy około 8,5 tys. mieszkańców.

Z historii perły Huculszczyzny

Miasto powstało w drugiej połowie XVI wieku w miejscu pokładów soli. Czwierć mili od miasteczka była solanka, gdzie warzono sól. Miasto początkowo nazywało się Ryków, a z czasem przejęło nazwę wioski i stało się Starym Kosowem. Pierwsza wzmianka



Ceramika huculska



Rynek w Kosowie

historyczna pochodzi z XV wieku. Jest to darowizna litewskiego księcia Świdrygielły dla bojara Włada Dragosyna, datowana 31 sierpnia 1424 roku. Od 1867 Kosów staje się stolicą powiatu, a od 1939 roku – rejonu. Od 1934 po 1939 pełna nazwa miasta brzmiała Kosów Huculski, a w okresie okupacji niemieckiej na korespondencji widniały pieczętki „Kosów koło Kołomyi” (Kosiw ad Kolomea).

Jeszcze w XIV w Kosowie założono klasztor. Klasztorze w tych czasach były nie tylko zakładami duchowymi, ale ośrodkami oświaty i nauki – w klasztorze i cerkwi św. Mikołaja była biblioteka. Świątynia została zlikwidowana pod koniec XVIII wieku. Kosów zawsze był wielonarodowym miastem. Mieszkali tu Polacy, Rosjanie, Romowie, Moldawianie, Białorusini, Tatarzy i Żydzi. Tu, w Kosowie, powstał chasydyzm, założycielem którego był Izrael ben Elizer, zwany też Baal Szem Tow (1700? – 1760), który mieszkał tu w latach 30-40 XVII wieku.

Sami Huculi zawsze byli pobożnymi i głęboko wierzącymi ludźmi. Cerkwie huculskie mają swój odrębny styl architektoniczny, specyficzne malowidła ikonostasu. Duchowość Huculów sprawiała, że nikomu, nigdy nie udało się złamać tego narodu siłą. Przykładem głębokiej wiary jest odbudowa w Kosowie wspaniałej cerkwi św. Wasyla Wielkiego, która spłonęła w 2009 roku. Nowa świątynia powstała w ciągu dwóch lat z datków mieszkańców. Tworzyli ją młodzi budowniczości ze wsi Głowy rejonu werchowyńskiego. Ta drewniana konstrukcja stała się ozdobą całej Ukrainy i dowodem nieodcignionego mistrzostwa huculskich architektów.

Pierwsza szkoła w mieście została otwarta w 1792 roku. O stosunku miejscowych mieszczan do oświaty świadczy fakt, że Wojciech Kubczyński w 1830 roku zbudował nowy gmach szkoły i przeznaczył fundusze na jej utrzymanie oraz na utrzymanie nauczyciela. W latach 1845-53 w Kosowie nauczycielem był o. Josafat Kobryński, autor pierwszego ukraińskiego elementarza i metodyki nauczania. Na przełomie XIX-XX wieków na terenach powiatu prowadzone były badania etnograficzne. Prowadzili je m.in. znani ukraińscy historycy, literaci i etnografowie. Wiel-

ką pomoc w ich przebiegu okazywała inteligencja i wieśniacy, którzy dziellili się swymi wiadomościami. Prace etnograficzne prowadził tu też Polak Oskar Kolberg i Austriak Rajmund Kaindl.

Do współpracy zapraszają ludzie inicjatywni i przedsiębiorczy

Nieliczna, ale bogata twórczą energią huculska inteligencja ma swój wkład w niepodległości ojczyzny i jednocy ludzi w celu przezwyciężenia socjalno-ekonomicznych problemów. Tu właśnie, gdzie przeważają małe



Mer Kosowa, Mykoła Fokszej z radością wita gości z całego świata

firmy, została założona spółdzielnia kredytowa „Kosowska”, która odrodziła ruch spółdzielczy na Huculszczyźnie. Dziś spółdzielnia „Kosowska”, lub jak nazywają ją mieszkańcy – „kredytówka”, stała się modelową nie tylko dla Przykarpacia, ale i dla całej Ukrainy.

Otwartość i gotowość do pomocy swoim członkom, aktywny udział w życiu społeczności, otwierają drzwi dobroczynności i chęci pomocy bliźniemu. Dobroczynność ogrzewa serca, generuje humanitarny stosunek do partnera. Na tegorocznym zebraniu, akcjonariusze podtrzymują inicjatywę sprzyjania rozwojowi kultury, sztuki i duchowego rozwoju młodzieży.

Spółdzielnia kredytowa „Kosowska” wystąpiła z inicjatywą stworzenia turystyczno-informacyjnego centrum asocjacji turystycznej „Huculia”, która współpracuje z wieloma spółdzielniami Ukrainy. Nawiązywane są kontakty z zagranicznymi partnerami, zainteresowanymi we współpracy. Działalność

Kontakty z Polską, najbliższym sąsiadem i europejskim strategicznym partnerem Ukrainy stają się decydującymi w życiu społecznym setki ukraińskich rejonów, miast, miasteczek i wsi. W związku z tym, redakcja „Kuriera Galicyjskiego” rozpoczęła realizację projektu „Mosty pojednania”. W ramach tego projektu będziemy zapoznawać Czytelników z ekonomicznym, społecznym i turystycznym potencjałem różnych rejonów i miast Ukrainy, ich dziedzictwem kulturowym, ciekawą i owocną współpracą z Polską. Ostatnio przedstawiliśmy Państwu rejon kołomyjski obwodu iwanofrankowskiego. W tym numerze prezentujemy kolejną niepowtarzalną perłę Przykarpacia – rejon kosowski.



Malownicze zakątki Huculszczyzny

spółdzielni kredytowej „Kosowska” jest wszechstronna. Zajmuje się ona analizą perspektywy zatrudnienia i poszukiwaniu pracy dla mieszkańców rejonu. Potwierdzeniem tego są usługi kredytowe w sferze rozwoju agroturystyki, szkolenia dla właścicieli pensjonatów,

wojną był bardzo popularną miejscowością wypoczynkową. Rozgłosowi Kosowa sprzyjał fakt, że przyjeżdżali tam ludzie o znanych nazwiskach. Z tego względu, w pierwszej połowie XX wieku Kosów stał się drugą, po Zakopanem, galicyjską stolicą polskiej bohemy. Na letni wypoczynek zjeżdżali tam najwybitniejsi polscy artyści, pisarze, aktorzy, poeci, malarze, rzeźbiarze, profesorowie uniwersytecy oraz politycy i ludzie z najwyższych sfer życia gospodarczego.

Kontynuuje swoją działalność sanatorium i w okresie wolnej Ukrainy. Czyste powietrze, wody mineralne, ekologiczne produkty, bogata flora – są to podstawowe składniki całorocznego wypoczynku i leczenia dzieci z różnych zakątków Ukrainy.

Trudno wyobrazić sobie lepszy wypoczynek niż w Karpatach, w Kosowie. Pomyślny rozwój turystyki staje się wizytówką regionu. W ciągu trzech ostatnich lat, dzięki wysiłkowi biznesmenów i inwestorów, zasadniczo zmieniła się turystyka w regionie: pojawiły się nowe hotele średniej i najwyższej klasy, rozszerzona została sfera usług, wzrosła konkurencyjność.

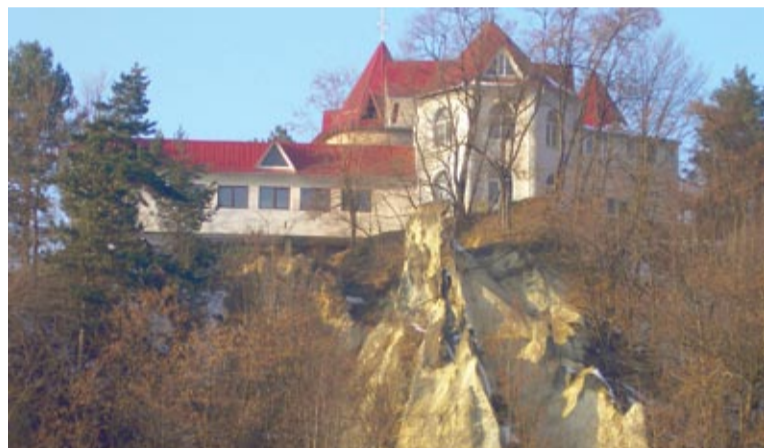
W Kosowie jest szeroki wybór hoteli – od najtańszych po najdroższe. Niewysokie ceny pobytu i wyżywienia turystów w prywatnych pensjonatach są konkurencyjne dla osób ze średnimi dochodami. Gospodarze pensjonatów organizują wycieczki piesze i konne po oznakowanych trasach turystycznych w rezerwach przyrody, parkach narodowych i krajobrazowych. Dziś na terenie rejonu działa 15 zakładów turystyczno-uzdrowiskowych. Są też ośrodki sportów zimowych. Jest ponad 100 gospodarstw agroturystycznych. Zwiedzić tu można 17 muzeów, 30 tras turystycznych. Do usług turystów jest 8 hoteli, 1 kemping, 3 sanatoria, 37 zabytków przyrody, 133 zabytki historyczne, kultury i architektury, 3 stadniny koni.

W 2002 roku na terenie rejonu stworzono rezerwat przyrody „Hu-

culszczyzna”, który obejmuje ponad 32 tys. ha. Kosów i okolice przyciąga swoją kulturą, historią, przyrodą, bogactwem możliwości odpoczynku, jest centrum swoistych tradycji, bytu i kultury Huculów, ich twórczości użytkowej. Budowane są tu: „Obejście św. Mikołaja” w huculskim stylu architektonicznym, działa poczta św. Mikołaja i inne obiekty turystyczne.

Przyjeżdżajcie do nas!

Pensjonat „U Lulki” jest jednym z najlepszych prywatnych pensjonatów w rejonie. Proponuje indywidualny, rodzinny, i korporacyjny wypoczynek w drewnianych budynkach. Proponuje pokoje różnej klasy: ozdobione wyłącznie drewnem i kamieniami rzeczonymi, autorskimi obrazami na ścianach, wykonanymi unikalną techniką z kory. W jadalni – bogate menu swojskich potraw. Do usług sauna z basenem. Tu można odczuć pełnię i koloryt wypoczynku w Karpatach. Zwolennicy wycieczek ekstremalnych znajdą tu dla



Kosów jest zawsze gotowy do przyjęcia turystów

siebie wiele okazji do podniesienia poziomu adrenaliny, a odpowiednio rozplanowane trasy wycieczek – odkrywają całe piękno Karpat.

Praktycznie tuż obok gospodarstwa „U Lulki”, w gospodarstwie państwa Wakaruków, prowadzona jest hodowla pszczoł, gdzie można skosztować karpacciego miodu, polować pszczoły i skosztować smacznych dań rybnych, przygotowanych na miejscu.

Kompleksy wypoczynkowe „Bajka”, „Gwiazdy Karpat” oczarowują stylem architektury, gościnnością. Obok jest bar „Koliba”, gdzie proponują dania z regionalnej kuchni huculskiej, przygotowywane w piecu i na ognisku. Niezapomnianym będzie nastrój kolacji przy świecach, trzaski palącego się ogniska, a domowe wino nie zostawia obojętnym nikogo.

W centrum Kosowa jest hotel o tej samej nazwie. Jest to nowy budynek, zbudowany według nowoczesnych technologii. Na gości czeka 14 zacisznych pokoi różnego standardu. Na parterze kawiarnia na 30 miejsc, a w podziemiach – rodzynek XVII-wiecznego Kosowa – piwnice, które zostały zaadaptowane na bar „Skarby Łotkera”.

Zimą można skorzystać z wyciągu orczykowego na górę Michalkowa i trasy o długości 1,4 km, z różnicą poziomów 250 m. Na tej trasie trenują sportowcy, wśród nich i znana ukraińska alpejka Bogdana Maciocka.



Ma się Kosów czym szcycić

Kosów świąteczny i festiwalowy

Przed turystami otwiera się możliwość własnego poznania kultury i życia duchowego Huculów w czasie corocznych festiwali muzyki etnicznej i sztuki ludowej w Szeszorach, zlotu pisankarzy w okresie „Wielkanocy w Kosmaczu”, wizyt w pracowniach ludowych artystów i na salach wystawowych. Można uczestniczyć w świącie kołęd, świącie Małanki, Wielkanocy, usłyszeć dźwięk trombity, drymby, skoczne kołomyjki na cymbałach, skrzypcach i fujarce na weselu huculskim. Niezapomniane wrażenia pozostaną po pieszych i konnych wycieczkach po malowniczych zakątkach Karpat, pierwszych próbach wspinaczek na skałach, czy locie na sportowym Jak-52. W pamięci pozostanie koloryt kosowskiego jarmarku huculskiego, na który ściągają lokalni twórcy i można kupić ręcznie wykonane pamiątki huculskie.

Obchody nocy świętojańskiej oczekiwane są przez młodzież. Tu

z dumieniem i podziw. W Kosowie rozwijane są od wieków różne rodzaje sztuki użytkowej. Mieszkają tu utalentowani ludzie: mistrzowie pędzla i rylca, gliny i metalu, liźnikarstwa i tkactwa. Delikatnym dotykiem rąk tworzą arcydzieła sztuki, energetyką których oczarowany jest cały świat, wychwala sens życia, przybliża człowieka do przyrody. Jest to szczególnie kraj, gdzie ludzie żyją według starych tradycji, według huculskich obrzędów, w symbiozie ze swoją kulturą.

Unikalnym oświatowym i naukowym centrum, sformowanym na dawnych tradycjach Huculszczyzny jest Kosowski Państwowy Instytut Sztuki Użytkowej. Pracowało tu wielu znanych ludowych artystów, malarzy, uczonych, którzy posiadli godne miejsce w historii Huculszczyzny drugiej połowy XX wieku. W latach niepodległości pojawiły się nowe nazwiska, nowe wybitne osobistości. Adeptci tej szkoły z dumą prezentują sztukę ludową XXI wieku.



Mer Kosowa Mykoła Fokszej

Ziemia Kosowska pochwalić się może wieloma utalentowanymi mieszkańcami. Dziewięciu zostało laureatami premii im Tarasa Szewczenki: hafciarka Hanna Wasylaszczuk, pisarze Dmitro Pawlyczko, Roman Iwanyczuk i Taras Melnyk, stolarz-rzeźbiarz Wasyl Łukaszo, malarz Wołodymyr Szewczuk, literat Fedir Pohrebennyk, śpiewaczka operowa Maria Stefiuk, fotograf Wasyl Gerasymuk. Cała plejada artystów, badaczy, etnografów swoją pracą służy Huculszczyźnie.

O merze Kosowa

Mykoła Fokszej. Buł uczniem kosowskiej szkoły średniej. Następnie studiował we Lwowskim Instytucie Zooweterynarii (Akademia Weterynarii im. Grzyckiego). Praktyczną działalność rozpoczął w naukowo-badawczym Instytucie Rolniczym i Hodowlanym Zachodniej Ukrainy (w Obroszynie) i Lwowskim Instytucie Zooweterynarii. Od 1978 roku do 1999 był kierownikiem działu hodowli zwierząt w iwano-frankowskiej stacji badawczej, a od 1986 – zastępcą dyrektora do spraw produkcji i kontaktów międzynarodowych. W 1985 roku ukończył doktoranturę w Połtawie i obronił przewód doktorski. Od marca 1999 do października 2003 roku był zastępcą przewodniczącego kosowskiej administracji rejonowej ds. rolnictwa. Od 2004 roku do wyboru na mera Kosowa był docentem katedry katastro w Kołomyjskim Instytucie Wykorzystania Bogactw Naturalnych. Jest autorem ponad 80 opracowań naukowych. Był promotorem 35 prac magisterskich i jednej pracy doktorskiej. Żonaty. Żona Uliana. Mają syna i córkę, oraz czterech wnuków.

Polscy konserwatorzy w Katedrze Ormiańskiej

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

O przebiegu konserwacji i renowacji drewnianej kaplicy, zwanej „Golgotą”, na dziedzińcu katedry Ormiańskiej we Lwowie oraz odnowieniu fresków wewnątrz tej świątyni poinformowano dziennikarzy podczas konferencji prasowej. Konferencja odbyła się 5 sierpnia przy udziale specjalistów z Ukrainy i Polski.



Prof. Joanna Czernichowska

Polscy konserwatorzy powiedzieli, że jest to nietypowy i bardzo ciekawy obiekt. „Wkładamy w to bardzo dużo wysiłku i staramy się robić to jak najlepiej” – zaznaczyli. Wymieniane są tylko te elementy, które zupełnie do niczego się nie nadają. „Szanujemy każdy kawałek drewna – mówią Polacy. – Używamy materiału nie świeżego, lecz tylko ze zdobytych wypracowanych belek. Zobaczyliśmy też fragmenty demontowanych figur, znajdujących się obecnie w trakcie konserwacji. Wsewolod Tomaszewski, który jest odpowiedzialny za ten dział, zapewnił, że oryginał zostanie całkowicie odnowiony.

konywana zarówno na podstawie tych resztek zachowanych w oryginale, jak i na podstawie zdjęć archiwalnych. Nie jest to więc wymysł konserwatorów. Możemy przypuszczać, że tak pierwotnie wyglądało to malowidło, że tak było wykonane przez twórcę. Oczywiście nigdy tej pewności do końca nie mamy i zawsze jest tam pewien element dyskusyjny. Dlatego wszystkie rekonstruowane fragmenty będą oprowadzone cienką białą kreską, wyraźnie oddzielającą to, co było zachowane, od tego, co jest naszym dodatkiem. Zawsze rekonstrukcja w konserwacji jest działaniem bardzo kontrowersyjnym. Natomiast wszyscy komisyjnie uzna-



Prace renowacyjne

Prof. Joanna Czernichowska z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie powiedziała „Kurierowi”: „Prawie zakończony jest piąty etap prac, które prowadzimy od 2007 roku. W tej chwili pracujemy przy dekoracji ściennej na łuku, łączącym nawę z narteksem. Oprócz typowych technicznych prac konserwatorskich ta akurat dekoracja wiąże się także z fragmentami rekonstrukcji malowideł Jana Henryka Rosena, które uległy kompletnemu zniszczeniu. Ta rekonstrukcja jest wy-

liśmy, że ze względu na charakter tej dekoracji we wnętrzu katedry, które stanowi nierozdzielalną całość zarówno ze względów ikonograficznych, jak i plastycznych, to uzupełnienie jest niezbędne”.

Lilia Onyszczenko-Szwec, szef Inspektoratu Ochrony Środowiska Historycznego Rady Miejskiej Lwowa zapewniła, że renowacja fresków Jana Henryka Rosena i ołtarza „Golgota” zostanie ukończona przed „Euro – 2012”.



Fragmenty „Golgoty”

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcia

Pałac w Podhorcach – to renesansowa perła architektury. Wybudowany na początku XVII wieku przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego stanął na krawędzi pasma wzgórz, z roztaczającą się z okien zapierającą dech panoramą na Równinę Wołyńską. Pałac miał to szczęście, że od chwili powstania, na początku XVII wieku do 1939 roku, był cały czas rezydencją kolejnych rodów: Sobieskich, Rzewuskich i Sanguszków.

Jeśli historia potoczyła się inaczej, dziś pałac byłby pewnie prywatną rezydencją, ewentualnie muzeum, gdzie można byłoby podziwiać wspaniałe zbiory dzieł sztuki, broni, mebli, gromadzonych pieczołowicie przez wieki. Niestety jest inaczej. Światłoko zaświtało w 1995 roku, gdy ten obiekt przejęła Lwowska Galeria Sztuki. Trudno tu mówić o pałacu – była to ruina po sanatorium dla gruźlików. O dawnej świetności świadczy dziś jedynie bryła pałacu i zarysy ogrodów pałacowych. Żeby uchronić pałac od całkowitej dewastacji Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej sfinansowało zakup blachy miedzianej, którą pokryto dach, chroniąc w ten sposób mury przed wodą, zalewającą gmach przez nieszczelny dach.

W 2008 roku powstała Fundacja „Zamek w Podhorcach” (Благодійний фонд „Підгорецький Замок”), która stara się ochronić ten obiekt od całkowitej ruiny. Światowy fundusz zabytków (World monuments fund, NY) już w 2008 roku dołączył Pałac w Podhorcach do listy 100 obiektów światowej

DISNEYLAND W RENESANSOWYM PAŁACU



Stan obecny pałacu i makieta, wykonana na Politechnice Lwowskiej

historyczno-architektonicznej spuścizny, które mogą zostać zaprzepaszczone dla przyszłych pokoleń. Od tego czasu fundacja zorganizowała cały szereg imprez, mających na celu promocję tego historycznego obiektu. Dzięki finansowemu wsparciu ambasady USA, fundacja zorganizowała w murach zamku wystawę fotogramów ze zdjęć archiwalnych, które udało się pozyskać z archiwów prywatnych, muzeów, i przedwojennych widokówek. Dziś tylko one opowiadają o świetności wnętrza pałacowych.

W dniach 2-3 sierpnia br. na terenie pałacu pracowała polsko-ukraińsko-brytyjska komisja, mająca za cel ocenę stanu pałacu i opracowania koncepcji jego odrodzenia. Wyniki prac zostały przedłożone na konferencji prasowej we Lwowie w Pałacu Potockich – siedzibie Fundacji. W konferencji wzięli udział: Oksana Kozynkewycz, przewodnicząca Rady Nadzorczej Fundacji, Oresta Remeszko-Rybczyńska, docent wydziału architektury Politechniki Lwowskiej, Olena Serdiuk, dyrektor naukowego badawczego instytutu ochrony zabytków z Kijowa, a także John Elsom, dyrektor kompanii Arts Interlink oraz Noel Waits, dyrektor departamentu sztuki użytkowej na uniwersytecie de Monfort z Wielkiej Brytanii. Goście przez wiele lat działają w państwach europejskich na rzecz rewaloryzacji obiektów historycznych, opracowanie koncepcji ich rekonstrukcji i odnowienia, stworzenia warunków, które by przyciągały turystów do odnowionych obiektów – innymi słowy „zarządzaniem” zabytkami. Wspólnie z grupami ekspertów i konsultantów odwiedzili Rumunię, Polskę, Bułgarię i inne państwa. Teraz kolej przyszła na Ukrainę i pałac w Podhorcach.

W swoich wypowiedziach goście przedstawili swój punkt widzenia na możliwości stworzenia atrakcyjnej struktury turystycznej na bazie pałacu. Jednomyślnie orzekli, że takich pieniędzy, które są potrzebna na odbudowę pałacu nie da nikt. Należałoby stworzyć sprzyjające warunki inwestycyjne w regionie i opracować koncepcję kompleksowego rozwoju Podhorców, bowiem oprócz kompleksu pałacowego w niewielkiej

odległości znajduje się tu grodzisko Pleśniska z XII wieku oraz zabudowania klasztorne bazylianów z XVIII. Takie podejście zaktywizowałoby mieszkańców wsi, powstałyby dodatkowe miejsca pracy i dałoby to możliwość stopniowego finansowania odbudowy pałacu i przywrócenia jego świetności, jako siedziby muzeum, teatru i miejsca wypoczynku.

Jedno w tej koncepcji zabrzmiało jak dysonans: propozycja stworzenia tu placu zabaw dla dzieci, przyjeżdżających z rodzicami, restauracji i organizacja koncertów rockowych w ogrodach. Od razu nasunął się widok „Disneylandu”, gdzie rozwrzeszczana dzieciarnia, zjadając się popcornem kreci się na karuzelach, kolejkach górskich i używa innych atrakcji, a rodzice w tym czasie zjadają się frytkami i hamburgerami w barach Mc'Donaldsa. Czy wysuwając propozycję koncertu rockowego zdawano sobie sprawę z tego, jak będzie po nim wyglądał ogród pałacowy? Czy we wszystkim musimy naśladować Amerykę? A może by tak pozostawić ten zakątek dla klasyki i wzorem wielu zamków w Polsce i Europie,



Na konferencji prasowej: (od lewej) Noel Waits, tłumacz, John Elsom, Oksana Kozynkewycz, Oresta Remeszko-Rybczyńska

organizować tu festiwale arii operowych, koncertów muzyki klasycznej, kameralnej? Dlaczego dzieci nie miałyby zwiedzać ekspozycji razem z rodzicami? Gdzie poznają historię, sztukę, architekturę wnętrz? Gdzie wyrobią w sobie poczucie piękna? Chyba nie przy popcornie i na karuzelach.

KG

JAN WLOBART

W ostatnim numerze Kuriera Galicyjskiego (KG) przedstawiłem w zarysie mechanizmy obecnego kryzysu na międzynarodowych rynkach finansowych, ze szczególnym uwzględnieniem Europy. Jak wiadomo, kapitał nie zna granic, a informacje o wszelkich wydarzeniach w jednym miejscu kuli ziemskiej docierają błyskawicznie i wywierają wpływ na inne. Na działanie tego mechanizmu nie ma wpływu to, czy informacje są pozytywne, czy negatywne.

Idealnym przykładem działania tego mechanizmu są ostatnie wydarzenia w Stanach Zjednoczonych. Doszło tam do prawdziwego spektaklu „teatru politycznego” pomiędzy głównymi siłami w amerykańskim Kongresie – Republikanami a Demokratami.

Poziom deficytu budżetowego USA sprawił, że gdyby nie zgoda Kongresu na podwyższenie jego limitu, już 2 sierpnia br. przy obec-

JESZCZE NIEPOKÓJ CZY JUŻ PANIKA?



nym limicie zadłużenia (13,4 biliona \$), Stany Zjednoczone nie byłyby w stanie obsługiwać swojego zadłużenia w postaci wykupu wcześniej wyemitowanych obligacji, jak też wypłacać wynagrodzeń, emerytur i innych świadczeń swoim obywatelom.

Niezbędną stała się zgoda na podwyższenie limitu zadłużenia o dodatkowe 4 bln \$. Populistyczne

gry partyjne nie do końca odpowiedzialnych polityków, zapatrzonych w partyjne interesy, doprowadziły do dodatkowych niepokojów na rynkach finansowych. Na szczęście, w isticie ekspresowym tempie (3 dni), podwyższenie limitu zadłużenia zostało „przepchnięte” przez obie izby ustawodawcze i w ostatnim możliwym dniu ustawa została podpisana przez Obamę.

Jednak taka sytuacja w USA, wprowadziła dodatkowo niepokój na rynkach finansowych i obniżyła wiarygodność finansową Stanów Zjednoczonych. Po raz pierwszy w historii tego kraju (od 1917 roku, kiedy wprowadzono ratingi finansowe), ocena wiarygodności została obniżona z poziomu AAA do poziomu AA+, przez największą agencję ratingową Standard & Poor's. Obniżenie wiarygodności, prawdopodobnie spowoduje wzrost kosztów obsługi zadłużenia USA.

Zawirowania na rynku amerykańskim w dużym stopniu zniweczyły działania ratunkowe w strefie Euro, prowadzone wobec Irlandii, Portugalii, a w szczególności Grecji. Nagle okazało się że i Włochy (Italia), mające olbrzymi deficyt budżetowy (190% PKB), też może mieć problemy z obsługą swojego zadłużenia. Niepokoje na rynku finansowym spowodowały wzrost wykupu obligacji włoskich do 6,3%. W przypadku wzrostu oprocentowania do 7%, kraj ten nie będzie w stanie ich obsługiwać. Przemówienie premiera Berlusconiego mające uspokoić

inwestorów, z związku z brakiem jego osobistej wiarygodności, nie odniosło pożądanego skutku.

Obecna sytuacja jest trudna do przewidzenia w kwestii terminu uspokojenia rynków kapitałowych. Inwestorzy gwałtownie wykupują złoto i franka szwajcarskiego, traktując je jako bezpieczną przystań dla lokowania kapitału. Próby osłabienia własnej, zbyt silnej, waluty przez banki Szwajcarii i Japonii, dają bardzo krótkotrwały efekt (kilka godzin). Silna waluta powoduje duże straty dla gospodarki tych krajów ponieważ staje się ona niekonkurencyjna w eksporcie.

Na obecnych zawirowaniach bardzo cierpią gospodarki o małym kapitale na przykład Ukraina, ponieważ kapitał odpływa z nich w pierwszej kolejności. W obecnej sytuacji należy mieć nadzieję, że szybko zadziała tak zwany mechanizm „wypalenia emocji” u inwestorów. Wtedy nastąpi uspokojenie rynku i racjonalne inwestowanie z uwzględnieniem realnych przesłanek gospodarczych.

KG

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie

CZERCZE LEPSZE OD AMERYKI

72-letni Wasyl Zdorecki, wójt wioski Czercze z rejonu Rohatyna, na Przykarpaciu, Ukrainiec z polskim rodowodem prawie wszystkie zarobione, w czasie nielekkiego wojaskowego życia i pracy za granicą, pieniądze oddaje ludziom i cerkwi.

Taki przykład bezinteresowności znaleźć dziś bardzo trudno. „Ja inaczej żyć nie potrafię, – mówi z uśmiechem pan Zdorecki, zapraszając do biura. – Już zgromadziłem dla siebie dość. Dla rodziny, dla dzieci i wnuków. Teraz trzeba się i ludziom przysłużyć”. Wokół piętrowego schludnego budynku prowadzone są prace. Kilku mężczyzn coś kopie. Inni malują ogrodzenie. Opodal walczy spychacz. Pod czujnym okiem wójta nie da się bumelować.

Od dzieciństwa sam Wasyl przyzwyczajony był do pracy. Jego dziadek ze strony matki, gdzieś przed stu laty, w poszukiwaniu lepszego losu i zarobku wyjechał do dalekiej, nieznanej Ameryki. Na obcej ziemi spotkał swoją przyszłą żonę – dziewczynę z sąsiedniej wioski pod Rohatynem. Po pewnym czasie odesłał żonę do domu, a sam pozostał by pracować w kopalniach za oceanem. Powrócił po dziewięciu latach. W tym czasie żona rozsądnie gospodarzyła i zażyli dostatku. Nie długo cieszyli się bogactwem. Przyszła władza sowiecka i wszyscy stali się „równi”.



Wasyl Zdorecki

Z czasem za granicę udało się wyjechać ciotce Wasyla. Jej siostra, Kateryna, matka Wasyla, została biedować na Ukrainie. Ale bieda nie tak doskwierała, gdy obok był kochany mąż i dwoje synów. Jeden z nich – to właśnie dzisiejszy wójt Czercze. Od dzieciństwa odznaczał się bystrym umysłem, wspaniałą pamięcią i artystycznymi zdolnościami. Mówi, że wszystko to odziedziczył po polskiej rodzinie ojca. Zdorecycy – znany ród na rohatyńskich terenach. Umieeli pracować, weselić się, wychowywać dzieci, szanować Boga i honor.

Ale co tam honor, gdy wokół władza sowiecka. Zwyktemu synowi wieśniaka nie udało się zdać na wymarzoną politechnikę do Lwowa. Pracował jako tokarz. Wzięli go do wojska, a stamtąd, nie zważając na rodzinę w USA, co zamykało człowiekowi drogę do lepszych posad, udało mu się wstąpić do leningradzkiego wojskowego liceum łączności.

„Nawet wśród sowietów byli dobrzy ludzie, – wspomina pan Wasyl, – wojskowi z Mordowii, gdzie kiedyś służyłem przyczynili się do tego, że

przepisano moje papiery” Po liceum, już jako oficer, wróciłem do Lwowa. Z czasem moja jednostka stacjonowała w Haliczu. Ożenił się, urodziły się dwie córeczki, które szybko wyszły za mąż. Trafił do Czernobyla. Ale inna bieda nadeszła – po ośmiu latach ciężkiej choroby na raka zmarła żona Maria. Wtedy był już na emeryturze w stopniu majora.

Po pogrzebie nadeszła wiadomość od ciotki ze Stanów. Zapraszała krewnego w goście. Tak przyszły czerczeński wójt w grudniu 1991 roku wylądował w USA. Rzutki człowiek nie brzydził się żadnej pracy. Pracował po 12-15 godzin na dobę. Lubili go i szanowali. Potem Wasyl ożenił się po raz drugi. Z Ukrainką Orysią, którą spotkał w cerkwi. W 52 roku życia, Wasyl po raz trzeci zostaje ojcem. „Moja 18-letnia córeczka Natalia – promyk słońca na schyłku lat, – ociera łzę mężczyzna. – Moje ziarenko, moje bogactwo. Ale inne córki i czterech wnuków też bardzo kocham”.

Razem z innymi mieszkańcami z Czercze, mężczyzna w Stanach nie zapomniał o ojczyźnie. Zawsze przekazywał pieniądze na uporządkowanie swojej wsi, budowę cerkwi, remont Domu Ludowego, budowę przychodni lekarskiej i inne. „Spotykaliśmy się kilka razy do roku, pogadać przy piwie, wspomnieć Ukrainę, wioskę, – mówi pan Wasyl. – Zdejmowałem kapelusze i rzucałem tam sto dolarów. Mówiłem: „Na Czercze”. Innym nijako było dawać mniej.

Wasylowi nie ułożyło się życie z nową żoną w Ameryce. Wrócił na Ukrainę. Za granicą pozostawił dobry dom i winnicę. Zaczął pracować we wsi jako wójt. A roboty było huk. Widząc, jak trzeba „wybijać” pieniądze do wiejskiego budżetu, zrozumiał, że lepiej wyciągnąć z kieszeni kilka banknotów i realnie pomóc ludziom, niż czekać aż pomoże im państwo. „Przez 30 lat służby w wojsku zarobiłem kilka tysięcy emerytury, – mówi mężczyzna. – Przeznaczam je na pomoc. Komu ile daję, nie będę mówić – to widzi Bóg i ja wiem”.

Pensję wójta ofiarowuje na budowę cerkwi. Mówi, że to z wdzięczności dla Boga za to, że dał dożyć takich lat w zdrowiu i dobrobycie. Doczekał się dzieci i wnuków. A pieniądze zarobione w USA wykorzystuje dla siebie. Postawił wielki dom. Dzieci i wnuki pamiętają o dziadku i ojcu. Raduje się wójt. Porządku we wsi nie zapomina pilnować. „Co dnia dziwię się, gdy wspominam, jak ciężko nasi ludzie pracują w Ameryce, – z żalem mówi mężczyzna. – A u siebie w domu to czasem wokół gospodarstwa nie chce się posprzątać. Takim jesteśmy narodem: dla cudzego pana będziemy gięli karku, a swego domu wstydzimy się. Wydaje mi się, że dopóki tak będzie i tak będziemy myśleli, nie będzie dobrobytu na Ukrainie, nie będziemy zjednoczeni, zamożni i wolni. A pieniądze trzeba umieć zarabiać i lekko je wydawać, a Bóg wie, ile komu trzeba”.

ZNALAZŁEM DOM PROFESORA ZUBERA...

Z JANEM STĘPNIEM, dziennikarzem rozgłośni lokalnej Radia Kraków, który zawiązał z wizytą do Lwowa rozmawiał KRZYSZTOF SZYMAŃSKI.

Jaki jest cel pana przyjazdu do Lwowa?

Do Lwowa przywiódła mnie zwykła ciekawość. Gdy człowiek jest w wieku dojrzałym, to dokonuje pewnych podsumowań. We Lwowie byłem jeszcze jako licealista, a były to bardzo ponure czasy. Potem przyjeżdżałem do Lwowa z wycieczkami na krótko. Teraz przyjechałem na tydzień, żeby pochodzić po Lwowie na spokojnie i lepiej poznać to miasto.

Nie mam specjalnych związków rodzinnych z Kresami, moja matka była de domo Samborska, a mąż mojej chrzestnej matki był naciarczem z okolic Borysławia. Okropne doświadczenia Polaków na Kresach Wschodnich mnie ominęły. Chciałem dla siebie zobaczyć to miasto, które było tak prężne, tak polskie i które było stolicą Galicji. Serce Galicji tętniło we Lwowie. Mam przewodnik po mieście z dokładnym opisem wszystkich szczególnych miejsc, więc mam wiele czasu dla dokładnego obejrzenia tego wszystkiego.

Znalazłem tam taką ciekawostkę – dom profesora Zuberera. Od dzieciństwa jeździłem do Krynicy,

tam piłem wodę Zuberera i nie zdawałem sobie sprawy dlaczego tak się nazywa. A była to wybitna postać. Geolog, poszukujący ropy na tych terenach, przypadkowo w Krynicy natknął się na wodę mineralną – stąd jej nazwa. Poszukiwał ropy chyba na całym świecie, oprócz Australii. Zmarł w latach 20 we Lwowie i spoczął na Cmentarzu Łyczakowskim. Jego syn, Stanisław, poszedł w ślady ojca i też szukał ropy na Bałkanach, w Albanii. W 1947 roku został zamordowany przez ówczesny reżim komunistyczny w tym kraju, a jego dorobek naukowy został wykorzystany przez uczonych rosyjskich. Dziś, po latach, został honorowym obywatelem miasta, gdzie odkrył ropę i jest tam patronem miejscowego uniwersytetu. O tym chyba we Lwowie nie wszyscy wiedzą.

Jest to wiec podróż w celu poznania historii miasta. Historia uczy, że aby w pełni korzystać z tego co mamy dziś, trzeba wiedzieć co było kiedyś.

Jak pan widzi dzisiejszy Lwów w porównaniu z poprzednimi swoimi pobytami w tym mieście?

Byłem tu w okresie dewastacji przez czołgi sowieckie Cmentarza Orłąt. Jedyne nazwisko, które zdołałem odczytać na tym cmentarzu to było: Wójcik. Nie pamiętam już ani imienia, ani rangi, tylko nazwisko. Dziś, pomijając wszystkie spory historyczne i architektoniczne, Cmentarz Orłąt i Cmentarz Łyczakowski są



Jan Stępień

bardzo zadbane. O wiele lepiej niż cmentarz na Rossie w Wilnie. Miasto bardzo się zmienia, coraz bardziej uzyskuje wygląd zachodnioeuropejski. Rynek lwowski, kamieniczki są sukcesywnie odnawiane. Choć powiem szczerze, że takich okien nie wsadzałbym w te zabytkowe mury. Bardzo psują wygląd starych kamienic. Widać jednak, że miasto potrzebuje ciągłej troski, potrzebuje nakładów na renowację zabytków. Starówka jest wpisana na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Ale nie tylko dlatego zasługuje, żeby odzyskać swój blask, swoje piękno.

Jakie konkretne plany są związane z tym pana pobytom?

Nie miałem konkretnych planów. Mój przyjazd miał być przygodą. Gdy wędruje się po mieście z przewodnikiem w rękę, to zawsze zwróci się uwagę na coś nowego, zawsze powstaną jakieś nowe skojarzenia. Chcę spokojnie pochodzić po Cmentarzu Łyczakowskim, dotrzeć do grobu Dybowskiego. Chciałbym zobaczyć katedrę ormiańską. Bardzo wiele jest ciekawych miejsc. Jestem tu dopiero dwa dni. Za kilka dni na pewno bym mógł na ten temat powiedzieć więcej.

Proszę opowiedzieć naszym czytelnikom o sobie i działalności rozgłośni Radia Kraków?

Jest to rozgłośnia lokalna. Oprócz normalnej emisji w eterze, mamy

również i wersję internetową. Nasza rozgłośnia ma bogatą historię.

Pierwsza transmisja hejnału z wieży Mariackiej odbyła się w kwietniu 1927 roku, a 16 marca 1930 r. Radio Kraków transmitowało pierwszą mszę z Katedry na Wawelu. Rozgłośnia w Krakowie zastąpiła również z pierwszej transmisji z boiska piłkarskiego (mecze pomiędzy drużynami Cracovii i Wisły, rozegrany 22 września 1929). Rozgłośnia przez te lata kilkakrotnie zmieniała swoją siedzibę. Obecnie siedzibą krakowskiego radia jest nowoczesny budynek, zlokalizowany przy Alejach Słowackiego 22. Radio Kraków przekazuje w swoim programie najbardziej aktualne i ważne informacje dla mieszkańców całej Małopolski. Oprócz serwisów i magazynów informacyjnych przygotowujemy dla słuchaczy liczne audycje o tematyce publicystycznej, społecznej i kulturalnej. Bardzo często audycje Radia Kraków nadawane są spoza głównej siedziby, nagrywane jak ta nasza rozmowa, w plenerze.

Związany jestem z Polskim Radiem od 30 lat. Pełniłem różne funkcje. Jako dziennikarz interesuję się głównie problematyką regionalną i samorządową. Od 14 lat co niedzieli ukazuje się moja audycja „Pejzaże Regionalne”. Interesuję się także problematyką naukową. Przewadzę cykl „W kręgu nauki”.

Dziękuję za rozmowę.

OBRONA HUTY STEPAŃSKIEJ

JACEK BORZĘCKI

(Na podstawie rozmowy z organizatorami tegorocznej, VI Pielgrzymki Kresowian do Stepania – GRZEGORZEM NAUMOWICZEM i JANUSZEM HOROSZKIEWICZEM oraz innymi uczestnikami pielgrzymki).

Huta Stepańska – czysto polska wieś, założona została na surowym korzeniu w XVIII wieku przez Jakuba Sawickiego, polskiego szlachcica przybyłego spod Żytomierza. W ciągu następnego stulecia w okolicy powstały wioski i kolonie zasiedlone – tak jak i Huta – przez zubożałą polską szlachtę tzw. zagrodową. Stąd też mieszkańcy nosili nazwiska takie jak np.: Lipińscy, Naumowiczowie, Wiatrowie, Harewicze, Sulikowscy, Popławscy, Horoszkiewicz, Bukowscy, Kwiatkowscy, Piotrowscy, Myszakowscy, Janiccy, Kobyłańscy, Domaszewicze, Chorążyczewscy, Myczewscy, Konwerscy, itp. Wszystkie rody osiedlone od dawna w Hucie Stepańskiej i w okolicy były rodami szlacheckimi i dlatego mieszkańcy tych wiosek nigdy nie podlegali pańszczyźnie. W 1943 roku Huta liczyła ponad 220 domów (gospodarstw). W latach 30. w pobliżu Huty powstało sanatorium tzw. „Stone Błota”.

Jak podkreślają moi rozmówcy, była to jakby polska wyspa na ukraińskim morzu. Huta Stepańska, Wyrka i okoliczne polskie kolonie otoczone były szczylnym pierścieniem dużych ukraińskich wsi. Parafia huciańska była chyba największą parafią na Wołyniu, bo liczyła 4 253 dusze, a rozciągała się na przestrzeni około 20 na 10 kilometrów.

Pierwsze mordy w Hucie

Stanisława Guzowska, z domu Roman, z Białej Podlaskiej, urodzona w 1929 roku w Hucie Stepańskiej, w rodzinie właściciela restauracji, byłego legionisty, wspomina, że gehenna Polaków w tej wiosce zaczęła się już wczesną wiosną 1943 roku od mordu w pobliskim majątku ziemskim:

- Pierwszą ofiarą w naszej miejscowości było narzeczeństwo – Jadzia Jucewiczówna z huciańskiego sanatorium w Stonych Błotach i Edward Kalus. Moja najstarsza siostra Wanda miała być pierwszą druhną na ich ślubie. Edzio był głównym księgowym w majątku ziemskim w pobliskiej wiosce Butejki i pojechał tam ze swoją narzeczoną, aby przedstawić ją zarządcy majątku i zaprosić na ślub. Zasiadli się w gościach i pora była już późna, więc przyjęli propozycję przenocowania. I właśnie tej nocy banderowcy napadli na dwór i zamordowali całą rodzinę zarządcy wraz z małymi dziećmi oraz tę młodą parę. Wszystkim obcięto głowy toporem na pniu do rąbania drewna. Byłam wstrząśnięta, gdy te trumny wnoszono do kościoła w Hucie Stepańskiej. To były pierwsze ofiary banderowskich zbrodni w naszej najbliższej okolicy. Później były drugie ofiary w rodzinie Piotrowskich i kolejne, kolejne.

Po tych tragediach i po mordzie w Parośli mieszkańcy Huty wiedzieli, że trzeba się uzbroić i być gotowym do obrony przed banderowcami. Już od kwietnia 1943 roku pomagał organizować tutejszą samoobronę porucznik Władysław Kochański („cichociem-



Nabożeństwo przy krzyżu upamiętniającym poległych mieszkańców Huty Stepańskiej i okolicznych wiosek

ny”, pseudonim „Bomba” – później okoliczne dzieci nadały mu pseudonim „Wujek”), który zawiązywał w tej okolicy sieć Armii Krajowej. Była to najsilniejsza samoobrona w okolicy. Dorównywała słynnej polskiej samoobronie w wiosce Przebraże, która zwycięsko obroniła się przed zmasowanymi atakami banderowskimi. Tam jednak sprzyjała Polakom bliskość miasta i większe możliwości kupowania uzbrojenia i amunicji od Niemców.

Oddziały UPA, które w niedzielę 11 lipca 1943 roku dokonały masakry ludności polskiej w kilkudziesięciu wołyńskich wioskach, w ciągu kilku następnych dni zgrupowały się w rejonie Huty Stepańskiej. Pogrom rozpoczął się 16 lipca o godz. 22, kiedy to tysiące ukraińskich chłopów, zmobilizowanych i dowodzonych przez upowców, zaczęły podpalać jednocześnie kilkadziesiąt pomniejszych polskich wiosek i kolonii, mordując mieszkańców i rabując ich dobytek. Był to łatwy łup, bo wioski były zbyt małe i słabe, aby móc się skutecznie bronić. W tę jedną noc spalonych zostało kilka tysięcy domów i zabudowań gospodarczych. Polacy, którzy z tego zmasowanego napadu uszli z życiem, schronili się w Hucie Stepańskiej.

Ucieczka do Huty

O ucieczce do Huty Stepańskiej opowiada Andrzej Bukowski z Wrocławia, opierając się na wspomnieniach swoich dziadków oraz stryja Zygmunta.

Bukowscy żyli w niewielkiej (42 gospodarstwa) polskiej wiosce Stara Kamionka. Byli przygotowani, że w przypadku banderowskiego ataku uciekną do oddalonej o 3 kilometry Huty Stepańskiej. Na furmance mieli spakowane najważniejsze rzeczy, niezbędne do przeżycia. Gdy usłyszeli pierwsze strzały, sygnał wioskowej nocnej warty o rozpoczynającym się ataku banderowskim, rodzina Bukowskich z załadowaną furmanką rzuciła się do ucieczki. Niestety, podczas przejeżdżania w bór przez rzeczkę Gołubicę obciążony wóz ugrzązł, trzeba więc było wyprząć konie i uciekać bez niczego. Szczęśliwie schroniwszy się w Hucie, już w trakcie oblężenia następnej nocy, dziadek

Bukowski zaryzykował i wyprawił się do pozostawionej furmanki, z której udało mu się przynieść m.in. tytoń. W Hucie, ponieważ – tak jak większość schronionych tu Polaków – nie miał broni palnej, trafił do oddziału tzw. kosynierów, uzbrojonych we własnej roboty piki, dzidy i kosy przekute na sztorc. Dzięki czujności nocnej warty i wcześniejszym przygotowaniom do ucieczki, większości mieszkańców Starej Kamionki udało się zbiec do Huty Stepańskiej – zginęło 11 osób. Pomnik-krzyż na miejscu nieistniejącej wioski Stara Kamionka stanął w 2010 roku. Ufundowała go rodzina Bukowskich a postawił Janusz Horoszkiewicz. Zygmunt Bukowski wydał w niewielkich nakładach kilka książek, w których opisał swoją rodzinną wioskę oraz kilka sąsiednich polskich wiosek, jak również ich zagładę.

Oblężenie

Huta Stepańska, w której liczba mieszkańców i uchodźców z sąsiednich miejscowości sięgała w sumie około czterech tysięcy osób, była dobrze przygotowana do odparcia ataku. Głównym punktem obrony wewnątrz wioski była nowo zbudowana szkoła. Ten murowany, piętrowy budynek był, niczym forteca, wyposażony w gniazda karabinów maszynowych. Mury chronione były przez osłonę z desek z warstwą ziemi i specjalną siatką, od której odbijały się granaty, wystrzelwane z granatników przez oblegających wioskę upowców. Budynek był też podminowany, bo w przypadku, gdyby ataku banderowców nie udało się odeprzeć, obrońcy woleli wysadzić się w powietrze, aniżeli dostać się w ręce oprawców. Tam, w klasach szkolnych, znalazły schronienie matki z dziećmi przy pierci i kobiety z zaawansowaną ciążą (zdarzyły się nawet porody). Z kolei kobiety z małymi dziećmi umieszczono w umocnionych okopach wokół budynku. Na obrzeżach wioski były zbudowane bunkry, stanowiące główny pierścień obronny.

Po oblężeniu Huty przez banderowców, dowództwo nad obroną wioski przejął od rannego Jana Szabelskiego doświadczony oficer Władysław Kochański, który do pomocy miał kilku podoficerów rezerwy. Porucznik

Kochański przewidział, że Ukraińcy będą pozorowali atak od strony Stepania po to, by odciągnąć obrońców od przeciwnej, najbardziej niewralgicznej strony, gdzie krzaki i drzewa podchodziły prawie do wioski, stanowiąc dobrą osłonę dla ataku. Rozkazał więc swoim oficerom dopilnowanie aby obrońcy, rozmieszczeni w bunkrach i okopach, pod żadnym pozorem nie opuszczali zajmowanych stanowisk. I rzeczywiście, banderowcy natarli początkowo od strony Stepania, a wkrótce główny, zmasowany atak sił banderowskich nastąpił od strony lasu. Przygotowani na to obrońcy, odparli oba ataki, zadając napastnikom dotkliwe straty.

Po trzech dniach oblężenia, w czasie których Polacy skutecznie odpierali kolejne ataki banderowców, zapasy amunicji już się kończyły i dalsza obrona miała coraz mniejsze szanse na powodzenie. Do dowódców i wszystkich obrońców docierała świadomość konieczności wycofania się z wioski, przebicia się przez oblegające siły upowskie i dotarcia do odległych o ponad 30 kilometrów stacji kolejowych, chronionych przez żołnierzy niemieckich. Gdy 18 lipca nad ranem pojawiła się gęsta mgła, część mieszkańców, bez uzgodnienia z dowództwem podjęła decyzję o wymarszu. Około tysiąc osób – część na furmankach ustawionych w dwóch rzędach, a część pieszo – zaryzykowało opuszczenie wioski-fortecy.

Pierwsza próba opuszczenia Huty

Opowiada Stanisława Guzowska: – Siedzieliśmy z młodszym o 4 lata bratem na naszym eleganckim, dużym wozie, zaprzężonym w parę pięknych koni. Kolumnę żegnał – z przyniesionym z kościoła Najświętszym Sakramentem – ksiądz proboszcz Drzepecki, który błogosławił nas i mówił: „Kochane dzieci, może wy jesteście godne u Pana Boga, módlcie się. I zaintonował „Pod Twoją Obronę”. Ale to nie był śpiew, tylko jeden wielki szloch. Wszyscy płakali. Mój dziadek, Krawczyński, który nie chciał jechać, powiedział do mojej mamy: „Franiu, ty jedź z dziećmi, a ja tu zostanę, trudno, zginę to zginę”. No

i mamusia zostawiła nas na tym wozie z ludźmi i pobiegła na chwilę do dziadka. Miała zaraz wrócić, ale tymczasem czołówka dała rozkaz do wyjazdu w kierunku na Wyrkę i cała kolumna ruszyła. Mama już nie zdążyła wrócić. A wozy jechały i jechały, bo to przecież były tłumy, chyba tysiące ludzi. Mgła była niesamowita. Gdy dojeżdżaliśmy do Wyrki, banderowcy, przepuściwszy czoło kolumny, zaczęli strzelać z karabinu maszynowego. I te ich okropne krzyki: „Hurra! Bić Lachów! Rızać Lachów! Hurra!”

W tym momencie mój 10-letni brat, który zawsze na boisku szkolnym bawił się z chłopakami w strzelców, krzyknął do mnie: skaczemy z wozu! Dalej, niczym taki mały dowódca, rozkazującym głosem mówił: czołgaj się, czołgaj! No więc, czołgając się, uciekałam od tych strzałów. Do dzisiaj mam na kolanach szramę od drutu kolczastego. Nie znalazłam Wyrki. Wydawało mi się, że jestem wśród zbóż. I tylko ten straszliwy obraz: wozy przewracane, porozrzucane pierzyny, konie pobite. Ludzie leżący tu i tam – jedni martwi, inni ranni. Krowy chodzące dookoła i ryczące, bo nie były dojrane. Zauważyłam spaloną blachę i zorientowałam się, że to resztki spalonego kościoła.

Zacząłam uciekać taką dróżką pomiędzy zbożami, a zboża były piękne tamtego roku. Nagle usłyszałam za sobą tętent konia. Pomyślałam: to na pewno banderowiec. A więc to już koniec! Zaraz zarabie mnie siekierą albo zakłuże widłami. Zrezygnowana, nawet nie oglądając się, stanęłam przy stojącej tam małej kapliczce i zaczęłam się gorąco modlić. I nagle, w jednym momencie, jakby lotem błyskawicy, znalazłam się na grzbiecie konia. Na moje szczęście, to galopował jeden z naszych zwiadowców z czoła kolumny. Wspaniały młody mężczyzna, o proszę, mam tu jego zdjęcie. Bez zatrzymywania się, w pełnym biegu chwycił mnie za sukienkę i jednocześnie podniósł sprawnym ruchem nogi. Strzelano za nami z karabinu maszynowego, ale szczęśliwie omijały nas kule. Zajechaliśmy do lasu, gdzie była duża grupa rozbitków z czoła kolumny. Mój wybawca tam mnie zostawił mówiąc: „to jest polska dziewczynka”.

Byłam uratowana, choć bosa i w porwanej sukience. Czulałam się, jakby podarowano mi drugie życie. Z tymi rozbitkami dotarliśmy bezpiecznie do stacji kolejowej w Grabinie. Tam Niemcy podstawili wagony, bydłące wagony, aby zawieść nas do Sarn. Weszłam do wagonu, podniosłam głowę, spojrzałam, a tam stał mój brat! Rzuciliśmy się sobie w objęcia z wielkim płaczem, bo ludzie mówili, że Huta Stepańska już nie istnieje, że została wysadzona w powietrze. Nie wiedzieliśmy, co stało się z naszymi rodzicami i dziadkami?

Evakuacja Huty

Tymczasem, gdy Stasia Romanówna, uratowana przez bohaterkę-żwiadowcę, wędrowała z grupą rozbitków z czoła kolumny w kierunku linii kolejowej, reszta furmanek wracała w poplochu do Huty Stepańskiej. Tam, po zebraniu od rozesłanych zwiadowców informacji co do rozstawienia sił banderowskich w okolicy, porucznik Kochański przeprowadził z oddziałem obrońców taktyczny atak na pozycje

banderowców w okolicy Słonych Błot, po czym zarządził ewakuację. Wszyscy Polacy opuścili Hutę Stepańską w uporządkowanej, kilkukilometrowej kolumnie furmanek, osłanianej przez uzbrojonych obrońców, a dodatkowo także przez gwałtowną popołudniową burzę. Przed nocą dotarli do kolonii Hały, gdzie urządzili warowny obóz i tam przenocowali. Wcześniej jednak uzbrojona czołówka kolumny stoczyła zwycięski bój z banderowcami, plądrującymi ocalałe od ognia budynki. Ta polska wioska, licząca około 100 gospodarstw, miała własną dość silną samoobronę i po odparciu ataku banderowców 16 lipca, mieszkańcy wycofali się do pobliskiej stacji kolejowej w Rafałówce. Do Rafałówki dotarła też – bez żadnych strat – kolumna uchodźców z Huty Stepańskiej. Stamtąd większość polskich rodzin

towym, w okresie od kwietnia do 18 lipca 1943 roku, miejscowy proboszcz, ks. Drzepecki, pochował około 250 Polaków, zamordowanych w okolicznych koloniach lub zbiegłych do Huty i zmarłych z odniesionych ran. W tym właśnie miejscu Janusz Horoszkiewicz postawił w 2009 roku pomnik nagrobny z krzyżem i tablicą, na której widnieje dwujęzyczny napis: „Przechodniu, pochyl głowę. Tu spoczywają Polacy, mieszkańcy Huty Stepańskiej i okolicznych wiosek. Ofiary bratobójczych walk z 1943 roku. Tylko Bóg Miłosierny ich imiona zna. A jedno imię mają: „Wołyńskie Dzieci”. Panie, zmiłuj się nad nami, w Tobie mamy nadzieję.” Drugi nagrobek z krzyżem stanął na miejscu spalonego kościoła. Zdobio go bazaltowa płyta z dwujęzycznym napisem: „Miejsce kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Parafia, liczą-



O. Stepan Szomonka poświęca pomnik-krzyż na miejscu spalonej polskiej wioski Nowa Kamionka

dobrowolnie wyjechała na roboty do Niemiec, część znalazła schronienie u krewnych i znajomych w większych miastach, a młodzi mężczyźni stanu wolnego wstąpili do oddziału partyzanckiego, sformowanego przez porucznika Kochańskiego.

Zaskoczeni banderowcy, po wkroczeniu 19 lipca do opuszczonej przez Polaków Huty Stepańskiej, wysadzili w powietrze budynek szkoły i doszczętnie spalili wioskę, nie szczędząc nawet kościoła.

Polskie krzyże w okolicach Stepania

Pierwszy krzyż upamiętniający poległych mieszkańców Huty Stepańskiej i okolicznych wiosek stanął na dawnym starym polskim cmentarzu z inicjatywy gen. Czesława Piotrowskiego. Został poświęcony w 1996 roku, podczas pierwszej wołyńskiej pielgrzymki kresowian, która stacjonowała w Sarnach.

W czasie drugiej pielgrzymki (w 1997 roku) postawiono krzyż na dawnym cmentarzu w Stepaniu, znajdując zresztą (i ustalając na przyszłość) zakwaterowanie właśnie w tamtejszym sanatorium.

W trzeciej pielgrzymce (rok 1998) upamiętniono wielkim bazaltowym krzyżem miejsce po spalonej i wymordowanej przez banderowców (w Wielki Piątek, 23 kwietnia 1943 roku) polskiej osadzie robotniczej w Janowej Dolinie. Od kul i ognia zginęło tam wówczas około 600 Polaków. Stanął wtedy krzyż także na miejscu spalonego kościoła w Choloniewiczach.

Przed dwoma laty kolejne krzyże stanęły – już z inicjatywy Janusza Horoszkiewicza – w odbudowanej po wojnie i zasiedlonej przez Ukraińców Hucie Stepańskiej. Tam, obok starego cmentarza, na dawnym boisku spor-

ca 4253 dusze, obejmowała w 1922 roku następujące osady: Borek, Grabina, Huta Mydzka, Huta Stepańska, Kamionka Nowa i Stara, Omelanka, Ozgów, Podseleszcze, Romaszko, Tchory, Temne Rządowe, Temne Stepańskie, Lady, Wyszka, Milenik, Mutwica, Polany, Osówka, Wyrka, Siedlisko, Sosznki, Użanie, Perepsa, Szymonisko, Wyrobki, Ziwna Nowa i Stara, Ostrówka, Osy Bród. Parafia przestała istnieć 19 lipca 1943 roku”.

U dołu wszystkich pamiątkowych tablic Janusz Horoszkiewicz umieścił słowa skierowane do okolicznych mieszkańców: „Bracia Ukraińcy – prosimy o opiekę nad tym krzyżem”. Jak mi powiedział, gdy podczas jednej z poprzednich pielgrzymek postawił krzyż z tablicą pamiątkową w Siedlisku, dodatkowo ogrodził go metalowymi słupkami i łańcuchem. Jak się jednak okazało, ogrodzenie ktoś rozebrał i ukradł, zanim jeszcze pielgrzymi odjechali do Polski. Bardzo to go wówczas wzburzyło, ale teraz już humorystycznie wspomina ów incydent:

– Gdy poszliśmy tam i stwierdziliśmy brak ogrodzenia, to przewodniczący Rady Wiejskiej w Hucie Stepańskiej, Wiktor Krót, bardzo pomagający mi w tych wszystkich upamiętnieniach, filozoficznie zauważył: „Janusz, niestusnie masz pretensje, bo przecież napis u dołu tablicy prosi braci Ukraińców tylko o opiekę nad krzyżem, a nic nie mówi o ogrodzeniu”. No więc, dlatego tych nowych krzyży już nie ogradzamy metalowym płotkiem – ze śmiechem konkluduje mój rozmówca.

Rozmowę kończy jednak gorzka refleksja: „Zostały po nas tylko ugory i puste tereny. Tam, gdzie wymordowali i złupili nasze wioski – nie ma nic. Tylko pola zarośnięte chwastami i krzakami. I tylko wiatr”.

KG

MEGO DZIADKA PIŁĄ RZŃĘLI...

Stanisław Wyspiański

z dr STANISŁAWEM STĘPIEM, dyrektorem Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyslu, o „rzezi wołyńskiej” rozmawiał MARCIN ROMER.

W tym roku, w lipcu, po raz kolejny obchodziliśmy rocznicę tragedii na Wołyniu. Pamiętne wydarzenia z 1943 roku to bez wątpienia jeden z najtragiczniejszych okresów w dziejach obu narodów.

Niewątpliwie tak, tym bardziej, że zdarzyły się stosunkowo niedawno, żyją jeszcze ludzie pamiętający tamte wydarzenia. Postrzegane są więc bardzo emocjonalnie. Na dodatek w PRL-u stanowiły one pewnego rodzaju tabu, niemożliwe było ich badanie przez historyków. Dopiero mniej więcej od 15 lat odkrywamy fakty o tamtych wydarzeniach, dowiadujemy się szokujących historii, staramy się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego doszło do tak krwawych walk między dotychczasowymi sąsiadami.

No właśnie co, według Pana, było powodem takich zachowań ze strony ukraińskich sąsiadów?

U podstaw tej tragedii leżała niewątpliwie walka o ziemię: zarówno w sensie państwowym, jak i zwyczajnym, indywidualnym. Na Wołyniu pod koniec II wojny światowej chodziło także o przyszłe granice powojennego państwa polskiego, a w odczuciu ukraińskiego ruchu niepodległościowego o granice przyszłej Ukrainy. Ale na Wołyniu chodziło również o możliwość powiększenia własnego gospodarstwa rolnego. Metodą dochodzenia do swoich racji stała się siła, w czasie wojny taki sposób postępowania nasywa się stronom walczącym niejako naturalnie. Polacy na Wołyniu nie mogli wygrać tej wojny, ponieważ byli tam w mniejszości, żyli jakby w ukraińskim „morzu”. Konflikt polsko-ukraiński narastał przez wieki, ponieważ nie potrafiliśmy się dogadać. Wołyń stanowił pewien rachunek krzywd, co oczywiście nie usprawiedliwia tych ukraińskich sił politycznych, które zdecydowały się na takie metody. Zbyt łatwo kierowali się chęcią zemsty. Trzeba jednak pamiętać, że stało się to w społeczeństwie chłopskim, bardzo ubogim, gdzie ok. 90% stanowili analfabeci, na dodatek było to społeczeństwo silnie skomunizowane. W czasie wojny na teren Wołynia weszła ponadto Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, wcześniej wzorująca się na metodach totalitarnych, hołdująca zoologicznej zasadzie, że o swoje walczyć należy siłą. W pewnych momentach współczesnej historii takie odruchy stawały się udziałem również Polaków, wystarczy przypomnieć tzw. rabację w Galicji z 1846 r., kiedy to uzbrojone w siekiery, widły i kosy bandy chłopów tylko w ciągu miesiąca (od 18 lutego do drugiej połowy marca) wymordowały od 1.200 do 3.000 tys. ziemian, urzędników dworskich i księży, spalono i zniszczono ponad 500 dworów. Mordowano w sposób okrutny, ćwiartując, odcinając głowy, przecinając piłą i niemal zawsze bezczeszcząc trupy („żeby pan już nie wstał”). W Tarnowie krew płynęła ulicami. Uwidocznili to nawet Stanisław Wyspiański w „Weselu”, kiedy to w usta Pana Młodego wkłada on słowa:



„Myśmy wszystko zapomnieli..., mego dziadka piłą rznąli!” I to robili Polacy Polakom, aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby rabacją trwała dłużej niż miesiąc.

Czyli uważa Pan, że brutalność mordów i mściwość na Wołyniu wynikała z ciemnoty, analfabetyzmu i biedy?

No jeszcze z ideologii nacjonalistycznej, bo niewykształconym i biednym łatwiej wskazać wroga i pokazać „cudowne rozwiązanie”. Wystarczy pozbyć się ciemności Polaków i „będziemy mieć własne państwo, w którym wszyscy będą syci i sprawiedliwi”. Nie należy jednak zapominać, że w latach II wojny światowej, po jednej i drugiej stronie można wskazać na przypadki mściwości, a nawet zezwierzęcenia. Oczywiście nie bez znaczenia pozostały wpływy z zewnątrz: Moskwy i III Rzeszy. Podczas wojny okupanci wychodzili z prostego założenia: Polacy i Ukraińcy zajęci wzajemnym zabijaniem się, nie będą mieli czasu na wysadzanie niemieckich pociągów jadących na wschód, ani sił na przeciwdziałanie radzieckiej propagandzie politycznej.

Na Wołyniu mieliśmy do czynienia z ludobójstwem w sensie prawnym?

Historyk nie może i nie powinien rozstrzygać takich kwestii. Tego rodzaju osąd należy do specjalistów z zakresu prawa międzynarodowego. Póki co, wiemy, że nie ma wśród nich zgody na ten temat. Spór toczy się o to: czy ci ludzie ginęli wyłącznie z tego powodu, że byli Polakami, czy ginęli, ponieważ jako Polacy mieszkali na ziemi ukraińskiej, i w odczuciu Ukraińców zabierali im ziemię, a przecież w okresie międzywojennym istniał wśród chłopów ogromny „głód” ziemi. Były też inne nie rozwiązane rachunki krzywd, jak pomijanie ludności prawosławnej przy parcelacji ziemi obszarnej, osadnictwo wojskowe, pacyfikacja z 1930 r. i wreszcie roz-

Zbrodnia jest zbrodnią i zawsze zasługuje na potępienie, bez względu na przynależność narodową osoby, która jej dokonała. Prawdziwie pomóc własnemu narodowi można jedynie przez oczyszczenie, pokazanie błędów i przewinień, a nie przez ich tuszowanie.

bieranie cerkwi prawosławnych w Lubelskiem w 1938 r. To tworzyło poczucie krzywdy, ale też łatwo dało się tą krzywdę wyolbrzymić w propagandzie nacjonalistycznej i komunistycznej.

Ukraińcy na Wołyniu niechętnie wracają pamięcią do mordów na Polakach.

To naturalne zachowanie. Wszystkie narody chętnie dziedziczą chwałę, ale nie chcą dziedziczyć tego, co złe, tego, co ich kompromituje. Dzisiejsi Ukraińcy z tamtych terenów nie zrobili nic złego Polakom. Zabijali ich przodkowie, dlatego oni odseparowują się od krwawego rozdziału w historii, może czasem nawet chcą o tym zapomnieć. Ukraińcy nie różnią się od innych narodów. A trzeba też pamiętać, że społeczeństwo ukraińskie nie jest i nie było monolitem. Są na Wołyniu zarówno Ukraińcy pomagający odbudowywać polskie kościoły i cmentarze, ale są i tacy, którzy chcieliby zatuszować ślady polskości.

Może na wzór relacji polsko-żydowskich, należy upamiętniać Ukraińców, zaangażowanych w ratowanie Polaków przed śmiercią z rąk UPA?

Jestem gorącym zwolennikiem takiego postępowania. Jeśli w morzu nienawiści znajdowali się ludzie, którzy wbrew swojej grupie etnicznej, ratowali bliźniego, to niewątpliwie zasłużyli na uznanie i wdzięczność. I Polacy powinni to robić...

Kiedy więc Polacy i Ukraińcy podadzą sobie ręce w sprawie Wołynia?

Tak w tej, jak i innych sprawach, rzeczywisty proces pojednania polsko-ukraińskiego rozpocznie się wtedy, kiedy zaczniemy bić się we własne piersi, a nie w cudze. My musimy badać własne przewinienia w stosunku do Ukraińców i odwrotnie. Po obu stronach mamy już dziś pozytywne przykłady historyków rzetelnie piszących o sprawach trudnych i konfliktowych. Wciąż nie mogą zrozumieć, dlaczego nadal niektórzy Polacy i Ukraińcy próbują identyfikować się ze zbrodniarzami we własnym narodzie. Zbrodnia jest zbrodnią i zawsze zasługuje na potępienie, bez względu na przynależność narodową osoby, która jej dokonała. Prawdziwie pomóc narodowi można jedynie przez oczyszczenie, pokazanie błędów i przewinień, a nie przez ich tuszowanie. I tu nie chodzi o jakieś samobiczowanie, ale uchronienie obecnych i przyszłych pokoleń, przed popełnianiem takich samych błędów, chodzi o naukę z historii na przyszłość...

zdjęcie PETRO DIDUŁA

POWSTANIE WARSZAWSKIE

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst
zdjęcia archiwum

Co roku 1 sierpnia obchodzone są kolejne rocznice tego historycznego zrywu młodzieży polskiej. W różnych okresach te rocznice obchodzone były różnie. Od cichych, można rzec, rodzinnych obchodów w okresie stalinizmu, po uroczyste upamiętnienie bohaterów ostatnio. Ale im dalej odsuwa nas czas od tamtych chwil tym bardziej trzeźwo oceniane są wydarzenia. Nie tylko przez historyków młodszego pokolenia, ale nawet przez samych uczestników krwawych zmagania o Warszawę. A czy naprawdę walczyli oni tylko o Warszawę? Czy to powstanie miało jeszcze inne przyczyny? Te pytania zadają sobie nawet ci, którzy o godzinie 17.00 1 sierpnia 1944 roku chwycili za co kto miał, bo broni dla wszystkich też nie było.

Polska niestety nie miała szczęścia do powstań. Każde z nich angażowało najlepszych synów naszego narodu i dawało tylko krótkotrwałą iluzję wolności. Po upadku stan rzeczy pogorszał się jeszcze bardziej, przynosił setki tysięcy ofiar, wśród samych walczących i ludności cywilnej, konfiskaty majątków i zsyłki na Syberię, co w wielu wypadkach też oznaczało powolną i męczenną śmierć. XIX wieczne powstania toczyły się na olbrzymich terenach, przestrzeniach i w mniejszym stopniu narażały ludność cywilną. Powstanie Warszawskie skoncentrowało się w obrębie jednego miasta i jego konsekwencje ponieśli wszyscy, którzy w nim się znaleźli.

Powstanie Warszawskie zawsze postrzegane było jako zryw protestu przeciw okupantom i ich brutalnej polityce względem Polaków. Ale nie



Pomnik małego powstańca

szkody i nie miała większego znaczenia militarnego, niejednokrotnie zawiązując liczbę ofiar walk w Warszawie i podważając kompetencje dowódców walk w stolicy. A jaka jest prawda historyczna?

W jakimś stopniu władze na Kremlu inspirowały wybuch powstania. 29 lipca do warszawiaków zaapelował przez radio moskiewskie Związek Patriotów Polskich, nawołując ludność Warszawy do powstania przeciw Niemcom. Komunikaty, będące powtórzeniem tej audycji, nadawała także czterokrotnie dnia 30 lipca 1944 roku (w godzinach: 15:00, 20:55, 21:55, i 23:00) moskiewska Radiostacja im. Tadeusza Kościuszki. W obliczu zbliżania się Armii Czerwonej do Warszawy i okolic, jej sukcesów na froncie i pozytywnej oceny jej możliwości dalszej ofensywy, zdecydowano o wybuchu powstania. Wobec sprzyjającej sytuacji na froncie, polscy dowódcy przewidywali, iż powstanie powinno trwać zaledwie kilka dni, zaś w rzeczywistości jego walki trwały 63 dni. Propaganda sowiecka nie wspominała o tym, iż Armia Czerwona z polecenia Józefa Stalina w dniach 5 i 6 sierpnia 1944 wstrzymała atak na miasto ze względów politycznych

we naloty na III Rzeszę bombowców RAF i USAF i lądowania samolotów alianckich z pomocą dla powstania, ani nawet zgody na lądowanie za linią frontu niemiecko-sowieckiego za Wisłą samolotów RAF, dostarczających zrzuć dla miasta, w przypadku ich uszkodzenia przez niemieckie lotnictwo lub artylerię przeciwlotniczą.

Czy dowódcy przewidywali taki przebieg powstania. Opublikowane obecnie dokumenty archiwalne wskazują, że tak. Przewidywali, że poprowadzą ich do z góry ZAPLANOWANEJ KŁĘSKI. Gen. Okulicki na naradzie Komendy Głównej AK w lipcu 1944 mówił: „Musimy się zdobyć na czyn, który wstrząśnie sumieniem świata. W Warszawie mury się będą walić i krew poleje się strumieniami, aż opinia światowa zmusi rządy 3 mocarstw do zmiany decyzji z Teheranu” Tak więc dowódcy AK zdawali sobie sprawę, że Powstanie militarnie nie ma szans na powodzenie, jest w założeniu skazane na klęskę i miało być tylko rozpaczliwym krzykiem protestu przeciw zniewalaniu Polski przez Sowiety.

Krytycy Powstania za główny argument złego przygotowania akcji przytaczają słabe uzbrojenia żołnierzy. Faktycznie, z uzbrojeniem nie było najlepiej, ale jeszcze gorzej było z wykorzystaniem zgromadzonej broni. Stan na 1 sierpnia 1944 rano: karabiny – 2629 szt., z czego wykorzystano ok. 1000 szt. ręczne karabiny maszynowe – 145 szt., z czego wykorzystano 60 szt. ciężkie karabiny maszynowe – 47 szt., z czego wykorzystano 7 szt. pistolety maszynowe – 657 szt., z czego wykorzystano ok. 300 szt. pistolety – 3846 szt., z czego wykorzystano 1700 szt. granaty ręczne i ppanc – 44 387, z czego wykorzystano 25 tys. szt.

Posiadany stan uzbrojenia pozwalał sformować 70 plutonów zdolnych do prowadzenia działań przez 2 dni. Oznacza to, że w godzinie „W” (17:00) uzbrojonych było do 3,5 tys. powstańców na 36,5 tys. zmobilizowanych. Czym miała walczyć reszta?

W 2009 roku pojawiła się książka „Kulisy katastrofy Powstania Warszawskiego 1944”, w przedmowie do której autor Jan Sidorowicz pisze: „...Wydana z inicjatywy nieformalnej grupy byłych Żołnierzy Armii Krajowej, Powstańców Warszawskich, którzy przed odejściem na Wieczną Wartę postanowili przekazać młodszemu pokoleniu swoje wspomnienia i refleksje na temat Powstania Warszawskiego. Do swoich refleksji dołączyli szereg publikacji historyków i świadków wydarzeń, które ukazały się w prasie krajowej i emigracyjnej, i które oddają w sposób niezafalszowany cel, przebieg i skutki Powstania. Publikacje te stanowią przeciwwagę dla oficjalnej wykładni Powstania i polityki historycznej uprawianej przez kolejne Rządy III RP, wprowadzającej w błąd opinię publiczną”. Publikacja ta, składająca się z materiałów archiwalnych, wspomnień, ocen historyków i wywiadów w wielu wypadkach przedstawia realny stan rzeczy i nastroje, panujące wśród żołnierzy i ludności cywilnej ówczesnej Warszawy.

Przytoczę fragment wywiadu Rafała Jabłońskiego z historykiem, profesorem Pawłem Wieczorkiewiczem

„Naród naprawdę męski nie walczy nigdy do ostatniej kropli krwi. Na tym polega prawdziwy patriotyzm, patriotyzm obdarzony instynktem życia, nakazującym cierpliwość, ostrożność, powściągliwość, subtelność taktyczną w dążeniu do celu zasadniczego. My natomiast tak bardzo tęsknimy do wielkości, do walki...”

**Stefan Kisielewski o Powstaniu Warszawskim,
Tygodnik Powszechny, 24.09.1945
(fragment)**

„Obląkana koncepcja powstania”, który ukazał się w Życiu Warszawy 29 lipca 2005.

O Powstaniu Warszawskim mówi się na klęczkach i tylko sporadycznie stawiane są trudne pytania. Na przykład: czy ludzie, którzy podjęli decyzję o walce, kalkulowali, że mogą ją przegrać?

Kalkulowali. Na kluczowych naradach padało pytanie: co będzie, jeśli Rosjanie nie nadejdą? Rzeź, klęska. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy przeżyli gehennę Warszawy. Prawdziwi powstańcy – nie ci, którzy przypięli sobie krzyże Armii Krajowej w latach 90., bo takich jest sporo, tylko ci, którzy byli na barykadach – bardzo krytycznie mówili o Powstaniu. Mieli poczucie, że są oszukany pokoleniem. Także ludność cywilna miała poczucie krzywdy. O tym nie piszemy, bo i nie wypada, i politycznie niepoprawne. A przecież jedną z przesłanek kapitulacji Powstania było to, że ludność zaczęła się burzyć. Zaczęła tego żądać. Czemu trudno się dziwić, po dwóch miesiącach bombardowań i ostrzału.

Na Pradze przerwano walkę po sześciu dniach, kiedy wiadomo już było, że Powstanie jest nie do wygrania. I ocalono ludzi. W Warszawie lewobrzeżnej nie można było tak samo?

Nie można, przez fałszywe ambicje i fałszywe rachuby. Przecież premier Stanisław Mikołajczyk przebywał w Moskwie i nie wiadomo było, czy coś załatwi, czy nie. No i przekonanie niektórych przynajmniej dowódców, że trzeba się bić do końca, że trzeba zginąć. Jak pod Termopilami. Na przykład generał Tadeusz Pełczyński był przekonany, że konieczny jest symbol, który wstrząśnie sumieniem świata. Też nieprawda, bo niczym nie wstrząsnął. Wielka iluzja.

Ta opinia chyba najlepiej oddaje uczucia tych, którym udało się tę gehennę przeżyć.

Co dało powstanie. Z politycznego i militarnego punktu widzenia – nic. Nie zmieniło ustaleń Wielkiej Trójki (symboliczne, ale w NKWD też „trójki” decydowały o życiu i śmierci). Polska znalazła się w „obozie” socjalistycznym. A swoje życie za „wielką iluzję” polityków oddało około 10 tys. zabitych, 7 tys. zaginionych i 5 tys. rannych żołnierzy oraz około 200 tysięcy ofiar spośród ludności cywilnej. Liczbę 200 tys. ofiar podał jako pierwszy przewodniczący PKWN Edward Osóbka-Morawski jeszcze podczas trwania powstania. Obecnie historycy przyjmują, że straty ludności cywilnej wyniosły ok. 120–200 tys. ofiar. Wśród zabitych przeważała młodzież oraz ogromna większość warszaw-

skiej inteligencji. Podczas walk zburzonych zostało około 25% zabudowy miasta, a po ich zakończeniu, w wyniku celowego burzenia i palenia miasta przez niemieckie oddziały niszczycielskie (niem. Vernichtungskommando), dalsze 35%. Wobec zniszczenia około 10% zabudowy w obronie miasta we wrześniu 1939 roku i 15% w wyniku powstania w getcie warszawskim, pod koniec wojny około 85% miasta leżało w gruzach. Zniszczony został



Mogiła powstańca

wielowiekowy dorobek kulturalny i materialny.

Jednak Powstanie pokazało, że Polak nigdy nie zgodzi się z przymusem, okupacją, narzuconym reżimem i w obliczu klęski podejmie rozpaczliwą walkę, nawet gdy nie ma szans na zwycięstwo. Takiego przeciwnika wrogowie niszczą bezwzględnie, chociaż oceniają go ze zdumieniem. Oceniając Powstanie Warszawskie, Heinrich Himmler w czasie narady z dowódcami niemieckimi 21 września 1944 w Jägerhöhe powiedział, że była to „...najcięższa walka, jaką toczyliśmy [Niemcy] od początku wojny. Jest porównywalna tylko do walk o każdy dom w Stalingradzie”.

PS. Votum separatum

Ostatnio niezwykle modnym jest tworzenie alternatywnych wizji historii. Nie mylić, proszę, z analizą. Zadam jednak pytanie: Czy gdyby te nieudane powstania nigdy nie wybuchły, Polska kiedykolwiek powróciłaby na mapę Europy? Czy gdyby nie Powstanie Warszawskie możliwy byłby Sierpień 1980 i odzyskanie pełnej niezależności w 1989 roku?

I kim bylibyśmy dzisiaj? Co uwadze czytelników, w to kolejne sierpniowe popołudnie, polecam...

MARCIN ROMER



Powstańcy warszawscy

zapominajmy, że było ono tylko częścią o wiele szerszej akcji pod kryptonimem „Burza”, która objęła już od początku 1944 roku tereny wschodnie przedwojennej Rzeczypospolitej. Nasiliła się ta akcja w lipcu w przededniu Powstania.

Przez wiele lat propaganda PRL-u oraz oficjalna wersja w szkolnych podręcznikach historii, szczególnie powstających do 1956 roku, usiłowała przedstawić powstanie warszawskie jako nieodpowiedzialną decyzję, która spowodowała niewyobraźalne

oraz przez 44 dni (pierwsze zrzuć na radzieckiego uzbrojenia nastąpiły dopiero 13 i 14 września 1944), mimo wielokrotnie składanych obietnic, nie udzieliła żadnej pomocy wojskowej powstańcom warszawskim, chcąc w ten sposób doprowadzić do zniszczenia organizacji niepodległościowych przeciwnych planom ZSRR w stosunku do Polski. Józef Stalin odmówił również zgody na wykorzystanie lotnisk na terenie ZSRR (rejon Doniecka i Zaporozża), z których dokonywane były w 1944-1945 regularne wahadło-

LEKCJA HISTORII NA ŻYWO

We lwowskiej siedzibie naszej redakcji gościliśmy, obecnego często na naszych łamach, **ANDRZEJA SPRYCHĘ** ze Związku Strzeleckiego „Strzelec” z Siedlec, **PAWŁA MARCHWIŃSKIEGO** – na co dzień oficera z Komendy Głównej Policji w Warszawie i **RENATĘ STAŃCZUK** z ZHP Siedlce. Rozmawiał **KRZYSZTOF SZYMAŃSKI**.

Co sprawiło, że przyjechaliście do Lwowa?

AS: Zacznę od siebie. W zasadzie nie mam żadnych rodzinnych powiązań ze Lwowem. W zeszłym roku przyjechałem do Lwowa po raz pierwszy, aby zobaczyć to historyczne miasto, jako człowiek który interesuje się i pasjonuje historią Polski. Była to taka krótka zorganizowana wycieczka. No i polknąłem tego lwowskiego bakcyła. Było to takie zauroczenie i zaszczerpienie tymi najważniejszymi miejscami, które warto zobaczyć. Potem powróciłem już tu indywidualnie na dłużej. Mieszkałem na ul. Ruskiej i całymi dniami wędrowałem lwowskimi uliczkami, podwórkami i poznawałem to miasto. Cmentarze: Łyczakowski i Janowski. Odkrywałem dla siebie ślady polskości, np. studzienkę kanalizacyjną z polskimi napisami, napisy, wychodzące spod tynku, reklamowe kafelki w bramach itp. W czasie wędrowki na spokojnie po Cmentarzu Ły-



Andrzej Sprycha

czakowskim pochowany jest biskup Jan Marcelego Gutkowski. Był on w XIX wieku biskupem naszej diecezji, żołnierzem u Kościuszki, kapelanem wojsk napoleońskich i po upadku powstania listopadowego został przez rząd carski aresztowany i wyrugowany. Przeniósł się do Lwowa i tu zmarł. Uporządkowaliśmy i wyczyściliśmy ten grobowiec, odnowiliśmy prawie zatarty napis. Nasz biskup zobowiązał się do załatwienia formalności, związanych z pełną renowacją tego nagrobka na obchody 200-lecia diecezji podlaskiej w 2018 roku.

Nasza młodzież z wielkim przejęciem przystępowała do tych prac. Gdy szli pierwszego dnia i czytali tabliczki na grobach, to uświadomili sobie, że spoczywają tam ich rówieśnicy. Było to dla nich uderzające, gdy porównali swoją sytuację. Oni dopiero zaczynają życie, mają plany. A tamci nie mogli swoich marzeń zrealizować, bo oddali życie za Ojczyznę.



Grupa młodzieży przy grobie biskupa Jana Marcelego Gutkowskiego

bywał w najodleglejszych zapomnianych zakątkach na tych terenach.

Jak liczna jest Wasza grupa?

AS: Jest nas razem 18 osób. Związane to było funduszami, które udało nam się na ten wyjazd zebrać i z tym, że akurat mamy transport – busa, na 18 osób. Chociaż zgłoszeń na ten wyjazd mieliśmy o wiele więcej.

RS: Przyjechaliśmy tu na 10 dni. Tylko do Lwowa w celu pomocy przy porządkowaniu Cmentarza Orłąt. A, przy okazji, młodzież poznaje samo miasto, jego historię, kulturę. Na tych wyłaniających się spod tynku napisach, czasem w jidysz, poznaje wielonarodowość i wielokulturowość Lwowa.

AS: Młodzież jest tu pierwszy raz. Dla nich wszystko tu jest inne i przez to ciekawe. Co prawda, po pracach na Cmentarzu są zmęczeni, ale po obiedzie i krótkim wypoczynku chłoną wszystko, co jest związane ze Lwowem. Wszyscy podkreślają, że Lwów jest pięknym miastem. Byli zdziwieni, że jeszcze tyle śladów polskości tu pozostało. Podziwiają architekturę, wspaniałe cerkwie i kościoły różnych wyznań, ślady kultury żydowskiej. Wszystko to świadczy o tym, że Lwów zawsze był miastem europejskim.

Wspomniał pan o osobie, spoczywającej na Cmentarzu Łyczakowskim, a stojącej przed wojną u podwalin polskiej kryminalistyki.

AS: Jest to doktor Sobolewski. Był oficerem komendy policji, którego prace naukowe postawiły polską kryminalistykę na poziomie europejskim. Był szefem laboratorium kryminalistycznego Policji Państwowej. Został pochowany we Lwowie. Dokładnie dlaczego tak się stało, nie wiadomo. Historię jego życia jeszcze należy zbadać. Nie jest zapomniany w Polsce, bo w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie główna aula nosi jego imię. O tym, że został pochowany we

Lwowie, mało kto wie. Jako pasjonat historii kiedyś przeglądałem roczniki starych gazet i w jednej natrafiłem na fotoreportaż z jego pogrzebu. Pamiętam zdjęcie ulicy Łyczakowskiej, po której szedł kondukt pogrzebowy, a cała ulica była zapelniona tłumem ludzi. W kondukcje warta honorowa, żołnierze, policja, biskupi. Taki pogrzeb musiał mieć ktoś znaczny.



Renata Stańczuk przy porządkowaniu grobów

Jest nas tu trójka opiekunów. Pani Renata, jako nauczycielka w gimnazjum i działaczka ZHP na co dzień, zapewnia fachową opiekę nad młodzieżą. A Paweł, oficer Komendy Głównej Policji, jest wielkim pasjonatem historii Kresów i wielokrotnie



Paweł Marchwiński

co i jak. W wielu wypadkach są to jedynie ślady po polskich wsiach, które tętniły życiem do 1943 roku.

Pani Renato, czy ten wyjazd będzie bodźcem do organizacji wyjazdów większych grup młodzieży z panii okolic na Kresy?

RS: Bardziej mi odpowiada taki charakter naszego przyjazdu jak ten. Opiekuję się drużyną harcerską i na tym wyjeździe już narodziły się plany kolejnych wyjazdów do Lwowa. Planujemy wspólny przyjazd do Lwowa grupy harcerzy i strzelców. Nawiązaliśmy kontakt z druhem Stefanem Adamskim i mamy uzgodnić szczegóły ewentualnego naszego przyjazdu. Ale to już w roku następnym. Planowalibyśmy pobyt użyteczny, ze sprzątnięciem grobów na Cmentarzu, może nawet, Janowskim. No i naturalnie głębsze poznanie historii miasta i okolic.

W tym roku z okazji 100-lecia harcerstwa polskiego w Siedlcach mieliśmy też bardzo uroczyste obchody tej rocznicy.

Chciałabym jeszcze dodać, że tylko ja jedna mam rodzinne powiązania kresowe. Moja rodzina pochodzi z Włodzimierza Wolińskiego i bardzo



Prace na Cmentarzu Orłąt

Odnalazłem jego grób na cmentarzu z pomocą naszej pani przewodnik po Lwowie. Nie miałem dokładnej lokalizacji, tylko orientacyjną. Cały dzień na to poświęciłem. Grobowiec rodzinny jest dość zaniedbany i teraz chciałbym zrobić coś, żeby w jakiś sposób uporządkować ten pochówek. Mam nadzieję, że nam się to uda.

PM: Mnie też interesuje postać dr. Sobolewskiego. Chciałbym jego osobą zainteresować władze Komendy Głównej. Może uda się zorganizować wyjazd naszych funkcjonariuszy na grób prekursora polskiej kryminalistyki. A prywatnie to już po raz trzeci jestem na Kresach. Podróżuję z przyjaciółmi prywatnym samochodem, dzięki czemu możemy dotrzeć do wielu miejsc poza tradycyjnymi trasami wycieczek. Odnajdujemy, na przykład, zarosnięte pola, stare sady, co świadczy, że kiedyś była tu jakaś wieś. U okolicznych ludzi rozpytujemy

chciałabym odwiedzić te tereny. Moi dziadkowie ze strony ojca pochodzili właśnie z tego miasta. Mieszkała na ulicy Lwowskiej. Wiele razy babcia opowiadała o swoim życiu na tych terenach, o ich pierwszym mieszkaniu. Opowiadała, jak uciekali przez Bug w 1943 roku na piechotę. Dziadek musiał zostać we Włodzimierzu. Spotkali się dopiero po latach. Nikt z mojej rodziny od czasów wojny nie odwiedzał rodzinnych stron.

PM: Bardzo ważne, co zauważyłem, że młodzież po kilku dniach zaczęła zadawać pytania. To oznacza, że wiele z tego, co tu zobaczyli i usłyszeli zapadło im w pamięć i te sprawy starają się dla siebie wyjaśnić. To jest właśnie dobre, że zaczynają ten wyjazd przeżywać, analizować i ciekawi ich wiele rzeczy.

To sygnał, że ten wyjazd nie poszedł na marne i starają się jak najwięcej wiadomości stąd wywieźć.

LWOWSKI PANTEON SŁAWY I CHWAŁY

(ciąg dalszy z poprzednich numerów – odcinek ostatni)



JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Południowo-wschodnią część pola 76 zajmuje memoriał Ukraińskiej Armii Halickiej, budownictwo którego rozpoczęto w 1998 roku według projektu architekta Myrona Fedyka, przy współpracy artystów-rzeźbiarzy Mykoły Posikiry i Dmytra Krwawycza. W górnej części panteonu ustawiono 14-metrową kolumnę z sześciometrową postacią Archaniola Michała. Obok znajdują się groby znanych ukraińskich działaczy wojskowych i politycznych, mianowicie Aleksandra Tysowskiego (1886-1968), przywódcy skautów ukraińskich, zwanych „Płastem”, Mychajła Hałuszczynskiego (1878-1931), prezesa towarzystwa „Proswita”, Dmytra Witowskiego (1887-1919), dowódcy Ukraińskich Strzelców Siczowych, ministra do spraw wojskowych w rządzie ukraińskim i jego adiutanta Juliana Czuczmana (1895-1919).

Po lewej stronie alei ułożono półkolem ciemnobrązowe płyty granitowe flankowane dwoma obeliskami. Na nich wybito nazwiska 239 żołnierzy UAH poległych w walkach o Lwów. W dolnej części cmentarza zbudowano kaplicę z czerwonej cegły. Do krypty kaplicy przeniesiono z Berlina prochy Ewhena Petruszewycza (1863-1940), pierwszego prezydenta Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Obok znajdują się groby kombatanów II wojny światowej i więźniów politycznych łagrów radzieckich.



Pomnik Lotników Amerykańskich

Przy wejściu na teren Cmentarza Orłąt ustawiono dwie tablice: pierwsza ku pamięci wizyty prezydentów Leonida Kuczmy i Aleksandra Kwaśniewskiego na ten Cmentarz w 1999 roku, druga – oficjalnego uroczystego otwarcia odbudowanego Cmentarza 25 czerwca 2005 roku.

Cmentarz Orłąt zbudowano w latach 1922-1934 według projektu kon-



Widok na Pomnik Chwały

kursowego inż. architekta Rudolfa Indrucha (1892-1927). Jeszcze w 1919 roku Magistrat lwowski wykupił od sióstr benedyktynek ormiańskich grunty położone w południowo-wschodniej części Cmentarza Łyczakowskiego, na pochyłym zboczu stromo spadającym w kierunku Pohulanki. W tymże roku rozpoczęto przeniesienie zwłok żołnierzy pochowanych w różnych miejscach na terenie Lwowa i w okolicach miasta. 19 października 1921 roku ogłoszono wyniki konkursu na projekt architektoniczny przyszłego panteonu. Realizację projektu Rudolfa Indrucha rozłożono na wiele etapów i wiele lat. Rozpoczęto w 1922 roku od budowy kaplicy mszalnej pod kierownictwem inż. Weissa. Już 28 września 1924 roku kaplicę poświęcił abp Bolesław Twardowski, w kaplicy zbudowano oryginalny ołtarz dłuta Luny Amalii Drexlerówny. W następnym 1925 roku odsłonięto pomnik Lotników Amerykańskich. Do 1932 roku trwała budowa monumentalnych katakumb, których współprojektantem po śmierci Rudolfa Indrucha był architekt Antoni Nestarowski. On również nadzorował wszystkie prace na Cmentarzu do 1939 roku. W kryptach katakumb złożono prochy 72 ofiar walk o Lwów, wśród nich prochy młodych ludzi „Orłąt lwowskich”. Najbardziej znani z nich to 14-letni Jurek Bitschan (1905-1918) i 13-letni Antoni Petrykiewicz (1906-1919). Katakumby zostały zbudowane w kształcie dwóch symetrycznych części rozdzielonych dekoracyjną studnią i były ozdobione licznymi rzeźbami w stylu Art-Déco. Obok lewej katakumby w 1938 roku ustawiono pomnik Piechurów Francuskich autorstwa Józefa Różyckiego we współpracy z Kazimierzem Sokalskim.

Głównym elementem Cmentarza był Pomnik Chwały, uroczyste odsłonięty 11 listopada 1934 roku. Wielka łukowa kolumnada składała się z dwunastu kolumn doryckich, połączonych architravem i flankowanych masywnymi pylonami. Przy łuku triumfalnym stały dwa olbrzymie kamienne lwy, które trzymały tarcze z herbem Lwowa i godłem państwowym Rzeczypospolitej. Od głównego wejścia do Pomnika Chwały prowadziły szerokie, wspinające się w górę schody. Obok nich, ułożone również



Kolumna św. Michała Archaniola na Cmentarzu UHA



Pomnik piechurów francuskich

łukowo, znajdowały się rzędy grobów żołnierskich. Przed Pomnikiem Chwały powstał grób Nieznanego Żołnierza. Przed katakumbami z cza-



Pomnik na grobie inż. Gustawa Müldnera

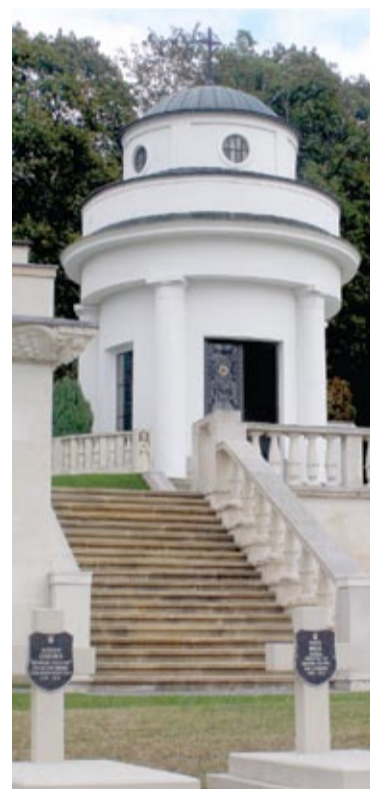
sem uformowały się dwa rzędy grobów zasłużonych. W tym zaszczytnym miejscu pochowano znanych dowódców wojskowych, polityków i duchownych, mianowicie arcybiskupa Józefa Teodorowicza, generałów Tadeusza Rozwadowskiego, Wacława Iwaszkiewicza, Edmunda Kesslera, Bolesława Popowicza, Jana Thullie, Ryszarda Jana Hausnera, senatora RP Tadeusza Cieńskiego, brygadiera Czesława Mączyńskiego, znanego polityka galicyjskiego hrabiego Aleksandra Skarbka, profesora Ludwika Rydygiera etc. Na tzw. „polach pokojowych” obrońców Lwowa chowano do wybuchu II wojny światowej. Razem na Cmentarzu spoczęło 2 859 osób.

Po II wojnie światowej Cmentarz był przez władze radzieckie Lwowa zamknięty i metodycznie dewastowany. Ostateczna zagłada na rozkaz z Moskwy nastąpiła 25 sierpnia 1971 roku. W tym dniu na Cmentarz wjechały czołgi i spychacze. Zburzono kolumnadę, rozbito pomniki, krzyże. Buldożerami wyrównano teren. W katakumbach urządzono warsztat kamieniarski, na górnym tarasie – garaże dla traktorów i ciężarówek cmentarnych. W kaplicy Orłąt urządzono składowisko złomu, ołtarz zniszczono.

Odbudowę Cmentarza rozpoczęto dopiero w 1989 roku, w całkiem

Skrzypczyk, architekci Michał Witwicki i Artur Zbiegieni, konserwator dzieł sztuki i rzeźbiarz dr Janusz Smaza. Ofiarne pracowali członkowie Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi. Sprawa polskiego cmentarza wojskowego nabrała znacznego rozgłosu międzynarodowego, znalazła się w centrum zainteresowania polskich i ukraińskich władz państwowych, mediów. Ogromny wysiłek w sprawę odbudowy Cmentarza włożył śp. Andrzej Przewoźnik, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Miejsc Walk i Męczeństwa.

Logicznym zakończeniem wysiłku tak wielu ludzi dobrej woli były uroczystości otwarcia odbudowanego memoriału. Uroczystość 25 czerwca 2005 roku była wyjątkowo okazała. Uczestniczyło w niej kilka tysięcy osób, prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Wiktor Juszczenko, członkowie rządów obydwu krajów, kombatan, liczni przedstawiciele duchowieństwa na czele z kardynałem Marianem Jaworskim i kardynałem Lubomirem Huzarem.



Kaplica Orłąt Lwowskich



Lewe skrzydło katakumb

już innej rzeczywistości politycznej. Według uzgodnionych planów polsko-ukraińskich polska firma budowlana „Energopol” pod kierownictwem Józefa Bobrowskiego przystąpiła do prac porządkowych. W pracy na Cmentarzu Orłąt włożyli swój wkład: główny projektant odbudowy nekropolii Jarosław

Corocznie Cmentarz Łyczakowski i Cmentarz Orłąt odwiedza kilka tysięcy turystów. Przyjeżdżają ludzie z całego świata. Unikatowa nekropolia-muzeum jest miejscem, które odwiedza każdy, kto interesuje się historią, sztuką i kulturą naszego miasta.

Zabawa idzie z nauką w parze



JULIA ŁOKIETKO tekst
JULIA ŁOKIETKO
i ALICJA BRZAN-KŁOŚ
zdjęcia

Pod hasłem: „Uczymy się bawiąc i bawimy się ucząc” minęła kolejna edycja Letniej Szkoły Języka i Kultury Polskiej w Drohobyczu. W ciągu dwóch tygodni dzieci poznawały Polskę przez śpiew, taniec, filmy, teatr, zajęcia plastyczne, bajki i legendy, no i oczywiście lekcje językowe. Na pożegnanie ze szkołą uczniowie przygotowali z opiekunami koncert. Była to krótka kronika zajęć. Niespodzianką dla „absolwentów” stała się prezentacja zdjęć, którą przygotowali nauczyciele. Każdy mógł w niej odnaleźć siebie i pośmiać się do woli z dowcipnych ujęć. Po koncercie na uczniów czekały dyplomy i pożegnalne prezenty. Nie zostali bez nagród również pedagodzy i organizatorzy. Dyplomy uznania i medale jubileuszowe Bitwy pod Grunwaldem od TKPZL oddział w



Uczestnicy IV Letniej Szkoły Języka i Kultury Polskiej

każde dziecko, które chce uczyć się języka polskiego. Mam kresowe korzenie i doskonale rozumiem specyfikę środowiska. Jest tu bardzo dużo rodzin mieszanych: polsko-rosyjskich, polsko-ukraińskich, polsko-żydowskich. Uważam, że skoro dziecko wyraża chęć edukacji, to naszym

domowe. Przekrój wiekowy uczniów jest dość szeroki – od szkoły podstawowej do młodzieży, nawet już studiującej. Podzieliliśmy ich na grupy w zależności od wieku i zaawansowania znajomości języka polskiego. Animatorzy podporządkowali zajęcia określonym blokom tematycznym. Podczas zajęć zaprowadzono korelację między przedmiotami. Jeden wynikał z drugiego – jeśli uczyliśmy bloku „Godło Polski”, to od razu je rysowaliśmy, uczyliśmy odpowiedniego słownictwa, hymnu Polski.

Staraliśmy się pokazać dzieciom piękno Polski, korzyści wynikające z jej członkostwa w Unii Europejskiej, sięgaliśmy do historii, przedstawialiśmy codzienne życie Polaków. Młodzież powinna wiedzieć czym jest UE, po co i dlaczego działa.

W Letniej Szkole wzięli udział pedagodzy z obu krajów...

Prowadzeniem projektu zajęli się animatorzy z Uniwersytetu Śląskiego i bytomskich placówek edukacyjnych. W Bytomiu została przeprowadzona akcja zbioru materiału edukacyjnego – książek, zeszytów, piór, długopisów. Każdy przywiózł ze sobą też pakiet materiałów dydaktycznych. W Drohobyczu dołączyły do nich nauczycielki szkoły sobotniej. Wyznają, że udział w projekcie jest dla nich bardzo ważny. Mogą przecież uczyć się od przyjaciół z Polski nowatorskich metod pedago-



Zajęcia w ramach Szkoły Letniej dla dzieci z Borysławia, Stryja i Chmielnickiego w Szeplisku



„Uczymy się bawiąc i bawimy się ucząc”



Alicja Brzan-Kłoś

gicznych, udoskonalać swój warsztat i we wrześniu powitać uczniów z nowymi pomysłami.

Metodyka nauczania w Polsce i na Ukrainie ma swoją specyfikę. W Polsce zajęcia niekoniecznie powinny odbywać się w klasach, niekoniecznie dziecko musi siedzieć

Jak wygląda realizacja projektu „od kuchni”?

Bardzo wdzięczni jesteśmy za przychylność władzom miejskim Drohobycza. Bez tego mało daloby się zrobić. Właściwie, bez żadnych opłat mogliśmy też korzystać z pomieszczeń szkoły średniej nr 2. Jej dyrektor Larysa Pańkiewicz jest wielkim przyjacielem Polski i Polaków. W dzisiejszych czasach ma to bardzo duże znaczenie. Dodatkowym priorytetem dla nas jest to, że właśnie z tą szkołą Uniwersytet Śląski zawarł umowę o patronacie nad zajęciami fakultatywnymi z języka polskiego jako obcego.

Poprzez projekt promujemy też Bytom i inicjatywy Koła Śląskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej. W najbliższym czasie zostanie podpisana umowa partnerska pomiędzy Drohobyczem a Bytomiem. Jest to pewnego rodzaju sukces naszych działań.

Czy tegoroczna edycja projektu różni się czymś od poprzednich?

Tym razem nie dostaliśmy dotacji senackich, więc przeprowadzenie projektu było zagrożone. Uczestnicy domagali się jednak kolejnej edycji. Dzieci bardzo czekają na rozpoczęcie Letniej Szkoły. Wyrobił się nawet pewien nawyk uczestnictwa. Proszę sobie wyobrazić, że rodzice dostosowują wakacje swych pociec tak, by mogły odwiedzać nasze zajęcia. Nigdy nie spodziewałam się, że zostaniemy jedną szkolną polską ro-



Legenda o Smoku Wawelskim

Drohobyczu otrzymali: Alicja Brzan-Kłoś, Andrzej Dula, Małgorzata Stanisz, Joanna Bizoń, Zofia Kwiatek.

O szczegółach projektu rozmawiamy z prezes Koła Śląskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej i przedstawicielką Górnośląskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Katowicach ALICJĄ BRZAN-KŁOŚ.

Skąd pomysł na tego rodzaju inicjatywę, właśnie tu?

Edukacja polska na Kresach jest jednym z podstawowych priorytetów działań Stowarzyszenia. Współpraca z Drohobyczem układała się nam bardzo dobrze, zaproponowaliśmy więc uruchomienie projektu na okres wakacyjny. Początkowo skierowany był do dzieci z polskich rodzin, pozabawionych możliwości wyjazdu na lato do Polski. Obecnie przyjmujemy

obowiązkiem jest je przyjąć. Niech ma pozytywne wyobrażenie o nas, o naszym kraju, o tym, co robimy.

Na czym polega praca z dziećmi w ramach projektu?

Jest to typowa szkoła – zajęcia odbywają się w klasach, uczniowie siedzą w ławkach, odrabiają zadania



Zajęcia na otwartym powietrzu

w ławce. Nowoczesne metody polegają na uaktywnieniu dziecka. W erze komputerów uczniowie pracują sami i wspaniale sobie z tym radzą. Nauczyciel pełni rolę raczej doradcą – wspomaga doświadczeniem, nie ogranicza przy wykonaniu zadań, ale pilnuje ich poprawności pod względem formy językowej i wizualnej. Dziecko nie powinno zakuwać materiału od A-Z. Musi natomiast samodzielnie zgromadzić materiały. Nauczyciel je sprawdza, weryfikuje. Uczeń ma prawo do polemizowania z pedagogiem, ale powinien odpowiednio argumentować swoją rację. Dzieci powinny umieć wypowiadać swoje myśli i uczucia. Świat się zmienia, szkolnictwo i metodyka nauczania również powinna się zmieniać.

Udział w projekcie nauczycielek z Ukrainy był bardzo ważny jeszcze z jednego powodu. Nie każde dziecko umie dobrze porozumiewać się w języku polskim, a więc przez pierwsze dni szkoły pracowały jako tłumaczki.



Prace promocyjne polskich województw

dziną. Dzięki gościnności państwa Aleksandry i Ryszarda Dąbrowskich, nauczyciele z Polski zawsze czują się w Drohobyczu jak w rodzinnym domu. Cieszymy się też mocnym wsparciem Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej oddział w Drohobyczu. Chcę szczególnie podziękować rodzicom dzieci i prezesowi Towarzystwa Adamowi Aużeckiemu, dzięki którym projekt został jednak przeprowadzony po raz czwarty.

GWARANT POKOJU W EUROPIE

hr. Agenor Gołuchowski jr.



ARTUR GÓRSKI

W dniu 22 października 1906 r. zakończyła się pewna epoka w dziejach monarchii austro-węgierskiej. Tego dnia odszedł ze stanowiska ministra spraw zagranicznych i domu cesarskiego, po 11 latach kierowania polityką zagraniczną cesarstwa, hr. Agenor Gołuchowski junior, wybitny urzędnik szkoły galicyjsko-austriackiej, osobisty mąż zaufania cesarza Franciszka Józefa, jeden z filarów partii podolskiej.

Był to polityk ostrożny, dyplomata dbający o równowagę europejską. Dążył do utrzymania dobrych stosunków z Berlinem i Petersburgiem. Jak pisze Roman Taborski: „Być może, gdyby nie został on w 1906 r. zdymisjonowany, to monarchia trochę dłużej by przetrwała”. Gołuchowski byłby przeciwny wojnie Austro-Węgier z Rosją, a zatem w swoich kalkulacjach nie brał pod uwagę możliwości odrodzenia państwa polskiego w wyniku wojny między państwami zaborczymi. Był tak lojalny wobec cesarza i naddunajskiej monarchii, że – jak pisał Stanisław Cat-Mackiewicz – „temu dystyngowanemu dyplomacie nawet przez głowę nie przeszło, aby polityką państwa austro-węgierskiego tak kierować, aby mogło to stworzyć okazję do niepodległości Polski”.

Agenor Maria Adam trojga imion Gołuchowski urodził się 25 marca 1849 r. we Lwowie. Był synem hr. Agnora Gołuchowskiego, austriackiego ministra stanu i trzykrotnego namiestnika Galicji. Wychowany w kulcie ojca i twardych rygorach panujących w jego domu, szkołę średnią we Lwowie ukończył celująco. Następnie studiował na Uniwersytecie Lwowskim i Uniwersytecie Wiedeńskim, gdzie uzyskał doktorat praw. Po studiach wstąpił do służby dyplomatycznej w ministerstwie spraw zagranicznych, gdzie wytrwale piął się po szczeblach kariery dyplomatycznej. W latach 1872-1893 pracował m.in. jako sekretarz austro-węgierskiej ambasady w Berlinie oraz radca ambasady w Paryżu. Ożeniony był z księżniczką francuską z domu Murat.

16 maja 1895 r. Gołuchowski został powołany na stanowisko austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych i domu cesarskiego, a zatem został najwyższym rangą ze wszystkich ministrów. Mianowanie ministrem spraw zagranicznych Agenora, tego spokojnego, pełnego taktu człowieka, było wielką niespodzianką dla wszystkich, a myśl tej nominacji przypisywano samemu cesarzowi. Według Waldemara Łazugi, Gołuchowski był świetnie przygotowany do objęcia teki ministra spraw zagranicznych, gdyż „miał gruntowne przygotowanie praktyczne, szerokie znajomości w kołach



Agenor Maria Adam Gołuchowski

dyplomatycznych, nie mówiąc już o niespożytej energii, która go wyróżniała, i świetnej znajomości kilku języków obcych. Osobiście człowiek bardzo podobno odważny, gdy podejmował decyzję, lubił na zimne dmuchać”.

Ministerstwo spraw zagranicznych było ministerium wspólnym, zależnym bezpośrednio od monarchii. Nie podlegało ono fluktuacjom politycznym, które prowadziły do częstych zmian gabinetów. Minister spraw zagranicznych i domu cesarskiego nie tylko odpowiadał za sprawy zagraniczne monarchii, ale także czuwał nad politycznym stanowiskiem panującej dynastii. On wypracowywał decyzje cesarza, a potem je realizował.

Kiedy pan na Skale, majątku położonego nad Zbruczem, obejmował tekę ministra, Austro-Węgry były związane trójprzymierzem, czyli sojuszem obronnym z Prusami i Włochami, mającym chronić te państwa przed ewentualną rosyjską agresją. Już w chwili objęcia urzędu, wiedząc, że Rosjanie obawiają się Polaka na czele tego ministerium, Gołuchowski oświadczył, że zasadniczym celem austriackiej polityki zagranicznej pod jego kierownictwem będzie utrzymanie trójprzymierza, ale także zbudowanie dobrych stosunków z carską Rosją.

Nowy minister szybko umiał rozproszyć w Petersburgu uprzedzenia, jakie mogły istnieć przeciw jego narodowości i nazwisku, i swoją zapowiedź z pierwszych dni urzędowania konsekwentnie realizował w kolejnych latach. W wyniku pertraktacji z nowym rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Michaiłem Murawjowem doprowadził w 1896 r. do ugody austriacko-rosyjskiej w sprawach bałkańskich. Ugoda ta przewidywała m.in. uznanie samodzielności krajów bałkańskich, a także status quo oraz rezygnację z dalszych zdobyczy terytorialnych stron porozumienia. Do poprawienia stosunków Austro-Węgier i Rosji wykorzystał także wizytę cara Mikołaja w Wiedniu,

w sierpniu 1896 r., a następnie towarzyszył cesarzowi Franciszkowi Józefowi w jego podróży do Petersburga, w kwietniu 1897 r. W 1903 r. Gołuchowski odniósł poważny sukces, polegający na uznaniu przez Rosję istnienia narodu albańskiego, co było istotne z punktu widzenia zwalczania panslawizmu, w którym widziano zagrożenie dla naddunajskiej monarchii. „W jego rozumieniu – pisał Heinz Jankowski – Albańczycy stanowili zaporę przed zalaniem Półwyspu Bałkańskiego przez ‘słowiański potop’. Docelowo zakładał on powstanie państwa albańskiego”.

Gołuchowski kontynuował kurs dotychczasowej polityki zagranicznej monarchii, opartej na przyjacielskich stosunkach Wiednia z Berlinem. Jak pisze Taborski, „wytrwale pracował nad zacieśnieniem sojuszu monarchii z Niemcami”. To on towarzyszył cesarzowi w podróży do Berlina i doprowadził do przedłużenia w 1902 r. trójprzymierza.

Nie zawsze jego działania na arenie międzynarodowej uwzględniały polski interes narodowy. Gdy rząd pruski prowadził politykę wymierzoną w tamtejszych Polaków, jego reakcje były bardzo wyważone i ostrożne. Gdy był interpelowany, że tamtejsze władze pod różnymi pretekstami usuwają robotników polskich i czeskich – austriackich poddanych, w czasie obrad Delegacji do spraw Wspólnych w maju 1898 r. miał odpowiedzieć, że w tej kwestii nic nie może uczynić, gdyż „nie chce wkraczać w sprawy wewnętrzne obcego państwa”. Niemniej kanałami dyplomatycznymi starał się złagodzić politykę pruską w zamian za obietnicę korzystnych dla Rzeszy Niemieckiej porozumień gospodarczych.

Zazwyczaj krytyczny Kazimierz Chłędowski tak pisał w swoich *Pamiętnikach*: „Po sukcesach Gołuchowskiego w Petersburgu, po wizycie w Berlinie i po kilkakrotnych wystąpieniach jego w delegacjach węgierskich, Gołuchowski zyskał sobie bardzo dobre

W historii c.k. Galicji niepoślednią rolę odgrywali Podolacy – konserwatywne stronnictwo polityczne ziemian Galicji Wschodniej lat 1867–1914. W poprzednich numerach Kuriera Galicyjskiego przedstawiliśmy historię tego ugrupowania. Poniżej kontynuujemy cykl artykułów poświęconych biografii jego najwybitniejszych przedstawicieli. Zapraszamy do lektury!

i silne stanowisko; cesarz go lubił, Węgrzy byli z niego zadowoleni, a Niemcy umilkli. Umiał on z wielkim taktem zachować swój polski, narodowy charakter, nie unikał Polaków, żył zawsze bardzo blisko z dawnymi przyjaciółmi i wychowywał synów po polsku, pomimo że narodowość matki i pobyt w Wiedniu zupełnie tego nie ułatwiał”.

Prezydenci austriackich gabinetów przeważnie nie lubili Gołuchowskiego, gdyż bardziej uważał się za człowieka cesarza niż członka rządu. Mieli mniej lub bardziej ukryte do niego urazy, zarzucając mu, że się miesza do ich polityki, w tym do spraw wewnętrznych monarchii. A gdy któryś z szefów rządu działał wbrew jego wyobrażeniu i – jak mniemał – na szkodę polityki austro-węgierskiej, potrafił doprowadzić do jego upadku. Tak się stało choćby z premierem Franzem Thunem, który miał inne podejście do współpracy z Węgrami, niż minister spraw zagranicznych. Dlatego też gabinet Thuna – wspominał Leon Biliński – hr. Gołuchowski „skazał na śmierć” i tak długo przekonywał cesarza, że ten wreszcie w 1899 r. skłonił niemieckiego premiera do dymisji. „Ja się temu zupełnie nie dziwię, że minister spraw zagranicznych i cesarskiego domu przyczyniał się może czasami do upadku gabinetów, które z tendencjami jego polityki zagranicznej nie były w zgodzie, albo starał się o utworzenie ministerstw, które mu w tej mierze odpowiadały” – stwierdził Chłędowski.

Jednak w końcu intryga przewróciła także samego Gołuchowskiego. Jego przeciwnicy wykorzystali fakt znacznego spadku eksportu produktów austro-węgierskich na rynek

serbski i generalne osłabienie wpływów politycznych i gospodarczych monarchii na Półwyspie Bałkańskim. W parlamencie budapeszteńskim zostało zgłoszone wotum nieufności wobec wspólnego ministra spraw zagranicznych. Co prawda, w głosowaniu zostało oddalone, lecz honorowy Gołuchowski, dla uniknięcia dalszych ataków, jakie szykowano na niego w austriackiej Radzie Państwa, w dniu 22 października 1906 r. podał się do dymisji, którą cesarz przyjął.

W 1907 r. za zasługi dla monarchii Franciszek Józef powołał go do Izby Panów, gdzie został przewodniczącym grupy polskiej, który konsekwentnie stał na straży zasad konserwatywnych. W czasie wojny światowej stanął na czele komisji politycznej Koła Polskiego, biorąc udział w pracach, które miały doprowadzić do wyodrębnienia Galicji i utworzenia monarchii trialistycznej. Jak wiadomo, projekt ten nigdy nie został urzeczywistniony. Po wojnie Gołuchowski wycofał się z życia politycznego.

Hrabia Agenor Gołuchowski jr. zmarł we Lwowie 28 marca 1921 r. Warto w tym miejscu przytoczyć opinię, którą o Gołuchowskim wyraził wybitny współczesny austriacki prawnik i dyplomata Stefan Verosta, pierwszy po II wojnie światowej, w latach 1956-1961, ambasador Austrii w Polsce. W swojej książce pisał on o Gołuchowskim z wielkim uznaniem, uważając go za „najlepszego ministra spraw zagranicznych, jakiego cesarz Franciszek Józef I kiedykolwiek posiadał”. Jeśli prawdziwa jest to opinia, możemy być dumni z tego Podolaka, który posiadał szerokie, europejskie horyzonty.

ZAPRASZAMY DO PRACY W POLSCE

Czterogwiazdkowy hotel „Prezydent” Medical SPA & Wellness w miejscowości Krynica Zdrój zaprasza do pracy z Ukrainy: kucharzy z doświadczeniem zawodowym i pokojówki.

Gwarantujemy wysokie pensje i zakwaterowanie.

CV prosimy przysyłać na adres mailowy: hotelprezydent.krynica@gmail.com

Nasz adres: ul. Nowotarskiego 3, 33-380 Krynica Zdrój, Polska

Tel: +48 184736500

Запрошуємо на роботу в Польщу

Чотирихви́рковий готель „Президент” Medical SPA & Wellness у курортній місцевості Кри́ниця Здруй запрошує на роботу з України: досвідчених кухарів та покоївок.

Гарантуємо високооплачувану роботу, забезпечуємо житлом.

Резюме просимо надсилати на е-майл адресу:

hotelprezydent.krynica@gmail.com

Наша адреса: вул. Новотарського 3, 33-380 Кри́ниця Здруй, Польща

Тел: +48 184736500

Работа в Польше

Четырехзвездочная гостиница „Президент” Medical SPA & Wellness, Крыница Здруй, примет на работу опытных поваров, помощников повара, а также горничных из Украины. Гарантируем высокую зарплату, а также предоставим жилье.

Резюме просьба присылать на адрес электронной почты:

hotelprezydent.krynica@gmail.com

Наш адрес: ул. Новотарского 3, 33-380 Крыница Здруй, Польша

Телефон: +48 18473 65 00

JURIJ SMIRNOW tekst
DANUTA GRESZCZUK
zdjęcia oraz reprodukcja
GEORGA BORYSOWSKIEGO

Znany lwowski artysta-fotografik Georg Borysowski już od kilku lat na stałe mieszka w USA, w Chicago. Jednak wciąż ciągnie go do Lwowa, do jego „małej Ojczyzny”, do świata dzieciństwa, młodości, pierwszej miłości... Nic też dziwnego, że cały świat odbiera, porównując ze Lwowem.

A świat ten nasz artysta podbił swoją intensywną pracą, swoim talentem, swoim wyczuciem piękna. Ażby nie być rzemieślnikiem, lecz artystą, trzeba umieć widzieć rzeczy inaczej niż inni, trzeba złapać moment, czas, oświetlenie, trzeba mieć twórcze podejście do rzeczy niby zwykłych, prostych, codziennych. Tego nie można się nauczyć, z tym trzeba się urodzić. A co do „American dream” – amerykańskiego marzenia, to każdy ma swoje.

Myślę, że swoją wystawą w galerii Wasyla Pyłypiuca Georg Borysowski chciał nie tyle przedstawić widzowi swoje marzenia czy oczekiwania od Ameryki, ile zaprezentować to, czym żyją Amerykanie, jaki jest ich prawdziwy „dream”. Powszechnie uważa się, że „American dream” – to gonitwa za sukcesem, pieniędzmi, sławą. W swoich fotografiach Georg Borysowski przedstawia to inaczej, raczej bardziej sentymentalnie, bardziej ludzko. Taka jest też dusza polska i nie ma tu nic dziwnego, że lwowski Polak odbiera Amerykę inaczej niż Anglik, Japończyk czy Chińczyk... Pamiętamy też, że Borysowski jako artysta-fotografik wyrósł we Lwowie, w polskim świecie, współpracował z lwowską polską prasą. Jako artysta brał udział w 200 międzynarodowych wystawach, w 41 państwach Jego dorobek twórczy – to tysiące zdjęć, 63 wystawy personalne. Część z nich odbyła się we Lwowie. Pisał też o nich Kurier Galicyjski. Borysowski pracuje w technice czarno-białej, odbitki robi ręcznie. Jest w tym coś z pracy średniowiecznych alchemików i czarodziejów. Wyniki swoich czarów mistrz przedstawił po raz kolejny we Lwowie.

Wystawa była zorganizowana dzięki polskiej Fundacji „Terra Humana”, która wspiera działalność kulturową, naukową, wydawniczą i wystawową Polaków i organizacji polskich na Wschodzie. W sprawach organizacyjnych Georgowi Borysowskiemu pomagał jego dawny kolega Wasyl Pyłypiuć, w galerii którego odbyła się cała impreza. Na otwarciu wystawy przyszli jego koledzy, znajomi, koneserzy sztuki fotograficznej, a także przedstawiciele prasy polskiej. Obecny był konsul Marcin Zieniewicz z Konsulatu Generalnego RP we Lwowie.

W przytulnych salach galerii zobaczyliśmy prace artysty, nowe i stare, amerykańskie i lwowskie. Można było porównać, spróbować odnaleźć jego życiowe, twórcze i artystyczne credo, zobaczyć czy w realiach amerykańskich zmienił się jego sposób postrzegania piękna, filozofia jego twórczości. Na wystawie, wśród starych prac, autor pokazał kilka zdjęć z cyklu „Wierzby”, widoki Karpat, stare cmentarze. Mnie osobiście, lwowski okres jego twórczości kojarzy się z nostalgią po dawnych czasach, zainteresowaniem filozofią „starości” (od starych lwowskich zaułków, przez stare drzewa, które niedługo będą wykarczowane, do pastarach krzyży na zaniedbanych cmentarzach). Za-

„AMERICAN DREAM” GEORGA BORYSOWSKIEGO



Georg Borysowski

interesowanie dawnymi, przedwojennymi czasami podkreśla też technika wykonania tych czarno-białych zdjęć. Wydaje się, że Borysowski cały czas stawia przed sobą pytanie – jakim był świat, jakim był Lwów w czasach, kiedy tamte starszaki były młodymi dziewczętami, kiedy sadzono stare dziś wierzby, a nieznaną artysta ludowy rzeźbił tamte krzyże i figurę Matki Boskiej? Wszystko zmieniło się, przeminęło z wiatrem, ale coś jednak zostało. To coś niepokoi duszę artysty. Dlatego szuka on niezwykłego oświetlenia, fotografuje podczas mgły, wczesnym rankiem lub podczas burzy.

Cykl amerykańskich zdjęć jest nieco inny. Artysta pragnie uchwycić niezwykły, nowy dla niego świat, innych ludzi z inną mentalnością, innymi wartościami życiowymi. Zadziwia go wiele spraw i obyczajów, na pewno dla Ameryki zwykłych i codziennych, ale dla przybysza z Europy egzotycznych. Chce zrozumieć, na jakim fundamencie został zbudowany ten amerykański świat i na czym polega amerykańskie marzenie? Czy są tu wieczne, ogólnoludzkie wartości? W poszukiwaniu odpowiedzi na takie pytania Bory-

sowski jest artystą, który odkrywa dla siebie i dla widzów współczesną Amerykę. Ta Ameryka ma bardzo dużo twarzy, ale wyraźnie widać, że autor nie zgubił się wśród nich i umie ostrym okiem każde wydarzenie ocenić i w odpowiedni moment utrwalić na zdjęciu. Nie jest to żadna etnografia, lecz filozofia i poszukiwanie swego miejsca w tak niezwykłym, a nawet obcym, świecie. Z mistrzem chodzimy po salach, oglądamy zdjęcia, słuchamy jego komentarzy, opowieści o jego poglądach na sztukę, na życie.

„W cyklu *American dream* zrobiłem ponad 200 zdjęć, na wystawie są tylko niektóre, wybrane. Na przykład, *Spotkanie pokoleń*, zdjęcie z muzeum. Oto budowa, ale amerykańska, inne niż u nas technologie, nie ma żadnego wapna, brudu, inaczej ubrani są nawet robotnicy. Amerykańskie przedszkolaki na spacerze. Pierwsza wychowawczyni przywiązała dzieci do długiego sznura i w ten sposób kontroluje ich miejsce wśród ludzi oraz na przejściu przez ulicę. A to już ulica w Chicago, ruch, kawkada aut, tempo życia. Chicago – ogromne miasto, inny styl życia



– ludzie są nastawieni na pracę. Dostosować się do tego tempa, znaleźć siebie w moim wieku jest już bardzo ciężko. Bariera nie tyle językowa, angielski opanowałem, ile psychologiczna, mentalnościowa. W Ameryce nie ma zawodowych twórczych organizacji fotografików, tylko związki zawodowe. Co do fotografików, to dzisiaj, kiedy fotografuje każdy, liczą się tylko artyści. Tych prawdziwych jest naprawdę mało. Ale to tak było zawsze, w każdym mieście i kraju.

Zdjęcia zamawiają prywatne i państwowe galerie.

Dalej podziwiamy ruch na amerykańskich ulicach, niektóre mają po sześć i więcej pasów. Ogrom gmachów – starych XIX wiecznych i nowych.

A oto święto Irlandczyków – Dzień św. Patryka. Większość tam obecnych to emeryci. Przyjeżdżają na Cadillacach, nie na koniach. Szykują się do parady. Narodowe flagi i ubiory. A to już święto kowbojskie. To liceum – parada. U młodzieży kształtuje się dostojność, nawet buńczuczność i pycha, ale nie ma takich lizusów jak u nas.

Nie mam czasu na podróże po Ameryce lub innych krajach. Pracuję cały czas. A oto policja konna – robi wielkie wrażenie – i ludzie, i konie. Chicago przed Nowym Rokiem – miliony lampek, całe miasto się świeci. To miasto całkiem do Lwowa nie podobne. Może dlatego ciągnie mnie stale do Lwowa. Mam możliwość jednak przyjechać tylko raz do roku. W 2011 roku odbyły się we Lwowie trzy moje wystawy, lecz dwie z nich bez mojej obecności. W moim rodzinnym mieście zostało wielu serdecznych przyjaciół, kolegów. W Ameryce jest całkiem inaczej. Na przyjaciół po prostu nie ma czasu. Najważniejsze moje tematy są jednak tutaj, we Lwowie, mojej małej Ojczyźnie. Dają sobie radę w Ameryce, ale tutaj zostało moje serce. Mam za oceanem wolność twórczą. Moje dzieła sprzedają się tam dobrze. Kon-

takty ze mną nawiązały wielkie firmy, zajmujące się ozdabianiem wnętrz. Twórcze plany podrzuca samo życie. Mam plany tematyczne, robię dużo zdjęć. Rozkładam zrobione odbitki do teczek według tematu. Później wybieram najbardziej wartościowe. W niektórych teczkach leży po 200 zdjęć. Czekają na swój czas. Pracuję od razu nad kilkoma tematami. Fotografuję rękami i nogami. Trzeba dużo się nachodzić, mieć dobre zdrowie. Nie wszystko wychodzi, ale trzeba umieć z tego wybrać. Często wracam do zdjęć, które najpierw odrzuciłem. Ale gdy dochodzą inne w podobnym temacie, wszystko układa się w ciekawą serię”.

Z niecierpliwością czekamy na nowe wystawy mistrza. Jego pomysły są nie tylko oryginalne, ale też bardzo głębokie. Wszystko to organicznie jest dopasowane do wysokiej techniki tworzenia czarno-białych odbitek. Artysta wkłada w każde zdjęcie nie tylko cząstkę swojego serca, ale znaczny wysiłek fizyczny: chodzi, wyszukuje, wstaje w nocy, aby zrobić ciekawe ujęcie o czwartej nad ranem. Lub odwrotnie – nie śpi do późna, aby uchwycić moment o dwunastej w nocy. Bo zdjęcia w tym samym miejscu w dobrą, słoneczną pogodę, o godzinie czternastej w pełnym słońcu, to tylko pamiątka dla turysty. A zdjęcie mistrza – to już prawdziwa sztuka. Właśnie spotkanie z taką sztuką po raz kolejny podarował nam Georg Borysowski. Z niecierpliwością czekamy na kolejne spotkania. Można mieć wystawy po całym świecie, ale zawsze chce się pokazać swój dorobek w rodzinnym mieście.



Amykański pejzaż Georga Borysowskiego

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
opracowanie
zdjęcia archiwum

DROGA NA KSIĘŻYC – APOLLO 11

42 lata temu, 21 lipca 1969 roku, człowiek zrobił mały krok, ale ludzkość – wielki. Po raz pierwszy stopa ludzka stanęła na innym niż Ziemia ciele niebieskim – Księżycu. Był to udany element wielkiego planu podboju kosmosu przez USA. Program zdobycia Księżycza przez statki załogowe nosił nazwę „Apollo”.

W 1961 roku prezydent John Kennedy ogłosił, że Amerykanie wylądują na Księżycu przed upływem dekady. Naukowcy musieli zbudować rakietę na tyle silną, by doleciała do Księżycza, oraz statek kosmiczny zdolny odbyć tę podróż w obie strony. Pomocne okazały się doświadczenia twórcy rakiety V2, Wernhera von Brauna. Zbudowano gigantyczną raketę Saturn V, która miała wynieść statki kosmiczne Apollo. Rakietę wraz z modulem załogowym mierzyła 111 metrów wysokości, a całkowita masa startowa wynosiła około 3 000 ton.

Start nastąpił w dniu 16 lipca 1969 roku z Centrum Lotów Kosmicznych na Przylądku Canaveral. Początek lotu Apollo 11 spędził na orbicie okołoziemskiej, następnie udał się w trasę liczącą 384 400 km. Ponieważ lądowisko znajdowało się pod modulem załogowym, wykonano operację polegającą na tymczasowym odłączeniu modułu księżycowego, obro-



Żałoga statku: Neil Armstrong – dowódca (od lewej), Michael Collins – pilot modułu załogowego Edwin Aldrin – pilot modułu księżycowego (lądownika),

cymi słowami: „W tym miejscu ludzie z planety Ziemia po raz pierwszy postawili stopę na Księżycu. Lipiec 1969. Przybywamy w pokoju dla dobra całej ludzkości”. Po 21 godzinach spędzonych na Księżycu astronauta weszli do lądownika i powrócili do modułu załogowego, gdzie czekał na nich Michael Collins. Droga powrotna minęła bez przeszkód. 24 lipca 1969 r. statek Apollo 11 osiadł na Oceanie Spokojnym i obecnie jest eksponatem w National Air and Space Museum w Waszyngtonie.

Po misji Apollo 11 na Księżycu lądowało jeszcze pięć statków z za-



Ślad buta Buzza Edwina

wodzenia i przeprowadzili się do modułu księżycowego z zamiarem powrotu do modułu dowodzenia na kilka godzin przed lądowaniem. Przed opuszczeniem modułu dowodzenia zostały wyłączone wszystkie urządzenia elektryczne, aby zachować energię elektryczną, niezbędną podczas wchodzenia w atmosferę i podczas wodowania. Moduł księżycowy był przeznaczony do dłuższego niż kilka godzin przebywania, ale zaprojektowany był dla dwóch astronautów. Trzeci astronauta John L. „Jack” Swigert z braku miejsca musiał pozostać w module dowodzenia, w którym utrzymywano do czasu lądowania temperaturę ok 0° C. Przechodził on do cieplejszego kanału łączącego oba moduły

Pomimo trudności, spowodowanych niedoborem energii elektrycznej i wynikających z tego licznych konsekwencji, pomimo kłopotów związanych z usuwaniem dwutlenku węgla i braku wody pitnej, 17 kwietnia załoga szczęśliwie powróciła na Ziemię.

Niewykorzystany komunikat o śmierci astronautów

Władze Stanów Zjednoczonych podczas opracowywania programu Apollo były przygotowane na wszelkie sytuacje, które mogły zaistnieć. W Archiwach Narodowych w Waszyngtonie znajduje się kopia notatki z 18 czerwca 1969 r., zatytułowanej „Na wypadek katastrofy na Księżycu”. Notatka zawiera tekst orędzia, które prezydent Richard Nixon miał wygłosić, gdyby astronauta nie byli w stanie powrócić na Ziemię. Brzmi ona tak:

„Zrządzeniem losu ludzie, którzy wyruszyli na Księżyc, by w pokoju go badać, pozostaną na nim, by

spocząć w pokoju. Ci dzielni ludzie, Neil Armstrong i Edwin Aldrin, wiedzą, że nie ma już dla nich nadziei na ratunek. Ale wiedzą też, że z ich ofiary płynie nadzieja dla całej ludzkości. Ci dwaj ludzie składają swoje życie na drodze do osiągnięcia najszczytniejszego celu ludzkości: poszukiwania prawdy i wiedzy. Będą oplakiwani przez rodziny i przyjaciół; będą oplakiwani przez swój naród; będą oplakiwani przez wszystkich ludzi ich świata; będą oplakiwani przez Matkę Ziemię, która odważyła się wysłać dwóch swoich synów w podróż w nieznanne.

Ich misja sprawiła, że wszyscy ludzie tego świata poczuli się jednością; ich ofiara umocni braterstwo ludzkości. Starożytni spoglądali w gwiazdy i widzieli w ich konstelacjach swoich bohaterów. Dziś czynimy to samo, lecz nasi bohaterowie to dzielni ludzie z krwi i kości.

Inni pójdą w ich ślady i odnajdą drogę do domu. Poszukiwania ludzkości nie zostaną przerwane. Ale ci ludzie byli pierwszymi i pozostaną pierwszymi w naszych sercach.

Bo każdy człowiek, który w przyszłości zwróci nocą wzrok na Księżyc, będzie wiedział, że jest zakątek innego świata, który na zawsze pozostanie świadectwem ludzkości”.

Po orędziu łączność radiowa z uwięzionymi na Księżycu astronautami miała zostać przerwana, a kapłan miał, w nawiązaniu do cere-

tujących, jak i odpierających zarzuty zwolenników tej teorii spiskowej. Temu zagadnieniu poświęcona jest również w całości jedna ze stron internetowych agencji NASA.

Polacy biorący udział w przygotowaniach do misji

Polska może poszczycić się tym, że i Polacy przyczynili się do realizacji programu zdobycia Księżycza. Niestety z powodów politycznych byli obywatelami USA. Werner Ryszard Kirchner – były pilot myśliwców, przedwojenny absolwent szkoły w Dęblinie, opracował paliwo do lądownika księżycowego. Mieczysław Bekker – inżynier i konstruktor, absolwent Politechniki Warszawskiej, był naczelnym konstruktorem łazika księżycowego, który mieli do dyspozycji astronauta z Apollo 15.

Księżyc na Islandii

Przygotowania do programu Apollo włączyły cały szereg treningów, badań sprawności astronautów i szkoleń na makietach. Żeby przygotować astronautów do chodzenia po zapyłonym i pełnym odłamków skalnych gruncie, wybrano szkolenie na Islandii na terenach pokrytych pyłem i odłamkami wulkanicznymi. W głębokiej tajemnicy na odległym od osad ludzkich terenie założono obóz, w którym astronauta spędzili kilka tygodni. Ćwiczyli sta-



Zdjęcie Buzza Aldrina na Księżycu

cie reszty statku o 180° i ponownym przyłączeniu lądownika, który teraz umieszczony był z przodu. Po trzech dniach Apollo 11 wszedł na orbitę Księżycza. Armstrong i Aldrin przeszli do modułu księżycowego, który został odłączony i rozpoczął historyczne lądowanie. Astronauta wylądowali na Księżycu 20 lipca 1969 roku. Wkrótce Neil Armstrong przekazał Ziemi radosną wiadomość – „Orzeł wylądował”.

Pobyt na powierzchni Księżycza

21 lipca 1969, o godz. 2:56 czasu uniwersalnego, Armstrong zszedł po drabince i postawił stopę na pokrytej pyłem powierzchni Srebrnego Globu, wygłosił słowa, które przeszły do historii: „To jest mały krok człowieka, ale wielki krok ludzkości”. Następnie wyszedł Aldrin i obaj astronauta przeprowadzili badania naukowe, ustawili amerykańską flagę i zebrali ok. 20 kilogramów skał księżycowych. Umieścili też tabliczkę z następują-

logą ludzką. Jednak najbardziej dramatyczną była trzecia z kolei misja – Apolla 13 (niech ktoś powie, że 13 nie jest liczbą feralną).

Start misji nastąpił 11 kwietnia, 1970 o godzinie 19:13 UTC. Po dwóch dniach na trasie do księżycza, na skutek uszkodzenia, które powstało jeszcze na Ziemi, w module serwisowym nastąpiła eksplozja, która spowodowała stratę dwóch zbiorników z tlenem. Pozbawiło to moduł dowodzenia, energii elektrycznej na trasie do Księżycza i z powrotem do granicy atmosfery Ziemi.

Moduł dowodzenia był, między innymi, elektrownią (ogniwa paliwowe). Indywidualne bateryjne zasilanie elektryczne modułu dowodzenia było zaplanowane tylko na pracę przez kilka ostatnich godzin podczas wchodzenia do atmosfery ziemskiej, po odrzuceniu modułu serwisowego statku.

Po eksplozji zbiornika z ciekłym tlenem astronauta James A. Lovell i Fred W. Haise opuścili moduł do-



Masyw wulkaniczny Dyngjufjöll w Islandii

moniału morskich pogrzebów, powierzyć dusze umierających astronautów „Najgłębszej z głębi”.

Teorie spiskowe

Istnieje szereg teorii spiskowych, twierdzących, że lądowania amerykańskich wypraw programu Apollo na Księżycu w latach 1969–1972 były mistyfikacją. Zwolennicy tego poglądu uważają, że amerykańscy astronauta nie wylądowali na Księżycu, a agencja kosmiczna NASA sfalszowała zdjęcia, próbki skał księżycowych i inne dowody tego wydarzenia.

Według wyników sondażu opinii publicznej przeprowadzonym w Stanach Zjednoczonych w 1999 roku przez Instytut Gallupa, na pytanie, czy wierzą, że lądowanie na Księżycu zostało sfingowane, twierdząco odpowiedziało 6% ankietowanych.

W 2001 roku stacja telewizyjna FOX poświęciła tym teoriom spiskowym specjalny godzinny program zatytułowany „Teoria spiskowa: Czy naprawdę wylądowaliśmy na Księżycu?”. Istnieje szereg stron internetowych i publikacji zarówno prezen-

panie po Księżycu w kosmicznych skafandrach. Uznano, że ten krajobraz oraz ukształtowanie terenu najbardziej przypomina ten na naszym naturalnym satelicie. Mało kto jednak wie, gdzie dokładnie dokonano tych eksperymentów. Otóż w wyniku wybuchu wulkanu Askja w północno-wschodniej części wyspy ogromna ilość lawy i popiołu ukształtowała masyw wulkaniczny Dyngjufjöll. Wtedy też powstał krater Viti o średnicy 100 m, napelniony wodą o temperaturze 40–50 °C (niestety opary siarczane uniemożliwiają kąpiel). Po wybuchu, z czasem kotlina napelniła się wodą i tak powstało jezioro Öskjuvatn, najgłębsze w Islandii – 217 m! W 1961 r. miał miejsce ostatni wybuch wulkanu Askja, który wyrzucił popiół na wysokość 8 tys. m. Ukształtowanie kotliny spowodowało, że właśnie to miejsce wybrano do tej wyjątkowej misji.

Ostatnia misja – Apolla 17 odbyła się w grudniu 1972 r. Od tamtego czasu człowiek już nie lądował na „srebrnym globie”.

TADEUSZ ZUBIŃSKI

O Czarnej rocznicy, organizacyjnym święcie i pożytkach z łowów na komary pod karmino-biało-karminowym sztandarem.

Najpierw nieco znowu „pokasandrycę”
Prognozy naukowców przewidują, że rok 2016 będzie dla rozwoju i perspektyw standardu życia obywateli na Łotwie decydujący. Jeśli do tego roku nie ustabilizuje się przyrost dochodu narodowego na poziomie 5,5% rocznie, to ambitny i konieczny plan osiągnięcia przez Łotwę w roku 2020 stabilnego (i to z tendencją wzrostową) średniego poziomu życia mieszkańców, czyli powyżej 50 punktów szacunkowych – w skali całej Unii Europejskiej, spali na panewce. Marna pociecha, że na szczęście historia nie odnotowała dotąd, aby jakieś prognozy mężów uczonych w piśmie się sprawdziły.

Otóż w roku minionym Łotwa, według badań Eurostatu, osiągnęła produkt narodowy w porównaniu do poziomu średnio unijnoeuropejskiego, przyjętego jako 100 – w wysokości 52%, Litwa 58%, zaś dynamiczna gospodarczo Estonia ze swoim euro i nowoczesnymi technologiami informatycznymi już poszybowała na – 65%.

Coś z politycznego magla, owszem taka nader kąśliwa złośliwość, bo teraz już można. O byłej głowie państwa Valdisis Zatlērsie krąży takie smaczne powiedzonko, że jest jak banan smaczny, ale bardzo szybko się psuje.

17 czerwca – to czarna data w historii Łotwy. Tego dnia 1940 r. rząd wolnej Łotwy z ciężkim sercem musiał przyjąć drakońskie warunki sowieckiego agresora i rozpoczął się proces trwający ponad 50 lat okupacji kraju przez ZSRR. Wieczorem tego dnia prezydent Łotwy Kārlis Ulmanis w dramatycznym przemówieniu radiowym do narodu, powiadał, iż rząd łotewski po trzygodzinnym posiedzeniu zaakceptował sowieckie ultimatum z dnia poprzedniego i tym samym wojska sowieckie rozpoczną

LIGO I KOMARY



Chóralne śpiewy ludowe

wkraczanie na terytorium Łotwy. W tej historycznej mowie znalazły się pamiętne słowa – jednocześnie proroczy testament polityczny i program na przyszłość dla narodu tego największego Łotysza wszystkich czasów: es palikšu savā vietā, jūs palieciēt savās – ja pozostanę na swoim miejscu, wy pozostaniecie u siebie.

Już od godziny piątej rano następnego dnia Armia Czerwona rozpoczęła okupację Łotwy, zajmując strategiczne obiekty w stolicy: lotnisko, radiostację, mosty, główną pocztę, dworce kolejowe, rozpoczęło się blokowanie koszar armii łotewskiej itp. Na wieczną pamiętkę tamtego czarnego dnia, co roku cały naród na Łotwie, a jest to zwykle dzień roboczy, spontanicznie wywiesza flagi narodowe, obciążone kirem.

Ta powszechna i posępna obecność flag z kirem robi niesamowite wrażenie, bo niby toczy się zwyczajne dzisiejsze życie, sklepy są pootwierane, ruch samochodowy jak zwykle, a jednak ulica w ulicę, chutor w chutor: ciągną się szpalery tysięcy karmino-biało-karminowych flag, przyobleczonych w te kruczoczarne bolesne wstęgi jakoś nie dające przejść obojętnie. Jak się uważnie przyjrzeć, to jednak ludzie są zamyśleni, wyciszeni, jednak coś z tamtej aury pogrzebowej unosi się i determinuje, nawet po ponad 70 latach.

Prawem czarnej serii, w niedzielę 18 czerwca popularny łotewski portal Apollo przekazał szokującą wiadomość. Dotyczyła ona badań duńskiego naukowca profesor Stena Stendera, który z ramienia Unii Europejskiej na bieżąco monitorował jakoś produktów spożywczych, dostępnych na rynku wspólnoty pod względem ich szkodliwości dla zdrowia konsumentów. Portal szokował podając, iż produkowane

na Łotwie herbatniki – wafelki Selga są wysoce toksyczne. Jak wykazały jego badania: jedno opakowanie zawiera dawkę pewnej substancji, zbliżonej składem chemicznym do nikotyny, w ilości 12 gramów, co równa się wypaleniu 12 papierosów jeden po drugim. Norma dopuszczalna owej substancji wynosi dziennie mniej niż 5 gramów. Tym samym ten, tak chętnie kupowany na Łotwie wyrób, zajmuje niechlubne 4 miejsce na stupopcyjnej liście najbardziej szkodliwych produktów żywnościowych, znajdujących się legalnie w handlowym obrocie na obszarze Unii Europejskiej.

Już mam zaprzyjaźnionego kota, który mnie używa jako przedłużenia swojej łapki. Za niego albo w jego interesie naciskam guzik dzwonka do właściwych drzwi. Kot mieszka na parterze i jak mnie zobaczy np. powracającego ze sklepu, chyżo biegnie pod swoje drzwi i czeka, aż zadzwonię, ażeby go gospodarze wpuścili. Jaka cwana bestyjka, ale to kotka i do tego bardzo urodziwa, schludna.

Trzeba jasno rozgraniczyć dwa łotewskie święta, następujące jedno po drugim: w momencie przesilenia letniego, a mianowicie to pierwsze i ważniejsze: Ligo diena to 23 czerwca, od dnia 24 czerwca czyli Jāņu diena – Jāņi – imienin Jana. Zwykle jest tak, że najpierw pod gołym niebem odbywa się spektakl jakiejś popularnej śpiewogry, która jest wstępem i zachętą do ogólnej zabawy. W nocy pomiędzy tymi świętami dużo i długo się tańczy, przy ogromnych ogniskach, tańczy mer miasta, deputowany do parlamentu, dziennikarz, pan wojskowy, bizneswoman, pastor, koszykarka, babcia i wnuczka, słowem – bawi się cały naród. Bo Łotysze to naród ukształtowany na krzepkim chłopskim korzeniu,

unitarny i bardzo spójny emocjonalnie. Bardzo widowiskowy jest taniec w trójce – dwie tancerki i on jeden. Ale tancerz musi być chłopem na schwał. Po północy rozpoczynają się tańce kołowe wieloosobowe, bardzo podobne do tych efektownych irlandzkich. Wcześniej przy ognisku kulminacją święta jest chóralne odśpiewanie pradawnej wielozwrotkowej Līgodziesmy – pieśni obrzędowej z zawodzącym refrenem Līgo Līgo, w archaicznej łotewszczyźnie, którą rozpoczyna się równo wraz z zachodem słońca.

Bardziej z nocą świętojańską wiąże się tradycyjna potrawa – speka rausi, czyli pierożki nadziewane najczęściej tłustym boczkiem lub zawieszonym twarogiem. Inna, bardziej regionalna, ściśle lokalna to krwista kielbasa spożywana w jednej okolicy z Łatgalii. Jest to potrawa przywieziona przez repatriantów łotewskich, którzy powrócili w strony swych przodków z Syberii w latach 20. XX wieku. Podobno ma chińskie korzenie, jest lepka, jej smak jest rze-

gólnie wzmacniające serce. Cechuje się twórczą mocą pobudzania uczuć rodzinnych i przyjacielskich. Pić to līgowe piwo trzeba, bo jak głosi popularny dwuwiersz – nie pije go tylko indyk. Rzeczywiście wówczas posiada ono właściwości lecznicze, zwłaszcza w dzień po święcie Līgo, gdyż pije się je z miodem, masłem i żółtkiem aby zniwelować skutki nękającej wytrwałych, z dnia poprzedniego, śpiewaków uporczywej chrypy. Masowość tego święta jest porażająca. I tak łotewskie media odnotowały, że na największym zgromadzeniu z okazji Līgo pod Rygą zebrało się około 30 tysięcy osób. Oczywiście, takie wydarzenie musi obfitować w skutki uboczne, nawet te najbardziej dziwne.

I tak, 23 czerwca wieczorem Łotysze u siebie pokonali Estończyków w pierwszych europejskich zawodach w łapaniu komarów na czas. Otóż pięcioosobowa pierwsza reprezentacja gospodarzy w czasie regulaminowym – 10 minut złowiła dokładnie 100 egzem-



Finał wodewilu

czywiście zaskakujący i rzeczywiście do farszu dodaje się krwi, – mnie nie smakowała.

Podaje ten najbardziej klasyczny z klasycznych przepisów na ser Janowy – Jāņu siera.

Składniki 1 kg twarogu, 2 litry mleka, 3 jajka, kminek, sól, 100 gramów masła, 150 gramów kwaśnej śmietany. Najpierw mleko podgrzać do 90 stopni, wtedy dosypać rozdrobnionego twarogu, a dalej to już tajemnica. Spróbujcie i co, nie smakuje? Aha, zapomniałem przestrzec, że ingrediencje muszą być oryginalne, a nie żadne tam surrogaty.

Ale najważniejsze jest piwo. Pije się go dużo i zawsze w licznych gronie. Piwo, wypijane podczas święta Līgo, ma mieć właściwości ogólnie oczyszczające organizm, a szcze-

plarzy tego uciążliwego owada, drugim miejscem zadowolili się pierwsza drużyna Estonii z wynikiem 81 sztuk, zaś reprezentacja Finlandii sromotnie skompromitowała się, gdyż mając 8 sztuk komarów na konczie, po 2 minutach wycofała się z zawodów. Organizatorzy tej imprezy ogłosili, że w lipcu tego roku na tym samym polu walki – obrzeżu pewnego lasu – odbędą się pierwsze ogólnoeuropejskie zawody w łapaniu bąków. Łotewscy internauci są do bólu trzeźwi w ocenie swoich władz, identycznie jak nasi. Jeden z nich w komentarzu do aktualnej mało zachęcającej do spacerów prognozy pogody zauważył: Pie šitās valdības labāku laiku nav ko gaidīt! Co się przykłada na: Przy takiej władzy lepszej pogody nie można się spodziewać!

List do redakcji

17 lipca obchodzili swe święto mieszkańcy Kryswic, wioski oddalonej o 3 km od Mościsk, w kierunku drogi na Sambor. Piękne niedzielne popołudnie rozpoczęło się Mszą świętą w intencji mieszkańców: i tych obecnych, i tych zmarłych, którzy kiedyś tu mieszkali, i tych, którzy z prywatnych przyczyn musieli wyjechać. Po Mszy, ks. Witalij błogosławił wiosce, życząc pomyślności i dobrobytu na dalsze lata.

Na wystrojonym placu kościelnym odbył się koncert „Kocham Cię, wiosko moja”, który poprowadzili Marek, Weronika i Eugeniusz Sało. Scenariusz przygotowały Wita Strogan i Danuta Leusz. Prezes Towarzystwa Kultu-

DZIEŃ KRYSWIC



Zespół dziecięcy „Krasnoludki”

ry Polskiej w Kryswicach Danuta Strogan podziękowała gościom za przybycie, a współmieszkańcom – za zaangażowanie w organizację święta

i tworzenie wspólnego dzieła, jakim jest pielęgnowanie miejsca swego urodzenia i swoich korzeni. Konsul RP we Lwowie Jacek Żur podziękował

za zaproszenie i domową atmosferę, którą stworzyli dla gości mieszkańcy Kryswic. Podkreślił też, że polskie towarzystwo w Kryswicach jest dość młode i choć działa niespełna dwa lata, rozwija się w dobrym kierunku, ma przed sobą ogromny potencjał i duże perspektywy.

W świątecznym koncercie wzięły udział wszystkie grupy wiekowe: najmniejsi w zespole „Krasnoludki”, młodzież z Kryswic, zespół kółka gospodyń wiejskich „Kryswianie” oraz ci najstarsi wiekiem, ale najmłodszy duchem – zespół „AleBabki”. Swoisty prezent Kryswicianom zrobili goście z sąsiedniej wioski Czyszki, prezentując swój program muzyczny.

Festyn miał cel charytatywny. Za symboliczną opłatą każdy mógł spróbować pysznych kielbasek, herbatki, a zbierane pieniądze zostały przeznaczone na budowę plebanii, którą z inicjatywy ks. proboszcza Pawła

Antolaka od trzech miesięcy budują mieszkańcy wioski.

Trwający ponad cztery godziny program był wypełniony różnego rodzaju scenkami i skeczami z życia wioski, konkursami, a najważniejsze – dobrą zabawą, której dopisała piękna słoneczna pogoda. Osobnie wyróżnienie należy się wykonawcom piosenek i krótkich scenek m.in. Danucie Strogan, Halinie Dziedzic, Halinie Świątkiewicz, Piotrowi Jurkiewiczowi, Aleksandrowi Matuszowi, Mirosławie Rudej, Marii Sało, Witalijowi Stroganowi, Lilii Matusz i in. Wieczorem wszyscy chętnie przenieśli się do domu ludowego, gdzie jeszcze długo tańczono.

Prezes TKP w Kryswicach Danuta Strogan wyraża szczególne podziękowanie Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska” za dofinansowanie uroczystości.

EUGENIUSZ SAŁO



ELŻBIETA LEWAK

Wsiadłam do autokaru. Ale... zaraz, zaraz! Coś mi tu nie pasuje... Miał to być rejsowy autobus Warszawa-Lwów, a prawie nie ma tu ludzi! Czyżbym się pomyliła?... Z tego całego pilnowania dwóch toreb i walizy, pośpiechu w drodze na dworzec i załadowywania się do taksówki, było to całkiem możliwe. Wolalam więc sprawdzić, czy aby na pewno *do domu* dojadę tym transportem. Rzuciłam się do osoby siedzącej przede mną, ledwie mieszcząc głowę pomiędzy siedzeniami (autobus właśnie ruszył). Okazało się, że siedzi przede mną żwawa starsza pani w okularach, ruda-ruda. „Przepraszam bardzo, ale czy to autobus do Lwowa?” – zapytałam. (Wyobrażam sobie, jak musiało to wyglądać z boku.) Kobieta przytaknęła. Widząc zdziwienie w jej oczach, wyjaśniłam, że boję się jeździć sama, bo mogę (nie daj Boże!) spóźnić się, zgubić, albo – co gorsza – mogę zostać na stacji. „Jedzie pani do Lwowa?” – zagadnęła mnie po chwili ta sama kobieta. Przytaknęłam i dodałam, że jadę do domu. Uśmiechnęła się: „O, a ja jadę dalej, bo aż na Wołyń!... Studiujecie tu pani, w Warszawie?” Filologię polską, edytorstwo. (To dziwne uczucie, gdy starsi i o wiele bardziej doświadczeni ludzie zwracają się do ciebie „pani” lub „pan”... Ech.) „Filologia polska? Ale to pięknie!... Między innymi, kiedyś założyłam polską bibliotekę w Horodnicy”. Moja edytorska dusza drgnęła, aż się wyprostowałam – charytatywność powiązana z książkami??? Nie był to jednak koniec niespodzianek: „A skoro pani jest ze Lwowa, to powiem pani, że właśnie miałam dzisiaj zabrać ze sobą figurę Matki Bożej, by zawieźć ją na Ukrainę... Ale figura okazała się za ciężka. Być może pewien ksiądz ze Lwowa będzie mógł ją przewieźć...”

Gdybym tylko podejrzewała, jaką osobą poznaję. Gdybym tylko wiedziała, że w taki głupi sposób – pytając o to, czy dojadę do Lwowa autokarem, którym i tak już jadę – poznam tak świetną, otwartą osobę, to... sama

SPOTKANIE W AUTOBUSIE

nie wiem. Przede wszystkim nie dałabym tak głupiego pytania.

A kogo poznałam? Panią Teresę. Panią Teresę Garwolewską-Mysłuk – emerytowaną nauczycielkę, która uczyła w swoim życiu wszystkiego! Najczęściej jednak przedmiotów humanistycznych. Jak się okazało, często bywa na Ukrainie i – najkrócej i najpiękniej można to ująć tak, że – wiele działa i pomaga. A jej historia z Kresami zaczęła się tak...

Na początku lat 90. Fundacja Kultury w Warszawie ogłosiła konkurs pod tytułem *Mała Ojczyzna – Tradycja dla Przyszłości*. „Chodziło o to, aby po upadku komunizmu zmobilizować obywateli Rzeczypospolitej do działania na rzecz swoich Małych Ojczyzn, – wyjaśnia pani Teresa. – Ktoś kiedyś powiedział: Państwa powstają i upadają, przesuwają się ich granice, a małe ojczyzny trwają, są ciągle na swoich miejscach. Co ważne, ogłoszenie tego konkursu zbiegło się w czasie ze stuleciem szkoły, którą ukończyłam”. Była to szkoła, która kultywowała tradycje dawnej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, założonej przez hrabiankę Cecylię Plater-Zyberkównę. W szkole tej, co ciekawe, uczyły się przed wojną dziewczęta z całej Rzeczypospolitej, w tym z terenów, należących dziś do Litwy i Ukrainy. Wówczas hasłem przewodnim szkoły było: *Poprzez odrodzoną kobietę, odrodzona rodzina, odrodzone społeczeństwo*. W takim więc duchu wychowywane były wówczas uczennice.

Pani Teresa kończyła już szkołę powojenną i upaństwowioną. Jednakże duch szkoły pozostał. Dlatego też przystąpiła do opracowania programu konkursowego (który został nagrodzony przez Fundację Kultury w Warszawie i który pani Teresa realizuje do dnia dzisiejszego). Program miał na celu podniesienie z ruin przede wszystkim pięknej architektury dawnej Szkoły, ale i kultywowanie jej duchowych wartości. Komunistyczne rządy dopuściły do zdewastowania pałacowego budynku, w którym znajdowała się dawna Szkoła. „Właśnie ten dom był mi szczególnie bliski – mówi pani Teresa, – mieszkałam w nim w czasach szkolnych, wiązało się z nim wiele młodzieńczych wspomnień... Dlatego opuściłam piękny Konstancin, w którym mieszkałam, i przeniosłam się do Chyliczek, próbując pomóc starszym koleżankom, nale-

żącym do Towarzystwa Oświatowego (które jest właścicielem majątku Szkoły) w zabezpieczeniu go przed dalszą dewastacją”. Podnoszenie z ruin dawnej Szkoły stało się wyzwaniem inicjatyw społecznych – małymi kroczkami. Z czasem powstała w Chyliczkach szkoła katolicka, ale już nie przez panią Teresę organizowana. Co bardzo ważne – często ludzie robili tam coś za darmo, np. elektrycy. Za darmo kładziono dach, podłogę i wszystkie inne niezbędne rzeczy. Zaczęto wówczas wydawać miesięcznik „Chyliczanka” – łącznik pomiędzy szkołą a absolwentami, którego celem była pomoc szkole w katolickim wychowaniu młodzieży.

Pani Teresa nie poprzestała jednak na tym. „Zajęłam się pracą kulturalno-oświatową w środowisku szkoły chylickowskiej, organizując różnego rodzaju imprezy. W pierwszej kolejności zorganizowałam świetlicę dla dzieci chylickowskich”. W ramach jej działalności organizowane były konkursy malarskie, wernisaże, przedstawienia, inscenizacje bajek, spotkania różnych grup wiekowych i zawodowych, zabawy noworoczne, karnawałowe, spotkania wigilijne!... Dzięki nim Urząd Gminy w Piasecznie pokrywał koszty związane z oświetleniem i ogrzewaniem budynku dawnej Szkoły.

Pierwszą grupą, którą pani Teresa zaprosiła do Polski, była młodzież z Wilna i Grodna. Z ową grupą poszła na pieszą pielgrzymkę do Częstochowy, pokazując im po drodze Polskę. Następnie opiekowała się dwunastoosobową grupą młodzieży polskiego pochodzenia z Ukrainy. Grupa ta w Piasecznie uczyła się w studium ekonomicznym, a następnie na wyższych uczelniach w Warszawie. „Do dnia dzisiejszego mam z nimi kontakt” – mówi.

Pani Teresa organizowała również pobyty wakacyjno-feryjne młodzieży z Litwy i Białorusi, zapoznając ich ze stolicą Polski – Warszawą – i okolicą. Sama też zaczęła wyjeżdżać do tych krajów i zobaczyła wtedy potrzebę organizowania transportów charytatywnych dla żyjącej tam ludności pochodzenia polskiego. „Były to transporty dla niewielkich miejscowości, np. Mejszagola na Litwie czy Mościska na Ukrainie. Transporty na ogół zawierały leki, żywność, odzież, pomoce naukowe dla szkół, książki i czasopisma polskie”.

Następnym krokiem pani Teresy było zorganizowanie polskiej biblioteki w Horodnicy (rejon Nowogród Wołyński) i jej filii we wsi Lipino, z którą wiąże się bardzo ciekawe wspomnienie: „Kiedyś, na Nowy Rok 1999, zostałam zaproszona przez panią Ludwikę Niżyńską – prezes Stowarzyszenia Rzymskokatolickiego „Polonia” w Kijowie – do jej rodzinnej miejscowości, na wieś do Lipino, gdzie pojechałam. I ku mojemu ogromnemu zdziwieniu spostrzegłam, że żyją tam bardzo wierzący ludzie, na ogół katolicy, ale we wsi nie ma żadnego emblematu ich wiary, gdyż bolszewicy wszystkie zlikwidowali”. Warto wspomnieć, że przed wyjazdem z domu, na wszelki wypadek, pani Teresa zapakowała do torby niewielkich rozmiarów pasyjkę – wówczas nie bardzo wiedziała, co z nią zrobi. Jednak gdy przybyła na miejsce, wszystko stało się jasne. „Poprosiłam brata pani Ludwika – Bolesława, aby zrobił mały drewniany krzyżyk, który, w obecności wielu mieszkańców tej wsi, zawiesiliśmy na drzewie 1 stycznia 1999 roku. Na tym drewnianym krzyżyku umocowałam małą pasyjkę...” Po kilku miesiącach jeden z mieszkańców zrobił duży rozmiarów dębowy krzyż i postawił w środku wsi. „Dowiedziawszy się o tym, byłam bardzo szczęśliwa” – wyznaje.

Wówczas postanowiła dla tej wsi ufundować figurę Matki Bożej, aby mogły odprawić się przy niej nabożeństwa majowe, gdyż do parafii w Horodnicy jest 15 km i nie wszyscy mogą być zawsze w kościele. Postument pod nią wykonał pan Bolesław Niżyński z miejscowych glazów. Piękną marmurową tablicę do figury, z napisem w językach polskim i ukraińskim, ufundował pan Henryk Szumigaj z Piaseczna.

„Gdy zakładałam bibliotekę w Horodnicy, pomyślałam sobie, że byłoby fajnie ufundować jeszcze jedną figurę Matki Bożej właśnie tam”. Zakupiła więc dość dużych rozmiarów figurę, do której tradycyjnie wykona postument pan Bolesław Niżyński z Lipino. „Figura jednak okazała się za ciężka dla mnie, abym mogła ją samodzielnie przewieźć do Horodnicy. Dlatego skorzystałam z okazji pobytu księdza Gomulczaka w ośrodku animacyjno-misyjnym oo. Pallotynów w Konstancinie-Jeziornie. Ksiądz ten aktualnie pełni swą posługę duszpasterską we Lwowie. Mam nadzieję, że figurę tę przewiezie na

Ukrainę i znajdzie okazję, aby figura dotarła do miejsca jej przeznaczenia” – uśmiecha się promiennie.

Stuchając tej opowieści, nie mogłam wyjść z podziwu. Jedyne pytanie, które mi nie dawało spokoju to... jak Pani to wszystko robi? jak Pani się to udaje? Pani Teresa jednak skromnie odpowiada: „Robię pierwszy krok, a potem ludzie sami włączają się w sprawę. To jest podstawą mojej działalności”. Pani Teresa przyznaje, że co do korzyści własnych, to przede wszystkim: „mam aktywnie zagospodarowany mój emerycki czas, poznaję ciekawych ludzi i, podróżując, wiele się uczę”.

Program pod hasłem „nie burz, ale podnoś ruiny” pomaga odnowić to, co zostało zniszczone w latach komunizmu – przede wszystkim otwartość na potrzeby drugiego człowieka. „Jeśli chodzi o moje wojaże na Litwę i Ukrainę, to chodzi o pomoc w kultywowaniu polskich tradycji i polskiego języka, kierując się ewangelizacyjnymi zasadami we współżyciu z innymi grupami narodowymi”. To piękne, czyż nie?...

„Mam ogromny sentyment do majówek – to mną kierowało przy fundowaniu figur Matki Bożej. Mam nadzieję, że w tych miejscowościach, gdzie one będą, odrodzi się tradycja odprawiania nabożeństw majowych w plenerze” – dodaje pani Teresa.

Jakie to dziwne – w jednej chwili, przez przypadek, poznaję osobę, która tak wiele działa dla Kresów. Która szczerze, z radosnym uśmiechem, niesie ludziom pomoc i wsparcie...

Jak wiele w życiu zdarza się „przez przypadek”... Ot tylko osobiście ja nie wierzę w przypadki. Wierzę w Opatrzność. I w mojego Anioła Stróża, który – gdyby mnie kto pytał o zdanie – powinien dostać medal za szczególne zasługi dla mojego życia. Na razie nie chcę zdradzać szczegółów, ale... to spotkanie z panią Teresą – wierzę, że nie-przypadkowe – pozwoliło mi kolejny raz zawierzyć Bogu mój posesyjny pomysł na, powiedzmy, pomoc innym.

Droga pani Tereso! Życzę Pani – i wierzę, że wiele osób z Kresów przyłączy się do tych życzeń – wiele, wiele sił, zdrowia i tego szczerego, ciepłego, serdecznego uśmiechu, który widziałam na Pani twarzy, gdy opowiadała mi Pani o swoich podróżach. Niech Matka Boża wciąż nad Panią czuwa!

I tak właśnie minęła mi podróż do domu: tym razem szybko, ciekawie i pouczająco.

W... półpustym autokarze.

Mychajło Wyszyniuk: Prezydent Ukrainy rozporządził udoskonalić prace poszukiwawcze, badania i uporządkowanie miejsc pochówku ofiar wojny, politycznych represji i innych tragedii narodu ukraińskiego

TAMARA LEJBIUK
kierownik służby prasowej
WAP

Iwano-Frankowska Administracja Wojewódzka jeszcze 6 maja skierowała na adres Ministerstwa Gospodarstwa komunalnego i Państwowej Komisji do spraw upamiętnienia ofiar wojny i politycznych represji „Propozycje kompleksowego programu poszukiwania i uporządkowania pochówków ofiar wojny i politycznych represji”. W nich, między innymi, zaznaczono: „pozytywna decyzja co do finansowania w 2011 roku planowych działań po-

zwoli roboczym grupom zaktywizować prace poszukiwawcze, zbiór i zapisy świadków wydarzeń, ustalić miejsca pochówków, zlokalizować je w terenie i ekshumować, podłączyć je do tych działań ludności i uzyskać środki techniczne”.

21 czerwca prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz podpisał Rozporządzenie nr 204 „O dodatkowych działaniach poszukiwawczych, badawczych i uporządkowania miejsc pochówku ofiar represji politycznych i innych tragedii narodu Ukrainy”.

Gabinetowi ministrów głowa państwa zlecił „w ustalonym porządku

przy udziale Narodowej Akademii Nauk Ukrainy użyć środków w celu aktywizacji prac poszukiwawczych, badawczych i uporządkowania miejsc pochówku ofiar represji politycznych i innych tragedii narodu Ukrainy, podłączenia do nich organizacji społecznych, zabezpieczenia planowego i naukowego podejścia do tych prac, ścisłego dotrzymania wymogów ustawodawstwa przy prowadzeniu prac poszukiwawczych, upamiętnienia ofiar, opracowanie kwestii utworzenia specjalnej komisji, badającej pytania związane z określeniem i badaniem miejsc poszukiwawczych, badawczych związanych

z miejscem pochówku ofiar wojny, represji politycznych i innych tragedii narodu Ukrainy, a też stworzeniem naukowego opracowania martyrologii poległych”. Gabinet Ministrów ma zadanie „zabezpieczyć finansowanie prac badawczych w wymaganym kwotach i w ustalonym porządku”.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Ukrainy, Ministerstwo Obrony, MSZ, SBU, Archiwum Państwowe Ukrainy, Państwowa Służba Penitencjarna Ukrainy otrzymały zadanie Prezydenta „przy udziale Generalnej Prokuratury Ukrainy użyć dodatkowych działań w celu ujawnienia dokumentów, miesz-

czących informacje o miejscach pochówku ofiar represji politycznych i innych tragedii narodu Ukrainy, zdjęcia z nich w ustalonym porządku klauzuli tajności, umożliwienie wolnego dostępu do tych dokumentów przedstawicieli organizacji społecznych, naukowych organizacji, uczonych i obywateli”.

MSW Ukrainy, Radzie Ministrów Krymskiej Autonomii, lokalnym administracjom państwowym polecono „użyć działań mających przeciwdziałać aktom bezczeszczenia mogił i innych miejsc pochówku ofiar represji politycznych i innych tragedii narodu Ukrainy i pamięci ofiar”.

Siedem dni w klasztorze

WITO NADASZKIEWICZ

Niedawno, mój znajomy, ks. Ryszard Stolarczyk, który zaczynał swoją drogę do kapłaństwa we Lwowie, został wyznaczony przeorem klasztoru Karmelitów bosych w pobliżu miejscowości Czarna, pod Krakowem. W odpowiedzi na jego zaproszenie, przez tydzień zamieszkałem w historycznej budowlę z XVII wieku.

Chociaż w okolicach dawnych klasztorów bywałem, to zawsze fascynowały mnie raczej jako zabytki architektury. Ich dzień dzisiejszy i życie wewnętrzne pozostawały nieznanne, a jeszcze „odgródzone” wszelkimi stereotypami ateistycznego, czasem otwarcie antyklerykalnego bytu, coś w rodzaju: rzymskokatolickie klasztory kąpią się w rozkoszy, ascetyczny byt nigdy nie był charakterystyczny dla chrześcijaństwa zachodniego. Chcę zrzucić te mity i uchylić bramy klasztornej czytelnikom.

Położony wśród bukowych lasów wyżyny krakowskiej, renesansowy klasztor – to prawdziwa oaza spokoju. Nie działają tu telefony komórkowe, nikt nie ogląda TV, nie słucha radia, nie omawia wydarzeń politycznych. Dookoła jedynie śpiew ptaków, dźwięk dzwonów, szum rzeczki Eliaszy, nazwanej tak od proroka Eliasza, który mieszkał na górze Karmel w Izraelu.

To właśnie na górze Karmel, w Ziemi Świętej, w XII wieku powstaje zakon pustelników-karmelitów. W kolejnych wiekach zakon poszerza się na Europę i w 1630 roku, przy wsparciu wojewodziny Agnieszki Tęczyńskiej, karmelici osiadają w Czernej. Budują kościół i klasztor na 11 cel dla zakonników.

W centrum sanktuarium stoi świątynia z cennym obrazem Najświętszej Maryi Panny, namalowanym w I połowie XVII wieku. Dookoła leżą sady, kalwaria z kamiennymi figurami, ciosanymi przez mnichów, 12 stacji kalwaryjnych – stacji Drogi krzyżowej. Wszystko to otoczone lasem. Jeżeli zataić się w gęstwinie to można odkryć życie lasu: zobaczyć zająca, jelenia, jeże, a nawet spotkać się oko w oko z lisem.

Klasztor od swego założenia działał bez żadnych przerw – i w czasach antyklerykalnej Austrii, i w czasach komunizmu. Z tej przyczyny może poszczycić się bogatą biblioteką, która liczy 3 270 starodruków i 25 tys. książek, wydanych po 1801 roku. Nie każda uczelnia ma takie zbiory.

Jak powiada ojciec Ryszard, po wojnie dużą część zakonników stanowili bracia z lwowskiego klasztoru karmelitów na Persenkówce, resztki zabudowań którego znajdują się teraz na terenie fabryki autobusów. Musieli opuścić swój klasztor. Szkoda, że ostatni z nich zmarł przed rokiem.

Obecnie w klasztorze przebywa około 20 zakonników, a na jesieni oczekują 15 nowicjuszy. Mnisi mieszkają w skromnych celach, gdzie mają łóżko, stół, krzesło, szafę na ubrania i półkę na książki. Nad drzwiami krucyfiks. Na zewnątrz, na korytarzu, nad wejściami do cel – chrześcijańskie sentencje. „Nie znosi Bóg widoku dusz, pragnących chwały ziemskiej” – taki napis widniał nad moją celą. Oprócz sentencji, korytarz zdobią stare obrazy o tematyce biblijnej oraz przedstawiające świętych. W jednym z korytarzy



– galeria przeorów klasztoru – portret i krótka nota biograficzna. Zauważam, że większość z nich pełniła swoją funkcję przez trzy lata. „To kadencja. Przeor może być wybrany ponownie, ale po dwu kadencjach musi nastąpić zmiana – jak w państwie,” – wyjaśnia przeor.

Wszyscy mnisi ubrani są w jednokolorowe, ciemnobrązowe, habity z kapturami. Ich krój nie zmienił się od 400 lat. „Przedtem w okresie postu zakonnicy nie zdejmowali kapturów nawet pod czas jedzenia. „Teraz te formalne tradycje zanikają, aby poświęcić się bardziej rzeczom ważnym,” – opowiada mnich. – Do tych rzeczy należy, na przykład, zasada milczenia. „Silentium” to po łacinie milczenie – taki napis widnieje nad furką do klasztoru. Gaduła nie uniknie grzechu, zresztą daleko poza granicami klasztoru, znane jest powiedzenie „milczenie jest złotem”, czy prawne: „wszystko co powiesz – może być wykorzystane przeciw tobie”.

Mnisi pomiędzy sobą faktycznie są oszczędni w słowach. Witają się chrześcijańskim „Szczęść Boże”, „Pochwalony...” lub po prostu skinieniem głowy. Zwracają się do siebie per „brat”, a do przełożonych per „ojciec”: ojciec przeor, ojciec skarbnik, brat klucznik, brat ogrodnik itd. Po imieniu mówią tylko do bliskich przyjaciół, kolegów z seminarium. Życie przebiega tu według ścisłego harmonogramu – wcześniej wstają i wcześniej kładą się spać. Siedmiogodzinny wypoczynek powinien wystarczyć wszystkim. Całą noc jeden bądź kilku braci modlą się w kaplicy, a o 5:15 biją w dzwony i budzą braci słowami: „Wstawajcie, bracia, na modlitwę, Boga sławić”. W niedzielę można pospać pół godziny dłużej.

Po modlitwie udają się do refektarza na wspólną agapę. W Polsce, jak zresztą i w Europie, w odróżnieniu od Wschodu, ludzie spożywają mało chleba, chyba że kanapki. W klasztorze – chleb to pożywienie podstawowe. Dla wielu kromka z masłem i kubek kawy – ot całe śniadanie. Obiad (O 12:30) już znacznie obfitszy i składa się z trzech dań: zupy, drugiego dania i deseru. Deseru nie ma w czasie postu. Przy mnie dwa razy podawano danie rybne i raz – w niedzielę – mięsne. Do 1969 roku mięsa nie jedzono, nawet w święta. Ale później podliczono, że mięso jest tańsze od ryby i zezwolono spożywać mięso 4 razy na tydzień. Ale mięsem tu nikt się nie objada. Częściej jada się kaszę, ryż z jarzynami i gotowaną kapustę. Na deser mogła być szarlotka, kisiel, budyń lub chleb z dżemem. Podobnie jada się na kolację o 18:30. W czasie jedzenia jeden z zakonników czyta braciom lekką duchową lekturę.

Spożywać posiłki w celach, bądź poza refektarzem jest zabronione.

Jasne jest, że najwięcej czasu mnisi poświęcają na modlitwy i medytacje – 5–7 godzin dziennie. Modlą się indywidualnie, wspólnie lub z pielgrzymami. Codziennie w sanktuarium odbywa się kilka mszy. Jeżeli w dzień powszedni świątynia jest półpusta, to w niedziele i święta – do kościoła zjeżdżają się mieszkańcy z okolicznych wsi i miasteczek i trzeba odprawić po 7 mszy świętych.

Jasne, że mnisi żyją nie tylko modlitwą. „Kto nie pracuje – ten nie je” – pisze św. Piotr. Każdy z braci ma swoje zadania: Jedni przyjmują pielgrzymów – spowiadają, prowadzą rekolekcje, przyjmują intencje, inni prowadzą zajęcia z nowicjuszami, doglądają czystości, sadu. „Pracy mamy dużo, a ludzi mało. Przedtem, gdy nie przyjmowaliśmy pielgrzymów doglądaliśmy ogrodu, trzymaliśmy kury i krowy. Dobrze byłoby hodować je i teraz, ale nie można za wszystkim nadażyć,” – wyjaśnia ojciec Ryszard. – Prac zakonnikom przybywa. Teraz budujemy Dom Pielgrzyma, bo jest taka potrzeba wśród wiernych”. Według przeora ostatnimi czasy klasztor zmienia styl działalności – z wewnętrznej pracy z braćmi na pracę z wiernymi. Zakonnicy jeżdżą poza klasztor, uczą religii w szkołach, opiekują się domami starców, więzieniami. Są też i klasztory z regułami, które nie zmieniły się od wieków. Szczególnie surowa jest reguła kamedułów – zakonnicy mieszkają w małych domkach i sami uprawiają małe działki by mieć dla siebie pożywienie. Prawie też nie utrzymują kontaktów ze światem zewnętrznym.

Oprócz pracy karmelici mają i czas na wypoczynek. Uprawiają sporty w sali gimnastycznej, grają w tenisa stołowego, rozmawiają w sali rekreacyjnej. Przy dobrej pogodzie idą na wycieczkę po lesie. 14 dni na rok to „mnisi urlop” na odwiedzinach bliskich. W razie wypadków ekstra (śmierć bliskich, wesele w rodzinie, egzaminy w seminarium) przeor może dać dodatkowe dni wolne.

O godz. 20:00 mnisi pieśniami wystawiają Bogurodzicę przed jej obrazem, który na noc jest zamykany pancerną kurtyną. Po tym brat klucznik zamyka bramę klasztorną i bracia rozchodzą się po celach. O 22 gasi się światło. Po tej godzinie w ciemnościach tylko latają nietoperze, żyjące w starych lochach i świecić się będą dwa okna: w kaplicy, gdzie modli się któryś z braci i u mnie, nienawykłego do nowego trybu życia.

List do redakcji Szaszłyk na krwi, piknik na grobach



Obok pomnika z napisem „Memoriał Żydowski” pojawił się ogrodzony teren z bluźnierczą tablicą „Strefa wypoczynkowa koło kolumny”...

LEONID GOLBERG
tekst i zdjęcia

Ta prawda jest na tyle znana, że stała się banałem: nie szanujesz pamięci – nie masz przyszłości i kiedyś strzeli ona do ciebie z armaty. Dla wielu w Drohobyczu wszystko to – tylko cześć gadanie i „wroga propaganda”.

Kim był Adam Paszulka? Niewielu odpowie na to pytanie. I to jest przykre. Ten odważny mieszkaniec Drohobycza, który już dawno spoczywa z Bogiem w polskiej ziemi, przez cały okres okupacji fotografował rozstrzelani w centrum Drohobycza, pod tzw. Ścianą Placzu. W muzeum „Ziemia Drohobycka (Drohobyczczyna)” jest przechowywany jego aparat fotograficzny, klisze i odbitki. Tak, tragiczne miejsce przy ulicy Kowalskiej nie jest sowieckim mitem, a gorzką prawdą czasów okupacji. Dziesiątki niewinnych drohobyżan poległo z rąk oprawców pod tą ścianą, gdzie teraz stoi pomnik ofiarom faszyzmu...

Ale nie dla wszystkich ta ziemia jest uświęcona. Jakiś niedouczony urzędnik i tacy sami deputowani zezwolili na otwarcie handlu w miejscu przesiąkniętym krwią naszych przodków. Obecnie pod Ścianą Placzu smażone są szaszłyki (do niedawna handlowano tam majtkami). Czy naprawdę tak bardzo smakuje tam piwo na krwi tym, którzy utracili pamięć? W mieście mówi się, że knajpa należy do jednego z urzędników z ratusza.

Jak by tam nie było, ciekawie – co na ten temat myślą w Radzie Miejskiej.

Tak samo ciekawi nas, czy przewodniczący Państwowej Administracji i Rady Rejonowej wiedzą, co się dzieje w Bronicy. Nie raz wracaliśmy do tematu pikników, dosłownie na grobach 11 tys. mieszkańców Drohobycza – ofiar Holocaustu. Spoczywają tam nie tylko Żydzi, ale i dziesiątki nieznanymi bohaterów – Polaków i Ukraińców, którzy próbowali ratować swoich sąsiadów, przyjaciół, znajomych. Do niedawna „bankiety na kościach” odbywały się sporadycznie. Tylko żydowska gmina Drohobycza (więcej nikogo to nie obchodziło) co roku sprzątała śmiecie, serwetki, jednorazowe naczynia i kondomy z mogił. A obecnie „rozrywki” na mogiłach zlegalizowano. Obok pomnika z napisem „Memoriał Żydowski” pojawił się ogrodzony teren z bluźnierczą tablicą „Strefa wypoczynkowa koło kolumny”...

Goście zza granicy, którzy coraz częściej przyjeżdżają, nie mogą tego pojąć, a u nas uważane jest to za normalne. Jaka pamięć, jakie rozstrzelanie, jaki Holocaust? To było dawno, a żyć trzeba teraz. Jeżeli i dalej będziemy mieli takie poglądy, to niebawem staniami się oplotkami europejskiej cywilizacji. Na kogo wtedy będziemy narzekać?

W sytuacji, która wytworzyła się wokół miejsc pamięci, chciałoby się usłyszeć stanowisko władz miasta i rejonu, a również prokuratury – kto zezwolił w taki sposób znęcać się nad naszą historią?



Drogowskaz w kierunku kawiarni „Rondo”

TADEUSZ KURLUS

Opisane tu wydarzenie miało miejsce równo przed stu laty. Poświęcono mu setki artykułów, przedstawiono je w dziesiątkach książek, i niemal w każdej publikacji podawane są szczegóły mocno się od siebie różniące. Pewne jest tylko jedno: zrelacjonowano w nich zniknięcie z zasobów Luwru szczególnie cennego obrazu: „Mony Lisy”, pędzla Leonarda da Vinci (1452–1519), obrazu dziś uznawanego za jedno z jego największych artystycznych osiągnięć. Obraz skradziono! Przypominając historię rabunku w setną rocznicę tego zuchwałego czynu, posłużymy się kilkoma źródłami, które – jak się wydaje – najtrafniej ustosunkowały się do tego, co miało miejsce za murami muzeum w 1911 roku.



Gdzie jest obraz?

22 sierpnia 1911 roku – był to wtorek – przyszedł do Luwru, jak ostatnio niemal codziennie zaraz po otwarciu jego bram, Louis Bérard, artysta-malarz, i szybko przemierzając korytarze i pomieszczenia ekspozycyjne, dotarł do Salon Carré, gdzie – za zezwoleniem dyrekcji muzeum – robił szkice do obrazu, w którego tle miała figurować „Mona Lisa”. Wchodząc do sali, już u progu spojrzął na ścianę, na której płótno wisiało między dwoma innymi, „Mistycznymi zaślubinami św. Katarzyny” pędzla Cavaraggio i „Alegorię Alfonsa d’Avalos” Tycjana. Na jego miejscu widniały jednak tylko cztery haki. Nie zdziwiło go to specjalnie, bo już nieraz zabierano „Monę Lisę” do znajdującej się w muzeum pracowni fotograficznej lub by wykonać jakieś drobne zabiegi restauracyjne. By się upewnić, że tego dnia już nie będzie mógł malować, zwrócił się do kierownika personelu, pilnującego tego segmentu muzeum. Razem udali się do fotografów, ale tam obrazu nie było! Zajrzano także do pracowni konserwatorskiej – nie, żadnych prac związanych z obrazem nie przewidywano! Gorączkowe kilkugodzinne poszukiwania nie dały rezultatu. Zastępujący nieobecnego dyrektora Luwru pracownik zawiadomił policję. Na jej polecenie muzeum zamknięto, niebawem zjawilo się w nim aż 60 policjantów i detektywów, którzy zajrzeli do wszystkich chyba zakamarków ogromnego gmachu. Obrazu nie znaleźli, ale odkryli ważny dowód, że został wykradzony: w jednej z bocznych klatek schodowych znaleziono jego ramy!

Kto mógł dopuścić się tego przestępstwa, czy działał sam, czy miał współników? Na te pytania miało odpowiedzieć zaraz wszczęte śledztwo. Przesłuchano wszystkich pracowni-

KRADZIEŻ STULECIA



ków muzeum, zwrócono się za pomocą prasy do ewentualnych świadków, którzy mogli widzieć kogoś opuszczającego gmach z jakimś pakunkiem. Przesłuchania dały tylko pewność, że kradzieży dokonano w poniedziałek rano, bo jeden ze strażników widział obraz tuż po 7, ale godzinę później, gdy ponownie przemierzał Salon Carré, już go tam nie było, pomyślał, że „Monę”, jak to się już zdarzało, chwilowo usunięto. A zatem złodziej zdjął obraz ze ściany między 7 a 8:30. Nie ulega kwestii, że był dobrze zorientowany w rozkładzie pomieszczeń Luwru, w organizacji pracy jego personelu. Oczywiście jest także, dlaczego wybrał na „dzień zero” poniedziałek, bo jak to jest w muzealnej tradycji, w poniedziałki muzea są nieczynne, dzień ten przeznaczony jest na robienie porządków, wykonywanie nie-



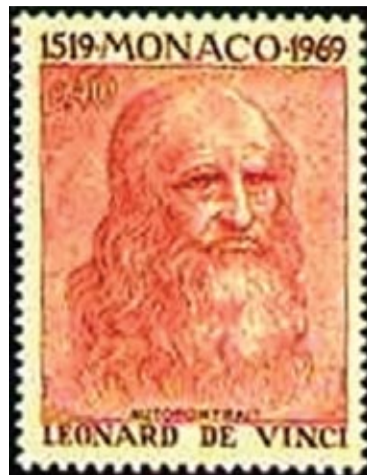
zbędnych remontów itd. Większość pracowników ma w tym dniu wolne, a zatem i ochrona dóbr muzeum jest wówczas ograniczona. Czy zatem sprawcę kradzieży należało szukać wśród personelu?

Bałagan w Luwrze

Szukając jakiegoś tropu, policja przyjrzała się także funkcjonowaniu Luwru, sprawdziła, jak placówka, będąca największą w świecie skarbnicą sztuki, jest zarządzana. Wyszło na jaw, że specjalnie się o jej bezpieczeństwo nie troszczono. Wprawdzie dyrektor Luwru, Théophile Homolle, chętnie się przedzierał do ukraść obie wieże katedry Notre Dame, niż cokolwiek z zasobów jego muzeum, ale była to tylko czcza przechadzka. Niebawem do jednej z paryskich redakcji zgłosił się anonimowo jakiś paryżanin oznajmiając, że wielokrotnie udawało mu się wynieść z muzeum rozmaite drobne przedmioty, zaszedł do niej także pewien malarz, który przyniósł dwie fenickie statuetki z insygniami, że są własnością Luwru. Jest tu także polski ślad: 7 września za kratki trafił poeta Guillaume Apollinaire (czyli Wilhelm Apolinary Kostrowicki). Stało się to na

podstawie zaadresowanego do jednej z redakcji listu, którego autor ukrywający się pod pseudonimem „Złodziej” donosił, że wyniósł z muzeum kilka figurek i masek, a potem sprzedał je za grosze swemu przyjacielowi. Idąc po nitce do kłębka policja zdołała ustalić zarówno obraz tuż po 7, ale godzinę później, gdy ponownie przemierzał Salon Carré, już go tam nie było, pomyślał, że „Monę”, jak to się już zdarzało, chwilowo usunięto. A zatem złodziej zdjął obraz ze ściany między 7 a 8:30. Nie ulega kwestii, że był dobrze zorientowany w rozkładzie pomieszczeń Luwru, w organizacji pracy jego personelu. Oczywiście jest także, dlaczego wybrał na „dzień zero” poniedziałek, bo jak to jest w muzealnej tradycji, w poniedziałki muzea są nieczynne, dzień ten przeznaczony jest na robienie porządków, wykonywanie nie-

Wspomnieliśmy wyżej, że policja przesłuchiwała wszystkich pracowników Muzeum. Sprawdziła także ich odciski palców, bo na ramie obrazu, pozostawionego przez złoźcę, wykryto wyraźny ślad linii papilarnych. Niestety, badanie tego materiału porównawczego nie dało wyniku. Ale pilnująca toku dociekała policyjnych prasa przypomniała, że przed kilkoma miesiącami w Luwrze pracowała ekipa firmy szklarskiej, która wstawiała szyby do ram najcenniejszych obrazów. A zatem należało również sprawdzić jej pracowników. Uczyniono to. I nie do wiary: przed śledczymi stanął także człowiek, który – jak się potem okazało – był poszukiwanym złodziejem! Ale wówczas zadano mu tylko kilka rutynowych pytań (co robił 21 sierpnia), zrobiono także rewizję w zajmowanym przezeń pokoju w podręcznym hoteli-



ku. Lecz akurat jemu nie odebrano odcisków palców! A był on już za drobne przestępstwa dwukrotnie w policji notowany, wystarczyłoby więc zajrzeć do kartoteki, porównać odciski – i zagadka kradzieży byłaby rozwiązana! I to z natychmiastowym jej zakończeniem, bo „Mona” spoczywała w drewnianej skrzynce, którą ów złodziej trzymał pod łóżkiem! Tu policja popełniła ogromny błąd, z jej winy we Francji powoli zaczęto się przyzwyczajać do myśli, że obraz przepadł na zawsze. Do nikogo nie przemówiły też nagrody wyznaczone przez paryskie redakcje za zwrot obrazu lub wskazówkę, gdzie go należy szukać.

Jak to było możliwe?

Niemniej jeszcze przez pewien czas spekulowano, jaki mógł być przebieg wydarzeń. Zwłaszcza na łamach



prasy. Między innymi, dopuszczano, że skradziono obraz, by:

- udowodnić dyrekcji muzeum, że nie dba dostatecznie o bezpieczeństwo zbiorów;
- zepchnąć tę sensacją na boczny tor sprawę Maroka, gdzie akurat rodził się konflikt między Francją a Niemcami o panowanie nad tym krajem (w tym wypadku za kradzieżą miały stać kółka rządowe);
- zatuszować fatalnie przeprowadzoną restaurację malowidła, która praktycznie całkowicie je zniszczyła;
- dołączyć go do kolekcji amerykańskiego multimilionera Johna P. Morgana, pragnącego mieć najznakomitszą kolekcję w świecie;
- przygotować jego kopie i sprzedać je w sekrecie jako oryginały nabywcom, niemającym pojęcia, że „oryginały” kupili także inni amatorzy posiadania wspaniałego obrazu (za tym przedsięwzięciem stał argentyński hochsztapler Eduardo de Valfierno);
- zaszantażować rząd francuski, by wymusić na nim wypłacenie wielkiego okupu.

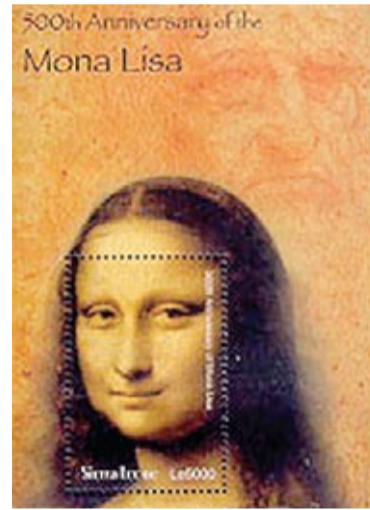
Pojawiały się jeszcze inne sugestie (m.in., że czynu dopuścił się jakiś maniak), ale pomińmy je (zresztą wszystkie okazały się błędne), bo czas już zmierzać do finału: wiemy

przecież, że „Mona Lisa” jest w Luwrze, a zatem, jak ją odzyskano?

Mijały tygodnie i miesiące bez jakichkolwiek istotnych nowości w jej sprawie, aż...

Dwa i pół roku później...

Florencja. Na 1 grudnia 1913 roku znany miejscowy antykwariusz Alfredo Geri wyznaczył kolejną aukcję dzieł sztuki. Jak zwykle, zgromadziła ona wielu miłośników pięknych rzeczy, chcących, jeśli już nie kupić jakiś wystawiony na niej obiekt, to przynajmniej móc śledzić przebieg licytacji. Z dużym wyprzedzeniem Geri zapowiedział aukcję w gazetowych ogłoszeniach w co ważniejszych dziennikach Europy, podając w nich także, że zawsze kupuje płótna starych mistrzów, oferując za nie najlepsze ceny. W odzewie napłynęło wiele listów z różnymi propozycjami. Zainteresował go zwłaszcza list, który nadszedł z Paryża. Nadawca podpisujący się „Leonardi” oferował mu ... „Monę Lisę”! Chyba jakiś wariat, pomyślał antykwariusz, ale nie wrzucił



listu do kosza, lecz jeszcze raz uważnie go przeczytał. Wynikało z niego, że oferent jest Włochem i pragnie zwrócić ojczyźnie przynajmniej jedno dzieło sztuki z tych, które zrabował w swoim czasie Napoleon (tu w nawiasach musimy jego pogląd sprostować, gdyż w tej kwestii nie miał właściwego rozoznania, da Vinci wyjechał bowiem w 1516 roku, na zaproszenie króla Franciszka I, który go niezmiernie ceniał, do Francji, zabierając ze sobą „Monę”). Po jego śmierci w 1519 r. monarcha kupił ją od spadkobiercy za cztery tysiące złotych florenów i zabrał do swego pałacu w Fontainebleau, gdzie kazał obraz powiesić w apartament de bains, czyli w... łazience. Rychło stwierdzono jednak, że to nie wychodzi mu na dobre, więc przeniesiono go do królewskiej sypialni. Po rewolucji, w 1789 roku, w pałacu otwarto muzeum, wówczas „Mona” mogła po raz pierwszy zaprezentować się szerokiej publiczności. Potem, w 1804 roku, Napoleon upodobał sobie mieć ją w sypialni w swej rezydencji w Tuileries. Dopiero w 1815 roku przeniesiono dzieło da Vinci do Luwru). Geri pokazał list dyrektorowi Galerii Uffizi, Giovanniemu Poggiemu, ten zaś zalecił mu, aby, mimo podejrzeń, iż do gry chciał wejść jakiś oszust, jednak nawiązał z nim kontakt. Antykwariusz odpisał więc na poste restante do Paryża, że owszem, oferta go interesuje, ale zanim zaproponuje cenę, musi obraz zobaczyć. Odpowiedź przyszła szybko: w porządku, proszę przyjechać do Paryża. Na to Geri, że nie ma tyle czasu, by podjąć tak długą podróż i zaproponował spotkanie w Mediolanie, 22 grudnia. Już 10 grudnia jednak w jego gabinecie we Florencji pojawił się człowiek, który przedstawił się jako Leonardi Vincenzo, a przybył po to, by dobić interesu

w sprawie „Mony”. Wyjaśnił ponownie, że zwrot obrazu Włochom uważa za czyn patriotyczny, niemniej żąda zań, tytułem zwrotu kosztów, pół miliona franków. Geri zgodził się. A gdzie jest obraz? W hotelu. Dobrze, przyjdę tam jutro z dyrektorem Uffizi i forszą. Gdy następnego dnia zjawili się u przybysza z Paryża, ów wyciągnął spod łóżka drewniany kuferek, z którego wpien wydobył części swej garderoby, potem, sięgając głębiej, usunął przegrodę tworzącą fałszywe dno. Na drugim leżał jakiś płaski przedmiot otulony czerwonym aksamitem. Leonard wyjął go ostrożnie i położył na stole, a Geri i Poggi jeszcze ostrożniej usunęły tkaninę. Już pobieżne oględziny obrazu były dla nich wystarczającym dowodem, że mają w rękach prawdziwą „Monę”. Potwierdzały to pieczęcie Luwru z tyłu malowidła, tudzież zapisany tam numer katalogowy: 316. Niemniej stwierdzili, iż muszą jeszcze porównać obraz z innym dziełami da Vinci w Galerii, więc zabiorą go ze sobą. Vincenzo zgodził się. Wkrótce potem zjawiała się już wcześniej zaalarmowana policja, i aresztowała go.

Zatrzymany nie zaprzeczał niczemu, tak, to on ukradł „Monę”, bo chciał ją zwrócić prawowitemu właścicielowi, czyli państwu włoskiemu, jest bowiem patriotą. Nazywa się Vincenzo Peruggia (1881–1947), pochodzi z wioski Dumenza w Lombardii. Mając 25 lat pojechał szukać pracy w Paryżu. Znalazł ją u rzemieślnika, który raz po raz otrzymywał z dyrektora muzeum zlecenia wykonania rozmaitych prac, czy to stolarskich, czy – jak ostatnio – szklarskich. Peruggia należał do ekip je wykonujących, stąd dość dobrze orientował się, jak się poruszać po gmachu. Opisał dokładnie, jak udało mu się wynieść obraz. Tu jednak mamy aż trzy wersje tego wydarzenia:

- w niedzielę schował się sam w jakimś zakamarku, by rano w poniedziałek w dogodnym momencie zdjąć obraz ze ściany i wynieść go nieopatrzenie poza budynek;

- w akcji wspomagali go bracia Vincenzo i Michele Lancelotti, którzy razem z nim ukryli się gdzieś na uboczu;

- przyszedł do muzeum wcześniej rano w poniedziałek, strażnicy



wpuścili go, bo był im znany, wziął obraz i skierował się do bocznego wyjścia, gdzie przez chwilę mocował się z zamkiem, ale akurat w pobliżu przechodził ślusarz, który pomógł mu otworzyć drzwi!

Łagodny wyrok

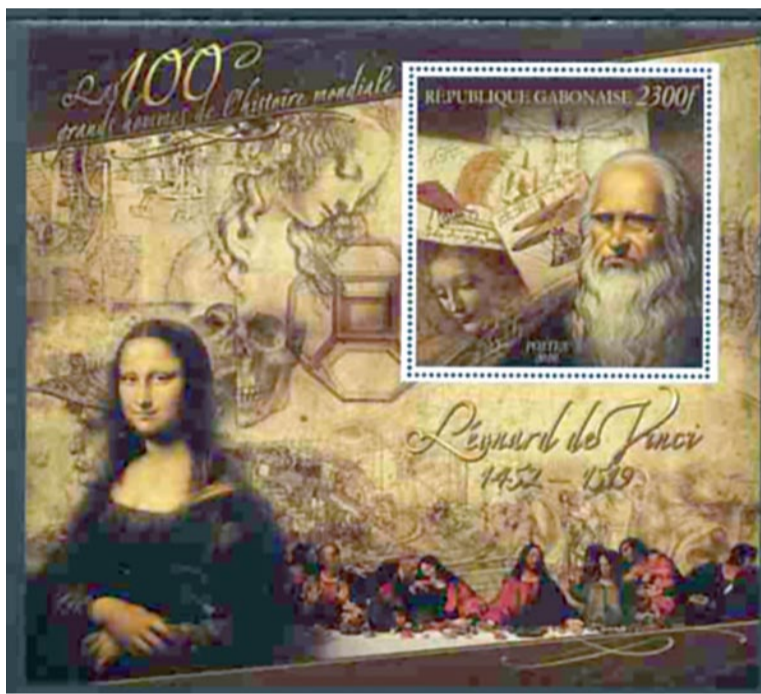
Niebawem Peruggia stanął przed włoskim sądem. Sędziowie wysłuchali relacji podsądnego wciąż podkreślającego, że motywem jego działania była chęć przywrócenia obrazu narodowi włoskiemu, i chyba się z nim solidaryzując, wydali nań niesłychanie łagodny wyrok: rok i piętnaście dni więzienia (odsiedział raptem osiem miesięcy).

Włoska opinia publiczna uważała go za bohatera, zapewniła mu renomowanego adwokata, a gdy opuścił mury więzienia, znalazło się nawet wielu zbierających dlań pieniądze, by miał z czego żyć.

Późniejsze etapy śledztwa zburzyły jednak obraz Peruggii-patrioty. Znalaziono jego notesy z adresami znanych amerykańskich milionerów-kolekcjonerów, zapisał w nich także nazwiska znanych niemieckich i austriackich miłośników sztuki. Z tego wynika, że obmyślał nie tylko, jak obraz ukraść, lecz także, jak go korzystnie sprzedać. Dotarło także do jego listów do rodziny, w których zapowiadał, że wróci w rodzinne strony z dużą kasą!

Dlaczego się uśmiecha?

Po odzyskaniu „Mony Lisę” urządzono we Włoszech pokazy obrazu, we Florencji (w Galerii Uffizi), Rzymie i Mediolanie, po czym w końcu grudnia 1913 roku powróciła do Francji.



Znowu wisi więc w Luwrze i codziennie przyciąga do muzeum tłumy. Twierdzi się nawet, że aż 99 procent zachodzących do niego osób (rocznie ponad osiem milionów) przekracza jego progi tylko po to, żeby stanąć oko w oko ze słynnym obrazem – to dla wizytujących Paryż turystów taki sam musik, jak wjazd na Wieżę Eiffla. Właściwie to dyrektora Luwru powinna być wdzięczna Peruggii, bo to dzięki jego zuchwałej kradzieży popularność obrazu wzrosła niebotycznie. Dawniej mało kto się nim interesował, magnesem przyciągającym publiczność były zwłaszcza Nike z Samotraki i Wenus z Milo. Jeszcze w 1907 r. przewodnik po Paryżu znanej firmy wydawniczej Baedekera poświęcił „Monie” zaledwie dwa zdania. Dopiero gdzieś w połowie XIX wieku na pierwszą pozycję zaczęła się wysuwać „Mona Lisa” (we Włoszech zwana „La Gioconda”, we Francji – „La Joconde”), głównie dlatego, że artyści i pisarze zaczęli dociekać, kim była owa dama sportretowana przez da Vinci, dlaczego artysta uznał, że może mu pozować bez żadnej biżuterii, bez pierścionków, bez naszyjnika? Wówczas kiedy malował obraz (1503–1506) panie nie wyrzekały się przecież kosztowności? Wreszcie próbowano znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego „Mona” tak tajemniczo się uśmiecha? Różnie to wyjaśniano, ale do dziś o ostatecznym rozwiązaniu tych zagadek nie może być mowy. Zebranie wszystkich hipotez do materiału na wielką książkę. Dość jasna jest, jak się zdaje, sprawa „who is who”. Sportretowana dama to

żona (trzecia!) zamożnego kupca florenckiego Francesca Gioconda (stąd i włoska nazwa obrazu), ale może nią być także kochanka Giuliana de Medici, albo owdowiała księżna Mediolanu Izabela Aragońska, wreszcie nawet matka artysty, Caterina. Ponieważ niektórzy doszukują się w obrazie rysów samego da Vinci, który – skłonny do robienia kawałów – stworzył odziany w szaty damskie autoportret. A co z uśmiechem? Może po prostu wywołał go zespół muzyczny, który artysta sprowadzał do atelier, aby modelka się nie nudziła? Albo płały tancerzy?

Florencja czeka...

Dziś „Mona” jest strzeżona może nawet pilniej niż skład złota amerykańskiego banku federalnego w Fort Knox. Ale nie jest ubezpieczona, bo nie sposób ustalić, na jaką sumę musiałaby być wystawiona polisa. Trzykrotnie obraz peregrynował: był wystawiany w USA w 1963 r., w geście Francji dla narodu amerykańskiego

Włodzimierz Brych: „Ukraina była, jest i zawsze będzie w Europie”



Ukrainę odwiedził Włodzimierz Brych – prezes Sądu Arbitrażowego miast Poznań i Nowy Tomyśl, główny prawnik koncernu B. Braun, arbiter międzynarodowy Ukrainy, Gruzji, Armenii, Łotwy i Tatarstanu. Jego przyjazd był związany z wygłoszeniem referatu na Międzynarodowym Forum Arbitrażu i Mediacji, który przeprowadzono we Lwowie 26–27 maja br. Podczas pobytu u przyjaciół w Tarnopolu, Brych zgodził się opowiedzieć nam o specyfice stosunków polsko-ukraińskich, osiągniętych w tej dziedzinie sukcesach i współpracy z lokalnymi samorządami.

Z WŁODZIMIERZEM BRYCHEM rozmawiała INNA SYRNYK, Tarnopol.

Cieszy mnie to, że współpraca między Ukrainą a Polską rozwija się, zwłaszcza między Wielkopolską – regionem Poznania, który reprezentuję – a Tarnopolem. Współpracujemy z Tarnopolem od wielu lat w różnych dziedzinach, w tym – w dziedzinie rozwoju arbitrażu i mediacji. Owocem tej współpracy było wspólne zorganizowanie jednej z pierwszych konferencji międzynarodowych na Politechnice Tarnopolskiej. Zjechało się wielu przedstawicieli z różnych części Ukrainy. Po konferencji nawiązaliśmy współpracę z organizacjami arbitrażu i mediacji po całej Ukrainie, chodzi mi o Kijów, Lwów, Winnicę, Odessę, Dniepropietrowsk.

Wygłosił Pan referat na Międzynarodowym Forum Arbitrażu i Mediacji we Lwowie...

We Lwowie reprezentowałem Polskę. W referacie przedstawiłem rozwój współpracy między Ukrainą a Polską oraz rozwój arbitrażu i mediacji w Polsce. Po ubiegłorocznej konferencji zorganizowano forum współpracy, do którego, prócz Ukrainy i Polski, przyłączyło się jeszcze 12 krajów gotowych do współpracy nie tylko w dziedzinie mediacji, ale też w innych dziedzinach. We wrześniu odbędzie się konferencja w Batumi (Gruzja).

Na konferencji dowiedziałem się wiele nowego, co też pragnę wykorzy-

stać w swojej działalności. Konferencja jest nie tylko naukową, ale też praktyczną współpracą, na której można rozstrzygnąć spory między Ukrainą a Polską.

W jaki sposób udaje się wykonywać taką skalę prac?

To nie jest problem w warunkach wysokiego rozwoju technologii, przecież wiele spraw bardzo szybko można rozstrzygnąć przez internet.

Jaka jest specyfika problematyki arbitrażu na Ukrainie?

Każdy kraj ma indywidualną problematykę i specyfikę. Problemy ma każdy kraj i staramy się je omawiać, ale nie mamy prawa wywierać jakiegokolwiek wpływu. Istnieją jednak pewne konwencje i umowy, które są odpowiedzialne za prawo międzynarodowe, którego jak wiadomo, nie wolno przekraczać.

Co Panu nie podoba się na Ukrainie?

Absolutnie wszystko mi się tu podoba. Ciągłe jednak wynika pytanie „Czy Ukraina jest w Europie?”. Moim zdaniem Ukraina była, jest i zawsze będzie w Europie. Chcę też zwrócić uwagę na to, że Kijowski Międzynarodowy Sąd Arbitrażowy jest jednym z najlepszych w Europie, ponieważ opracowuje w ciągu roku 600 spraw. W porównaniu z tym Warszawa jest do tyłu, opracowuje się tam bowiem jedynie 400 spraw.

Humor żydowski

Hurtownik Jechiel oskarżony jest o sfalszowanie wexsla.

Po przeprowadzeniu postępowania dowodowego, po przemówieniu prokuratora i obrońcy, sędzia udziela oskarżonemu ostatniego słowa.

Jechiel wstaje i uroczyście oświadcza:

- Wysoki Sądzie! Biorę Boga na świadka, że jestem niewinny...

- Za późno! – przerywa sędzia. – Lista świadków zamknięta.

Klient, piniąc się z wściekłości, wpada do sklepu:

- Co za materiał pan mi sprzedał? Krawiec powiada, że to najgorsza tandeta!

- Co tu gadać – uspokaja go kupiec. – Pan jest po prostu szczęściarzem. Pan ma tylko trzy metry tej tandety, a ja pelen magazyn!

Dwóch kupców spotyka się na ulicy:

- Wiesz, Awner, wczoraj udzieliłem o tobie jak najlepszych informacji.

- Mianowicie?

- Powiedziałem, że masz, na psa urok, wielki majątek, interes twój prosperuje znakomicie, cieszysz się u fabrykantów nieograniczonym kredytem...

- Bardzo ci dziękuję, mój kochany! A komu ty udzieliłeś tych cudownych informacji?

- Jak to, komu? Inspektorowi podatkowemu.

Właściciel sklepu galanteryjnego zwołał ekspedienta.

- Dlaczego zwolniłeś tego Josła? – pyta przyjaciel – To taki sprytny i pracowity chłopak.

- Ten meszugene opowiadał o mnie, że jestem idiotą!

- Oj rozumiem. Jeśli on zdradzał tajemnice firmowe, to nie mogłeś postąpić inaczej.

Pośrednik handlowy, zaproszony przez miejscowego bogacza na kolację, wraca późnym wieczorem do domu.

- No, jak tam było? – zapytuje żona.

- Jakby ci to powiedzieć?... Gdyby rosół był tak ciepły jak piwo, ryba taka polana sosem jak obrus i gęś tak tłusta jak gospodyni – to wszystko byłoby w porządku!



рік заснування 1993

Школа Вища ім. Богдана Янського
Регіональна філія у Хелмі (Холмі)



Здобувай освіту з нами

освіта у ВНЗ I ступеня (бакалавр, інженер)

ПРОСТОРОВА ОРГАНІЗАЦІЯ
ЕКОНОМІКИ

Освітньо-кваліфікаційний
рівень-бакалавр

УПРАВЛІННЯ
СОЦІОЛОГІЯ

МОЛОДШИЙ МЕДИЧНИЙ
СПЕЦІАЛІСТ - НОВЕ!

магістратура*

ПІСЛЯДИПЛОМНА ОСВІТА

* навчання проводиться на факультеті Управління в Варшаві.

www.janski.edu.pl

WESPRZYJMY POWSTANIE DOMU POLSKIEGO W MOŚCISKACH

Szanowni Rodacy!

W związku z realizacją projektu powstania Domu Polskiego w Mościskach, Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Oddział w Mościskach zwraca się z ogromną prośbą do wszystkich ludzi dobrej woli i wielkiego serca o wsparcie tego projektu.

Mamy nadzieję, że nowopowstały Dom Polski stanie się wizytówką Polski i Polaków w Mościskach, miejscem inicjatyw i spotkań Polaków mieszkających na Ukrainie, miejscem rozwoju kultury i tradycji naszych przodków.

Wpłaty można dokonywać na konto:

Rekwizyty bankowe:

Мостиський Відділ Товариства Польської Культури

Львівщини, вул. Міцкевича 13, Мостиська

Р/р 26003301495

Мостиський Ощад Банк

МФО 385208, ЗКПО 26256843

Благодійна допомога на „Польський Дім” в Мостиськах

List do redakcji

XIV DNI LWOWA W POZNANIU

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu organizuje w dniach od 9 do 11 września 2011 r. XIV DNI LWOWA.

W czasie obchodzonych w Poznaniu już od 14 lat „Dni Lwowa” staramy się, oprócz części rozrywkowej, przekazać również wiadomości z życia kulturalnego, naukowego oraz inne informacje z dawnego polskiego Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Były już prelekcje i skromne wydawnictwa (na miarę naszych możliwości finansowych) o muzyce, sporcie, architekturze, o satyrykach i kpiarzach lwowskich, tak zwanych luminarzach humoru lwowskiego i szereg innych wydarzeń.

W tym roku chcemy przybliżyć malarstwo. Nie tylko dawnych mistrzów kresowych, ale również współczesnego Lwowa. Otwarcie wystawy nastąpi w dniu 11 września br. na dziedzińcu Muzeum Archeologicznego w Poznaniu. Zostaną wystawione reprodukcje obrazów dawnych mistrzów oraz obrazy współczesnych malarzy lwowskich, między innymi Walerego Bortiakowa, Władysława Maławskiego, Jadwigi Pechaty. Prelekcję wygłosi Władysław Maławski ze Lwowa.

Dzień wcześniej, 10 września br., w Domu Wspólnoty Polskiej wystąpi prof. dr hab. Stanisław Nicieja z prelekcją „Ogród snu i pamięci – dzieje Cmentarza Łyczakowskiego i ludzi tam spoczywających w latach 1786-2010”. Będzie to zarazem poranek autorski, ponieważ ukazała się nowa księga autorstwa Stanisława Nicieji o Cmentarzu Łyczakowskim, prezentująca nie tylko 4820 nazwisk osób spoczywających na tej nekropolii, ale również twórców wspaniałych licznych pomników nagrobnych. Książkę będzie można nabyć podczas spotkania.

Tego samego dnia o godz. 17:00 odbędzie się uroczysta inauguracja XIV Dni Lwowa. W czasie tej uroczystości prof. Stanisław Nicieja zostanie wyróżniony, przyznawaną i ufundowaną przez nasze Towarzystwo, statuetką Iwa „Semper Fidelis”. Wyróżnienie to otrzymały już w poprzednich latach cztery osoby: minister Andrzej Przewoźnik, prof. dr hab. Andrzej Stelmachowski, p. Szczerpan Siekierka oraz T. Tomkiewicz zasłużony członek naszego Towarzystwa.

W części artystycznej wystąpi zespół „Sześć Złotych” ze Lwowa oraz „Tyli-gentne Batiary” z Bytomia.

Niedzielę 11 września br. rozpoczniemy Mszą św. w bazylice kolegiackiej. Potem nastąpi, jak już wspomniałam wyżej, otwarcie wystawy malarskiej w pobliskim Muzeum Archeologicznym. Natomiast na Starym Rynku, od godziny 11.30 trwać będzie tak zwany „Piknik Lwowski”, podczas którego wystąpią zespoły kresowe i zapewnione będą także inne atrakcje.

W dniu 12 września br. zespoły wyjadą do Leszna, gdzie rozpoczęte „Dni Lwowa” będzie kontynuował Leszczyński Oddział Towarzystwa.

Wszystkich chętnych serdecznie zatem zapraszamy do Poznania na „XIV DNI LWOWA”.

Bożena Łączkowska, Poznań, 3 lipca 2011

Poszukuję opiekunki

Pilnie poszukuję pracownika (kobiety) do opieki na starszą osobą w Krakowie. Zapewniam mieszkanie i wyżywienie. Atrakcyjne wynagrodzenie.

Wymagania: znajomość języka polskiego, sumienność, odpowiedzialność, pogodne usposobienie.

Kontakt: +48 606461716

Ogłoszenie

Pracownik naukowy, zbierający materiały do swej pracy, prosi o wiadomości dotyczące osoby DOBIESŁAWA ŻARDECKIEGO (1853-1924), urodzonego w Wiszniowie, powiat Rohatyn, województwo stanisławowskie, posła na Sejm Galicyjski, działacza społecznego.

Osoby, posiadające jakiegokolwiek materiały, publikacje czy informację o Dobiesławie Żardeckim, proszone są o kontakt pod adresem:

Daniel Reniszewski

37-100 Łańcut, ul. Zielona 31

tel.:+48695246606, mail: danren1@wp.pl

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

ПЕРША СТОРІНКА
PIERWSZA STRONA

1 cm² – 8,50 грн.
1 cm² – 8,50 UAH
повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm² – 6,00 грн.
1 cm² – 6,00 UAH
повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm² – 4,50 грн.
1 cm² – 4,50 UAH
чорно-білі
czarno-białe

ОСТАННЯ СТОРІНКА
STRONA OSTATNIA

1 cm² – 7,50 грн.
1 cm² – 7,50 UAH
повноколірний
pełny kolor

Na zlecenie
naszych klientów
umieszczamy
ogłoszenia w
prasie ukraińskiej

Ogłoszenia
niekomercyjne,
po uzgodnieniu
z redakcją,
mogą być drukowane
nieodpłatnie

RADIO PRZEZ INTERNET

ANDRZEJ NOWOGRODZKI
Kijów

Coraz częściej słuchamy radia w pracy, czy też w domu przy komputerze. W tym wypadku, zamiast łapać ledwo co dochodzące na Ukrainę polskie rozgłośnie przez zwykły odbiornik radiowy, możemy skorzystać z możliwości słuchania radia przez Internet. Oczywiście, jeśli nasz komputer jest do niego podłączony i nasz dostawca nie rozlicza nas za każdy kilobajt przesłanych danych, czyli za – tak zwany – „trafik”.

Poniżej przedstawiam krótki wykaz najpopularniejszych polskich rozgłośni, które są obecne w Internecie.

Polskie Radio

Na stronie Polskiego Radia możemy słuchać poszczególnych jego rozgłośni (Jedynka, Trójka) na żywo: <http://polskieradio.pl/sluchaj/albo wybranych audycji> <http://polskieradio.pl/podcasting/>

Na tej ostatniej znajdziemy, na przykład, wypowiedzi polityków z porannych Sygnałów Dnia w Jedyńce, czy też reportaże, a nawet starych poczwicznych Matysiaków. Z kolei na stronie: <http://www.polskieradio.pl/zagranica/ua/> znajdziemy informacje po ukraińsku – część także do odsłuchania.

RMF FM

Na głównej stronie krakowskiej rozgłośni – www.rmfm.fm jest po

prawej stronie archiwum audycji. Z kolei, wciskając trochę wyżej przycisk „Posłuchaj RMF FM”, będziemy mogli posłuchać stacji na żywo. Warto odwiedzić także inną stronę tego radia: www.miastrmuzyki.pl

Tam znajdziemy co najmniej kilkadziesiąt internetowych „stacji”, które nadają właściwie każdy rodzaj muzyki. Warto zwrócić uwagę na RMF Polski Rock, RMF Polskie Przeboje czy RMF PRL.

Radio Zet

Warszawska rozgłośnia ma trochę mniej rozbudowaną stronę internetową. Na: <http://www.radiozet.pl/Sluchaj/Default.aspx> możemy posłuchać aktualnie nadawanych audycji. Z kolei, na głównej stronie znajdziemy zapisy wywiadów Moniki Olejnik z politykami. Nagrania nie tylko audio, ale też wideo.

Radio Maryja

Katolicki głos w Twoim domu może brzmieć także z komputera. Wystarczy wpisać: www.radiomaryja.pl i po lewej stronie znajdziemy zakładkę „Słuchaj”. Wcześniej trzeba zainstalować Real Player – można go ściągnąć na stronie www.real.com.

To tylko niektóre najpopularniejsze stacje radiowe, których możemy słuchać przez Internet. Inne znajdziemy na przykład na stronach: www.radiostacje.com oraz www.nadaje.com.

POLSKIE RADIO PRZEZ SATELITĘ

Czas warszawski

07.00 - 07.59 SAT
09.00 - 09.59 SAT
12.30 - 12.59 mkHz
31.769445 41.187285 SAT
17.30 - 18.29 mkHz
48.856140 SAT
23.00 - 23.59 mkHz
49.586050 31.059660 SAT
00.00 - 00.59 SAT
SAT - program Polskiego Radia dla Zagranicy rozpowszechniany jest w systemie DVB przez satelitę HOT BIRD, pozycja orbitalna 13æE, częstotliwość odbiorcza 10,892 Ghz, polaryzacja pozioma (H) FEC, SR 27500, Audio PID 119. Audycje Polskiego Radia dla Zagranicy emitowane są przez platformę cyfrową Cyfra+

Ukraina - Lwów – Radio Niezależnist UKF 106,7 MHz - Winnica - Radio TAK 103,7 FM - Chmielnicki - Radio Podilla Center 104,6 FM - Równe - Radio Kraj 68,2 FM - Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyła 71,1 FM i 103,4 FM - Dibrowica - Radio Melodia 105,3 FM

AUDYCJE O POLAKACH NA UKRAINIE W RADIU OPOLE

Kliknij: <http://www.radio.opole.pl/modules/akcje/ukraina/>

Do poprawnego odtworzenia audycji polecamy program WinAmp. Do pobrania ze strony: www.winamp.com Klikając na: <http://www.radio.opole.pl/modules/akcje/ukraina/> można posłuchać o osobach, związanych ze Stanisławowem.

Radio Wnet

Radio Wnet – słuchać nas od 7,07 – 9,00 w dni powszednie, w piątki 7,07 – 10,00 na falach **106,2 fm** lub bezpośrednio z naszej strony internetowej www.radiownet.pl – po wejściu na zakładkę menu „słuchaj”. Jest tam również rozpisana ramówka radia.

W czasie audycji Krzysztofa Skowrońskiego jesteśmy osiągalni na Skype: radiownet.antena. Prosimy słuchaczy o sygnalizowanie swojej obecności na Skype.

Zasięg przez radio – Warszawa i okolice. W pozostałych regionach prosimy o słuchanie nas przez Internet.

JAK SŁUCHAĆ POLSKICH AUDYCJI NA UKRAINIE

„Lwowska Fala” – autorska audycja Danuty Skalskiej jest nadawana w każdą niedzielę **od godz. 8:10 czasu polskiego na antenie Polskiego Radia Katowice. Powtórka audycji – w niedzielę o 1:00 w nocy.** W porze emisji można także słuchać „Lwowskiej Fali” na stronie internetowej Polskiego Radia Katowice: www.radio.katowice.pl, a wszystkie archiwalne nagrania są dostępne na stronie internetowej Światowego Kongresu Kresowian: www.kresowanie.com

Radio Lublin na 103,2 i 99,6 MHz słychać bardzo dobrze aż po Lwów (we Lwowie już nie).

Polskie Radio Warszawa I - na falach długich 225 kHz

Polskie Radio Lwów

Zachęcamy też wszystkich do słuchania Polskiego Radia Lwów (ze Lwowa) w każdą sobotę od godz. 8.00 do godz. 12.00 (czasu polskiego) oraz w niedzielę od godz. 18.15 do 20.15 na fali: <http://www.radio-n.com/eng/OnAir/onair.htm>. W eterze program jest nadawany na fali 106,7 FM (Radio „Niezależnist”) i jest dobrze słyszalny w promieniu 100 km od Lwowa.

Radio Polonia (godz. 18:30 – czasu miejscowego)

- Lwów – Radio Niezależnist UKF 106,7 MH

- Winnica – Radio TAK 103,7 FM

- Chmielnicki – Radio Podilla Center 104,6 FM

- Równe - Radio Kraj 68,2 FM

- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyła 71,1 FM i 103,4 FM

Radio Maryja: Chelm 102,8; Hrubieszów 95,8; Lubaczów 102,3; Przemyśl 105,1; Ustrzyki Dolne 94,5

Włodawa 104,5; Rzeszów UKF 104, 5

KURIER galicyjski

«КУР'ЄР ГАЛИЦІЙСЬКИЙ»
REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 80
Iwano-Frankiwsk 76000,
абонентська скринька №80
siedziba gazety:
Iwano-Frankiwsk 76002
ul. Iwasiuka 60,
Івано-Франківськ
вул. Івасюка 60
tel. redakcji w Stanisławowie:
+38 (0342) 71-38-66
tel./faks redakcji we Lwowie:
+38 (032) 261-00-54
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

konto bankowe na Ukrainie:
WAT „KREDOBANK”
r/r 2600401025253
ПП Ровіцкі М. М.
Код ЄДРПОУ 1965816635
p/p 2600401025253 в ІФФ ВАР
«КРЕДОБАНК»,
м. Івано-Франківськ
МФО 336161

Świadectwo rejestracji
Seria KW nr 12639-1523 R
wydane 14.05.2007
Свідоцтво про державну реєстрацію
Серія KB № 12639-1523 P
від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:
Miroslaw Rowicki
Засновник і видавець
М. М. Ровіцкі

Skład redakcji:
Marcin Romer:
redaktor naczelny
e-mail: zgrodurevery@wp.pl

Maria Basza:
zastępca red. naczelnego, dział foto-
reportażu oraz dział grafiki komputerowej
e-mail: mariabasza@wp.pl

Konstanty Czawaga
e-mail: konstantyczawaga@wp.pl

Sabina Różycka

e-mail: pluglem@wp.pl

Krzysztof Szymański

e-mail: krzszymanski@wp.pl

Julia Łokietko

julietta.stella@gmail.com

Natalia Kostyk

e-mail: nataliakostyk@wp.pl

dział informacji regionalnej
i reportażu.

Jurij Smirnow:

dział kulturalno-historyczny.

Stale współpracują:

Agnieszka Sawicz, Beata Kost, Joanna Demcio, Elżbieta Lewak, Eustachy Bielecki, Szymon Kazimierski, Aleksander Niewiński, Michał Piekarski, Irena Kulesza, Piotr Janczarek, Tadeusz Olszański, Tadeusz Kurlus, Jacek Borzęcki, Renata Kłęczkańska, Maciej Dęboróg-Bylczyński, Wojciech Krysiński, Aleksander Szumański, Włodzimierz Osadczy, Taras Prochaśko, Dorota Jaworska, Olga Ciwkacz, Wojciech Grzelak, Zbigniew Klimecki, Zbigniew Lewiński, Eugeniusz Niemiec, Barbara Stasiak, Katarzyna Łoza, Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zubniński, Zbigniew Kulesza i inni.

Drukujemy również teksty autorów, z którymi się nie zgadzamy!

Pismo wspierane przez Senat RP za pośrednictwem Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie.

Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności, nie zamówionych rękopisów nie zwraca i pozostawia sobie prawo do skrótów.

ТЗОВ Видавничий Дім «Молода Галичина».

Indeks na prenumeratę 98780

Індекс передплати 98780

Газета виходить 2 рази на місяць

Poszukujemy pracowników

Agencja Pracy poszukuje: górników ze znajomością języka polskiego, a także pracowników budowlanych, spawaczy, pracowników bez kwalifikacji.

Kontakt: +48717879815,+48717879816
lub 0664191758
zgłoszenia poprzez: www.bcj-konsalting.eu



W dniu 22 lipca 2011 r.
zmarł w wieku 81 lat

śp. inż. JAN SZYMIK

nauczyciel i poeta, znawca Kultury Ludowej
Śląska Cieszyńskiego, Górali Czadeckich i Kisuckich.
Laureat nagród im. Karola Miarki
oraz Juliusza Ligonja, społecznik.
Wielki i zaangażowany patriota.

Wiadomość ta wielce nas zasmuciła, tym bardziej, że planowaliśmy spotkanie i wspólną wymianę doświadczeń w szeroko pojętej działalności społeczno-kulturalnej.

Łączymy się w smutku i żalu po śp. inż. Janie Szymiku, wierząc, że pamięć po Nim w sercach Waszych i naszych pozostanie na długo.

Głęboko wierzymy, że śmierć to nie koniec, a początek życia.

z wyrazami szacunku i bólu
v-ce prezes Zarządu Krajowego
Polskiego Związku Katolicko-Społecznego
Ireneusz Warta



**Програма транскордонного співробітництва
Польща-Білорусь-Україна 2007-2013**
Реєстраційний номер в СОУ: PBU2
Референтний номер EuropeAid: EuropeAid/131508/M/ACT/MULTI

Додаткова інформація

Згідно з «Посібником для аплікантив» кінцевий термін подання проектних заявок - **30 вересня 2011 року до 15.00 год за місцевим часом**. Індикативний бюджет даного конкурсу проектів становить 88 143 349,25 Євро

- Розмір гранту не може перевищувати 90% загальних прийнятних витрат по проекту
- Розмір гранту: мінімальний розмір гранту - 100 000 Євро, максимальная сумма - 4 000 000 Євро
- Максимальна тривалість реалізації проектів – 24 місяці
- Завершення реалізації проектів – не пізніше 31 грудня 2015 року

Детальнішу інформацію про набір проектів та пакет аплікаційних документів можна отримати на Інтернет-сторінці Програми www.pl-by-ua.eu.

Проектні заявки необхідно надсилати на адресу:

**Joint Technical Secretariat
Cross-border Cooperation Programme
Poland - Belarus - Ukraine 2007-2013
Domaniewska St. 39a
02-672 Warsaw, Poland**

Друге коло інформаційних семінарів, присвячених оголошеному набору, відбудеться відповідно до графіку:

ДАТА	МІСЦЕ	КІНЦЕВИЙ ТЕРМІН РЕЄСТРАЦІЇ
16 серпня	Ужгород	11 серпня
17 серпня	Івано-Франківськ	12 серпня
18 серпня	Тернопіль	15 серпня
19 серпня	Рівне	16 серпня
22 серпня	Луцьк	17 серпня
23 серпня	Львів	18 серпня

Детальнішу інформацію про семінари та реєстрацію можна отримати на Інтернет-сторінці www.pl-by-ua.eu.

Zapraszamy do katedry lwowskiej

Bracia i siostry! Zapraszamy wszystkich na Mszę świętą 15 sierpnia 2011 roku, o godzinie 18 (osiemnastej), w katedrze lwowskiej pw. Matki Boskiej Łaskawej za rodzinę żywych i zmarłych Dutkiewiczów Wandy i Jana ze Lwowa oraz uzyskanie wielu łask Bożych dla żywych i zmarłych mieszkańców Lwowa, Ukrainy, Polski i świata. Prosimy też Boga o łaskę uznania świętym papieża Jana Pawła II.

Tego samego dnia zostanie odprawiona Msza święta w Wilnie (Litwa) oraz w Częstochowie na Jasnej Górze (Polska).

Nie lękajcie się! Oddajcie wszystkie kościoły i cerkwie BOGU.

Oddajcie kościół Marii Magdaleny we Lwowie Chrystusowi na sprawowanie Eucharystii. W imieniu Chrystusa prosimy o zwrot.

**Piesi pielgrzymi z Siedlec
JANUSZ I PIOTR**

CIEKAWY STRONY INTERNETOWE O KRESACH

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.wspolnota-polska.org.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie.webpark.pl
www.kresy.co.uk
stanislawow.pl
www.kresy2000.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
www.wycieczki.pl.ua

Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na:

www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu
www.kresy24.pl

Czy Twoje dziecko nie spędza za dużo czasu przed telewizorem lub komputerem?

Klub Młodych Artystów „Skrzydła” przy LTPSP, zaprasza dzieci polskiego pochodzenia ze Lwowa na zajęcia plastyczne w galerii „Własna Strzecha”, przy ul. Rylejewa 9/6. Programy zajęć plastycznych przystosowane są do możliwości dzieci w różnym wieku, dla których wprowadzamy podstawowe techniki i zagadnienia plastyczne, łącząc teorię z praktyką. Serdecznie zapraszamy na zajęcia! **Blіszsze informacje pod nr telefonu: 063 287 27 07 – Władysław Maławski**



Kantorowe kursy walut na Ukrainie 10. 08. 2011, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
7,96	1 USD	7,98
11,30	1 EUR	11,40
2,70	1 PLN	2,82
13,10	1 GBP	13,20
2,60	10 RUR	2,75

KURIER galicyjski

Można zaprenumerować na poczcie!!!

**KOD PRENUMERATY
UKRPOŠTA 98780**

Cena prenumeraty pocztowej na rok 2011

1 miesiąc – 5,00 hrywien
3 miesiące – 15,00 hrywien
6 miesięcy – 30,00 hrywien
12 miesięcy – 60,00 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową (kuriergalicyjski@wp.pl)

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto

„Kurier Galicyjski” można kupić:

w **Warszawie** w **Domu Spotkań z Historią**:
tel. +48 (022) 851 39 66 (kod pocztowy 00-753)
ul. Karowa 20

tel. +48 (022) 826 51 95 (kod pocztowy 00-324)

oraz w **Krakowie** w **Księgarni „Nestor”**

przy **ulicy Kanoniczej 15**

tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002)

KURIER GALICYJSKI można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty” (w wypadku jego braku, żądajcie od sprzedawców i powiadamianie redakcję!). Ponadto: w kioskach „Wysoki Zamek” w Drohobyczu, Truskawcu, Borystawiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku; w kioskach „Interpres” i „Wysoki Zamek” we Lwowie; w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” przy ul. Ruskiej 16 we Lwowie; w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie; w Katedrze Lwowskiej, w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny, a także przy kościele w Krzemieńcu; w Iwano-Frankiwsku (d. Stanisławowie) w „Sklepie Żelaznym” – Rynek 7; pismo jest też dostępne w hotelu „Dniestr” we Lwowie oraz w Instytucie Polskim w Kijowie.

Korzystaj z usług polskich przewodników ze Lwowa!

Fachowe oprowadzanie po Lwowie, pilotowanie grup turystycznych po Kresach
tel.: 0-0380679447843

Proponujemy usługi turystyczne, oprowadzanie po Lwowie i Kresach w języku polskim

tel.: 0-380677477329, 0-380676750662, 0-380504304511, 0-380504307007, 0-380509494445